

STRAMEROWIE

ST AMEROWIE

ST AM ROWI

S AM RO I

M R

R



Mikołaj Łoziński

Mikołaj Łoziński
Stramerowie

Wydawnictwo Literackie
Kraków 2023

Spis treści

Karta redakcyjna

I

II

III

IV

V

VI

VII

Bibliografia

Podziękowania

Opieka redakcyjna: EWA SMOL

Redakcja: MARIANNA SOKOŁOWSKA

Konsultacja historyczna: dr KRYSZYNA SAMSONOWSKA

Korekta: JACEK BŁACH, ANNA POINC-CHRABĄSZCZ, KRYSZYNA ZALESKA

Projekt graficzny: PRZEMEK DĘBOWSKI

Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

© Copyright by Mikołaj Łoziński

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2023

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07886-0

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

e-mail: księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl

tel. (+48 12) 619 27 70

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

I

RÓŻA – BABUNIA

Wojna to nuda. Właściwie najlepiej pasowałyby do niej „straszna nuda”. Ale wszyscy myślą, że „straszna nuda” to po prostu wielka nuda, a wojna była i straszna, i nudna jednocześnie.

Dni w suterenie na Płaszowskiej mijały Róży na czekaniu. Przed lustrem, którego nie było widać z ulicy, pod stolikiem z obrusem do ziemi, za łóżkiem, gdzie Babunia przed wyjściem zostawiała miskę z kartoflami do obrania na zupe.

Róża żałowała tego, jak pożegnała się z mamą i dziadkami. Jakby jechała na wakacje. Byle jak. Tak spieszyła się do wyjścia.

Stała teraz przed lustrem i swoimi utlenionymi perhydrolem na blond włosami zasłaniała dół twarzy. Nos, usta i podbródek. Patrzyła tylko na górę. Mocne brwi, ciemne oczy i wysokie czoło miała jak matka.

W Tarnowie Babunia wzięła ją na ręce i pobiegły na dworzec. W pociągu do Krakowa zawiązała jej chustkę na twarzy.

– Dziecko ma zapalenie gardła – powiedziała do kobiety, która siedziała obok, a zaraz potem się przesiadła.

Niedługo później Babunia pojechała jeszcze raz do Tarnowa. Wcześniej w Krakowie wyszorowała podłogę w suterenie, przygotowała trzecie posłanie i ugotowała krupnik. Ulubioną zupe Ruth, mamy Róży. Babunia wieczorem wróciła sama. Róża się rozplakała. Babunia nie chciała nic powiedzieć, tylko mocno ją przytuliła. Ale Róża oprócz rozczarowania poczuła coś jeszcze, do czego wstydziła się przyznać Babuni. Ulgę, że wciąż jest tylko z nią.

Babunia nie siedziała w domu jak przed wojną na Podgórzu, kiedy była jej nianią i spędzała długie godziny w oknie, które nazywała swoim kinem. Tu nie było nawet na co popatrzeć – tylko półbuty, kalosze, oficerki, obcasy damskich pantofli.

Róża w dzień chodziła na palcach, z dala od okna, nie mówiła nic na głos. Starła się być niewidoczna i bezszelestna. Czasem tylko zaglądał do środka kot. Jego zielone ślepia błyskały jak latarki. Ale

jemu było wszystko jedno, kogo zobaczy. Dwa razy dziennie słyszała stukot chodaków. Płaszowską przechodzili więźniowie z obozu. Do pracy i z pracy.

Babunia codziennie do późna handlowała na Kleparzu. Tylko raz w tygodniu, zwykle w poniedziałki, wracała wcześniej. To wtedy pod Krakowem kupowała taniej cukier, kaszę i mąkę. Przywoziła je w tobołach, które zrzucała z pleców zaraz po wejściu do sutereny. Czasem była tak spocona, że zanim się umyła, wyzymała zdjętą z siebie bieliznę.

Na dziesiąte urodziny Babunia dała Róży Matkę Boską Częstochowską na łańcuszku. Dziewczynka w dzień nosiła ją na szyi, a przed zaśnięciem modliła się do niej o zdrowie mamy. Wieczorami opowiadały sobie, jak dobrze im będzie po wojnie. „Dobrze” znaczyło, że ojciec wróci z Rosji, a one nigdy się nie rozłączą.

Róża pamiętała, że nie nazywa się już Stramer, tylko Marysia Zegarlińska. Jej rodzina to Babunia i jej dwie córki z mężami i dziećmi, które mieszkają w Borku Fałęckim. A ona sama też urodziła się w Borku.

Niedawno Babunia pierwszy raz ją tam zabrała. Wzięły ze sobą wszystkie ubrania dziewczynki i pełno jedzenia. Róża nie rozumiała po co. Przecież zwykle Babunia przywoziła jedzenie ze wsi do miasta, a nie na odwrót.

– Biedne dziecko. – Córka Babuni wycalowała ją na powitanie.

Róża w sieni dyskretnie wytarła zaśliniony policzek. I pobiegła z innymi dziećmi paść kozy na cmentarzu.

W nocy obudziły ją podniesione głosy, kłótnia Babuni z córkami.

– Nas też narażasz. I to za darmochę.

– Niech cię o to głowa nie boli – odpowiadała Babunia. – Wiem, co robię.

– Służ panu wiernie, to ci w gębę pierdnie!

– Dziś oni, jutro my.

Róża przypomniła sobie wtedy swoją przedwojenną rodzinę. Każdego po kolei, gdzie kto siedział przy stole u dziadków w kuchni

na Goldhammera. Dziadek Nathan i babcia Rywka, mama (Ruth) i tata (Rudek), elegancki wujek Hesio, wujek Salek, którego nie pamiętała, ale przy stole tak często o nim mówiono, jakby z nimi tam był, jej ukochana piękna ciocia Rena, wujek Nusek, który wszystkim przerywał i nie mógł ani chwili spokojnie usiedzieć na miejscu, uśmiechnięta ciocia Wela i jej narzeczony Natek, tak przystojny jak... właściwie nie znała nikogo, kto byłby aż tak przystojny. Przekrzykiwali się, gestykulowali, sztucze uderzały o talerze. Jedli nożami i widelcami, a nie jak Babunia i jej rodzina, wszystko tylko łyżką. Róża też wołała łyżką, bo tak prościej.

Miała zostać w Borku na dłużej, ale po trzech dniach spakowały się z Babunią i wróciły do Krakowa.

Był tylko jeden klucz do mieszkania i leżał pod wycieraczką. Babunia ostatnio wkładała go tam, żeby zawsze ktoś z rodziny z Borku mógł wejść. Róży nie wolno było podchodzić do drzwi, zwłaszcza gdyby ktoś do nich pukał albo w nie walił. Pamiętała, że ma wtedy jak najszybciej schować się pod stół. Przecwiczyla to z Babunią zaraz po przyjeździe z Tarnowa.

Ale teraz nikt nie pukał ani nie walił. Jak miała słyszeć, że ktoś podniósł wycieraczkę i wyjął klucz? Usłyszała dopiero jego chrobot w zamku. Pewnie to córka Babuni.

Klamka poszła w dół. Róża przed lustrem zdążyła tylko odsłonić z włosów dół twarzy. Otworzyły się drzwi i zobaczyła w nich starą, siwą kobietę.

RUDEK

Rudek wciąż nie mógł uwierzyć, że to palec go uratował, ocalił mu życie. I nie był to wcale palec boży, tylko należący do jego prawej ręki głupi zniekształcony kciuk, który źle się zrósł po tym, jak chłopci pobili go do nieprzytomności na samym początku wojny.

Historia jak z baśni Andersena, które kupił Róży jeszcze w Krakowie. Mógłby ją teraz opowiedzieć córce i na pewno by się jej spodobała.

Zaczynałaby się w Kijowie, gdzie Rudek z Hesiem wsiedli razem do pociągu jadącego na Wschód. „Wsiedli” to złe słowo. Raczej się wcisnęli. Albo dali się ponieść tłumowi, który jak fala wlał się do

środką, zajmując wszystkie przedziały, wszystkie możliwe miejsca siedzące, stojące, a nawet półki na bagaż. Dwadzieścia osób w ośmioosobowym przedziale. Ich rodzinne mieszkanie na Goldhammera to przy tym przestronny apartament.

– Konserwa na kólkach, do której same wepchnęły się uszczęśliwione sardynki – tak Rudek opisałby Róży ten pociąg. – Można zapomnieć o pójściu do toalety. A Hesio, twój stryjek, akurat dostał biegunki.

– Pewny jesteś, że to nie choroba weneryczna? – Rudek zażartował sobie z brata, który powtarzał, że wszystkie choroby biorą się z nerwów i tylko jedna z radości: syfilis.

Na szczęście były częste postoje, które Hesio spędzał w krzakach. Samoloty zaskoczyły go siedzącego w kucki z opuszczonymi spodniami w polu kukurydzy. Jak później opowiadał o bombardowaniu: najdłuższe trzy minuty w jego życiu.

Wyszedł z krzaków, dopiero kiedy bombowce odleciały. Najpierw zobaczył mgłę. Później wyłoniły się z niej ich pociąg, który się palił, leje po bombach i ludzie bezradnie biegający wokół jak podskakujące drobinki kurzu.

– Tylko twojego taty, Różyczko, nigdzie nie było – dołączyłby się do opowiadania wujek Hesio.

Dopiero godzinę później zrezygnowany już i załamany Hesio przypadkiem zauważył charakterystyczny wygięty kciuk, który wystawał z ziemi. Reszta ciała była przysypana. – I krzyknąłem do innych, żeby pomogli odkopać twojego tatę.

– Pomyśl, Różyczko, co by było, gdyby chłopci mi nie złamali palca, a stryjek Hesio nie miałby biegunki. Jak mówi twój dziadek Nathan Stramer: nie ma złego, co by nie wyszło na dobrego. – Tak właśnie Rudek opowiedziałby ten koszmar córce. Ani słowa o spalonych czy porozrywanych ciałach, wrzaskach rannych, błaganiach o pomoc półżywych, nic o trupach dzieci.

Tylko kciuk i biegunka.

Róża pewnie zapytałaby go, co z resztą rodziny. Nawet Andersen nie wiedziałby, co odpowiedzieć. Rudek musiałby jej skłamać, że są

cali i bezpieczni. A co z Ruth? Co z rodzicami w Tarnowie? Też nie wiedział.

RÓŻA – BABUNIA

Babunia wróciła z Kleparza i nie zdążyła jeszcze rozpiąć kozucha, a Róża już po cichu zaczęła opowiadać jej o staruszce, która weszła do mieszkania, zobaczyła ją i bez słowa wyszła.

– Kto to mógł być?

Babunia wzruszyła ramionami, na których wciąż wisiały tobołki. O wszystkim już wiedziała. Róża nie musiała jej nic mówić.

– Nie przyśniło ci się to czasem? – Poglaskała Różę po głowie, rozjaśnione perhydrolem włosy odrastały i przy samej skórze było już widać, że nie jest blondynką.

Nic dziwnego, że nie usłyszała, jak stara sięga pod wycieraczkę. Bo tego nie zrobiła. Miała własny klucz. To była matka właścicielki kamienicy. Ta wścibska starucha. Babunia spotkała je obie, matkę i córkę, przed chwilą w bramie. Szybko zrozumiała, że nie dorabiają w ten sposób, nie czekają tam na frajera, tylko na nią. I usłyszała od nich, że ma wyrzucić z domu to żydowskie dziecko.

– Jakie żydowskie dziecko?

– Pani Zegarlińska, w nocy ma być niemiecka obława.

Gdzie niby o tej porze, tuż przed godziną policyjną, miałyby zabrać Różę? Pewnie kłamią o obławie, żeby pozbyła się małej. Albo same poszły donieść...

– Idzie zimna noc, Marysiu – powiedziała przed snem Babunia.

Róża się zdziwiła.

Na wszelki wypadek położyły się do łóżek w ubraniach. Jak zwykle pomodliły się jeszcze do Matki Boskiej Częstochowskiej. Może ona coś pomoże? A potem Babunia nasłuchiwała. Miauczenie za oknem. Równy oddech Różyczki. Nikt go jej nie zabierze. Cisza.

Upewniła się, że mała śpi. Wstała z łóżka, przygotowała torbę z rzeczami na kilka dni i położyła przy drzwiach. Z daleka słyszała psy. O piątej rano pukanie do drzwi to nie mleczarz – mówi się w Krakowie – tylko wiadomo, gestapo. Jak będą się zbliżać, weźmie

dziecko na ręce i, jak wtedy w Tarnowie, uciekną. A jak je złapią, to niech ją też zabiorą.

Ale nie przyszli.

Mimo że nie zasnęła tej nocy, nie była śpiąca ani zmęczona. Wiedziała już, co robi.

Rano były prawie gotowe do wyjścia. Po śniadaniu wystarczyło założyć buty i zawiązać Róży chustkę na głowie. Babunia wzięła ją za rękę, na klatce schodowej parę razy głośniej tupnęła i wyszły na Płaszowską. Przeszły powoli pod oknami właścicielki.

Róży przypomniało się, jak przed wojną chodziła z ojcem po mieście. Na basen, na mecz piłkarski, na Rynek. Ojciec brał ją na barana i zawsze szli środkiem chodnika. Siedziała jak na tronie, najwyższa z przechodniów, jej wysokość – jak mówił tata – królowa Krakowa.

Trzymała teraz mocno rękę Babuni, wtulona twarzą w jej sztywny kożuch. Dawno nie wychodziła z sutereny. Pewnie jest jakieś święto, bo wszędzie na budynkach wiszą flagi. Swastyki są znacznie łatwiejsze do narysowania niż gwiazdy Dawida. Wystarczy zrobić dwie przecinające się kreski, pionową i poziomą, a potem na ich końcach dorysować jeszcze po kreseczce.

Rozbolał ją brzuch. Może za szybko wypła na śniadanie pyszną słodką kawę? A może za szybko szły?

Całą drogę powtarzała sobie, jak się cieszy, że pierwszy raz pójdzie na Kleparz. Tam akurat ojciec nigdy jej nie zabierał. Babunia ciągle opowiadała o Kleparzu. O pani Dyniowej i pani Norkowej, które dla Róży były jak z baśni Andersena. Babunia знаła je jeszcze z czasów, kiedy były pięknymi dziewczynami.

Róża uwielbiała słuchać o tych starych przekupkach. O tym, jak Dyniowa pochowała już trzech mężów. I jak Norkowa, która sprzedaje noże, nawet „języczek ma jak brzytwa”. Nikt na Kleparzu im nie podskoczy. Nikt ich nie przegada. Nikt nie oszuka.

A Róża wiedziała, że to samo na pewno można powiedzieć o Babuni. Wyobrażała je sobie jako trzech muszkieterów, o których czytała jej mama. Trzy muszkieterki, jedna za wszystkie, wszystkie za jedną! Będzie przy nich bezpieczna.

Od Babuni wiedziała też, że na Kleparzu dzieci to świętość. Dzieci nikt tam nie rusza. Nawet najgorszy złodziej i pijak dwa razy się zastanowi, zanim pogłaskze je po główce. Czy dzieci żydowskie też są święte na Kleparzu? Patrzyła, jak Babunia, pani Norkowa i pani Dyniowa rozkładają kramiki. Na drewnianych kozłach kładą deski, a na nich swój towar.

– Masz, dziecko. – Pani Dyniowa podała jej jabłko.

Miała czerwoną rękę i czerwoną twarz z żarzącym się papierosem na środku – tak jak Róża to sobie wyobrażała. Ale nie miała wielkiej pękatej głowy jak dynia. A Norkowa poza delikatnym czarnym meszkiem pod nosem nie miała pyszczka jak norka.

Róża ugryzła jabłko. Było słodkie i soczyste, tylko zimne, jakby jadła lody jabłkowe. Czy jest w ogóle taki smak? Ostatni raz jadła lody w Tarnowie, w dzień wyjazdu taty i stryjka Nuska na Wschód. Od wtedy ich nie widziała. Dwa smaki w wafelku: czekolada i wanilia. Tego dnia babcia Rywka zabrała ją do cukierni, ale sama nic sobie nie zamówiła.

Najgłośniejsze na Kleparzu były koguty. Zagapiła się na jednego, który trzepiąc skrzydłami, wyrwał się z rąk sprzedawcy.

– Wejdz tu, Marysiu. – Norkowa pokazała jej miejsce pod swoim kramem.

RUDEK

Rudek niezgrabnie położył się na podłodze, na twardych deskach na środku pokoju. Jedyne wolne miejsce (za dwadzieścia rubli miesięcznie, płatne z góry), które pokazał mu gospodarz. Wszystkie cztery kąty były zajęte. W każdym spała już jakaś wtulona w siebie rodzina.

Zimno nie do opisania – pomyślał. Nie odda tego żadne, najgłośniejsze nawet szczęknięcie zębami. Gorzej niż we Lwowie w czasie zimy stulecia, kiedy spali z Nuskiem w ubraniach przytuleni do siebie.

Teraz drętwiały mu palce w rękawicach i stopy w rozpadających się, obwiązanych sznurkami walonkach.

Co prawda dyrektor szkoły, któremu je dziś pokazał (Rudek specjalnie usiadł naprzeciwko i tak założył nogę na nogę, żeby je było widać), napisał mu od razu list polecający w tej sprawie do przewodniczącego rady miejskiej miasta Stalińsk (*Inspektor w radzieckiej szkole średniej spełnia pozytywną rolę w społeczeństwie, zwłaszcza w okresie wojny, i całkowicie zasłużył sobie na pierwszeństwo w przydziale butów*), ale Rudek dobrze wiedział: w najlepszym wypadku oznacza to, że dostanie nowe walonki nie wcześniej niż w maju przyszłego roku.

Nie miał czym się teraz przykryć. Przecież nie drewnianą szafą, która stała pod ścianą? Po półgodzinie już się nie zastanawiał, przestało mu się to wydawać dziwne i po prostu tak zrobił. Coś w środku szafy się przesunęło. Co to mogło być? Była zamknięta na klucz.

Lekko przygnieciony i ogrzany meblem, poczuł się znowu jak w bajce, która na pewno spodobałaby się Róży. Mimo nocy było jasno. Okna zalepiały syberyjski śnieg, a Rudek w czapce uszance i kufajce leżał pod drewnianą kołdrą.

Pomyśleć, że w Krakowie, przed wojną, narzekał na zużyty materac u Zuzanny Lipskiej. Rok temu dowiedział się, że została zabita przez Niemców, ale dalej często łapał się na tym, że widzi ją w łóżku albo pijącą piwo w wannie. Błękitne oczy, długie palce, drobne pieprzyki na plecach i piersiach.

Wyobrażał sobie teraz, że znowu są razem na tym materacu, którego sprężyny wspólnie rozwalili. Podpala egipskiego, podaje jej i opowiada o pierwszym dniu w nowej pracy. O szkole, w której został inspektorem. O portretach Stalina na prawie każdej ścianie. I przede wszystkim o młodym nauczycielu niemieckiego w za dużym garniturze z łatami na łokciach i kolanach, który od razu skojarzył mu się z dzieciństwem, z tarnowskim melamedem szarpiącym za pejsy przestraszonych uczniów w chederze. Od razu napiął się jak wtedy, kiedy miał trzy lata i kiedy powiedział sobie, że nigdy już nie pozwoli się nikomu tak poniżyć.

Ale tym razem to nauczyciel przestraszył się na widok wchodzącego do klasy dyrektora z Rudkiem.

Zacząła się lekcja i Rudek szybko zrozumiał dlaczego. Nauczyciel musiał słusznie się domyślić, że nowy inspektor zna język, którego on uczy. Wystarczyłoby jedno jego słowo wyszeptane do ucha dyrektora, a byłoby po nauczycielu, trafiłby do łagru.

Rudek rozejrzał się tylko dyskretnie po sali, w której nikt nie znał niemieckiego. Łącznie z nauczycielem. Za to uczniowie wywoływani do odpowiedzi już całkiem niezłe radzili sobie z jidysz. Nauczyciel, pewnie też bieżeniec z Polski, musiał pracować w tej szkole od dłuższego czasu.

– Zdolny belfer – powiedział teraz Rudek sam do siebie.

Ta historia rozbawiłaby Zuzę. Usłyszał jej lekko zachrypnięty śmiech.

Oszczędziłby jej innych, mniej przyjemnych przygód, jak ta dzisiejsza w tramwaju, którym tu wieczorem przyjechał. Młodzi kieszonkowcy próbowali obrobić śpiącego przy szybie pijanego czerwonoarmistę. Zrobili wokół niego sztuczny tłok i nożem rozcięli mu torbę, którą miał na kolanach. Ale on wtedy się obudził i pierwsze, co zrobił, to sięgnął po pistolet. Zabił obu na miejscu. Tramwaj akurat się zatrzymał, żołnierz wstał z miejsca i się zatoczył.

– Mój przystanek – powiedział i wysiadł.

Nikt więcej się nie ruszył. Rudek też już dawno nauczył się nie wtrącać. Zabici chłopcy byli pewnie w wieku Róży, może nawet młodszy. Rudek wysiadł dwa przystanki dalej.

A jak zaczęłyby baśń dla Róży? Może tak: W Stalińsku przed zaśnięciem wierciłem się gorzej niż księżniczka na ziarnku grochu i marzłem bardziej niż dziewczynka z zapałkami.

RÓŻA – BABUNIA

Najpierw koło południa pani Norkowa przekonała Babunię, żeby pozwoliła Róży wyjść spod kramu i pobawić się z innymi dziećmi.

– Gorzej, jakby tu ktoś ją znalazł.

A potem Babunia przekonała do tego Różę, co było jeszcze trudniejsze.

– No, wyjdźże! No, już cię tu nie ma! – powiedziała w końcu.

Pani Norkowa poprosiła tylko Piotrka, swojego wnuka, żeby miał na nią oko. A Róża ma nie zdejmować z głowy chustki.

Padał drobny deszcz.

Chodziła nieśmiało między stoiskami. Same delikatesy. Najbardziej ucieszyła się na widok piramidy pomarańczy, mandarynek, grejpfrutów. W pierwszym odruchu chciała się do nich przytulić, ale to mogło być podejrzone.

Zatrzymała się niedaleko stoiska Babuni, przy bocznym wyjściu z Kleparza. Dwie dziewczynki bawiły się skakanką. Przed wojną uwielbiała tę grę. Była najlepsza na ich podgórskim podwórku.

Przez chwilę patrzyła z zazdrością na ich podskakujące blond kucyki i niebieskie oczy. Piotrek musiał to zauważyć. Zaraz podszedł do dziewczynek i przywołał Różę ruchem ręki.

– To Marysia – pokazał na Różę.

– Janka.

– Zosia.

Przedstawiły się, nie przestając skakać.

Ucieszyły się chyba, że jest trzecia do zabawy. Teraz dwie kręciły sznurem, a jedna przez niego przeskakiwała.

Przyjemne znajome uczucie. Najpierw skakała Zosia, wysoko i pewnie, Róża z Janką podnosiły skakankę coraz wyżej. Kiedy Zosia skusiła, pokazała na Różę, że teraz jej kolej.

Zacząła niepewnie. Skakała na obu nogach, wciąż sztywna jak słupek. Ostatni raz bawiła się skakanką trzy lata temu, ale tego chyba się nie zapomina, bo jej nogi za każdym razem trafiały tam, gdzie chciała. Jak na Podgórzu.

Koleżanki z podwórka pewnie teraz są już od niej lepsze, bo mogą dalej codziennie to ćwiczyć, a nie chować się pod stołem i za łóżkiem. Teraz w tym była najlepsza.

Dawniej w czasie zabawy wyobrażała sobie, że przez okno widzi ją tata, mama albo Babunia. Spojrzała w stronę kramów. Babunia patrzyła na nią. Dla niej znowu się postara.

Zaczęła skakać wyżej i pewniej. W powietrzu czuła się dobrze i lekko, jakby wróciła na dawne podwórko. Pokona te blond kucyki. I pewnie by jej się to udało, gdyby nie zauważyła w tłumie kupujących zbliżającego się niemieckiego patrolu. Trzech młodych żołnierzy. Gdzie się schować? Uciekać czy biec do Babuni?

– Maryśka – krzyknęła Janka. – Nie śpij, bo cię okradną!

Niemcy zatrzymali się przy kramiku.

Róża zaplątała się w skakankę i przegrała.

A raczej wygrała, bo żołnierze kupili trzy pączki i poszli dalej.

W czasie gry Janka i Zośka nuciły melodię, której Róża nie znała.

*Za zupę,
za zupę,
za kawałek chleba
nasze panny dają,
co trzeba
i nie trzeba.*

– Co dają? – zainteresowała się Róża.

Dziewczynki spojrzały na nią zdziwione.

– No co ty, Maryśka? – powiedziała Zosia. – Nie znasz tego?

Róża pokręciła głową.

– To z obozu. Z Płaszowa. Wszystkie dzieci w Krakowie to śpiewają. Tego też nie znasz?

Zosia zaczęła śpiewać:

*Na cmentarzu wielkie krzyki,
Tam się pieprzą nieboszczyki.*

Róża tego też nie знаła.

Jeden trupek małą trupkę

Pojebał ją w samą dupkę.

– To każdy zna. – Róża skinęła głową.

– No to wiesz, co dają – powiedziała Zosia.

Dopiero po zmroku Piotrek odwiózł Różę rowerem. Tak im kazała Babunia, która dwie godziny wcześniej wróciła piechotą na Płaszowską. I teraz pewnie na nich tam czekała.

Róża nie wiedziała, że Babunia była już po rozmowie z właścicielką domu. Krótkiej rozmowie. Od razu po powrocie z Kleparza weszła bez pukania do jej mieszkania i zwyzywała ją „po matiuszce”.

Tamta w szlafroku aż gębę otworzyła.

– Ja mam chody. Jak jeszcze raz pysk otworzysz... – ostrzegła ją Babunia. – Ty czy ta twoja stara... Ja mam chody. Skrócą cię o główkę.

I wyszła. To powinno wystarczyć.

Po dniu z dziewczynkami na Kleparzu Róży uzbierało się masę pytań do Babuni. Jadąc na bagażniku roweru przez Kraków, układała je sobie po kolei.

Babuniu, czy to prawda, że Żydówki mają krzywy sik?

Trzęsło. Róża złapała się skórzanej kurtki Piotrka.

Babuniu, czy ja też jestem obrzezana?

Nogi trzymała szeroko, żeby nie wkręciły się w szprychy.

Babuniu, co to znaczy „pojebał ją w samą dupkę”?

II

NUSEK

Zaczęło się od tego, że bracia jak zwykle nie wzięli mnie ze sobą. Kiedy wróciłem do Lwowa, ich już tam nie było. Za to byli Niemcy.

Jeszcze ostatniego dnia w Kijowie przeżyłem małą tragedię. Podobała mi się tam taka jedna dziewczyna. Ciemna, zgrabna, z przyprószonymi mąką lokami. W piekarni zawsze udawała, że mnie nie widzi, i obsługiwała innych albo rzucała od niechcenia:

– Co dla ciebie?

Hesio powiedział mi kiedyś: jeśli czujesz, że się podobasz kobiecie, to zwykle tak jest.

Wydawało się, że poświęca więcej uwagi muchom i osom, które przegania z jagodzianek. Ale kątem oka widziałem, jak na mnie patrzy. Pewnie nie aż taka piękność jak nasza Rena. Ale ten sam typ. Może spodobała mi się właśnie dlatego, że przypominała mi moją starszą siostrę? Pasowałaby do rodziny Stramerów.

Rano wyszedłem z hotelu robotniczego, w którym mieszkała załoga elektrowni. Pomyślałem: zajrzę ostatni raz do niej i może się oświadczę? Co mi szkodzi. A na pewno kupię kulebiaki na drogę. Zrobiłem kilka kroków. A tu jak nie walnęło, jak nie zatrzęsło.

– Nie pytajcie się.

Po nalocie pobiegłem do piekarni. Nic z niej nie zostało. Ani okruh. Nie wiem, czy ta dziewczyna była w środku. Nie dowiedziałem się, bo nagle ktoś pokazał na mnie i zaczął wrzeszczeć:

– To on lusterkiem dawał znaki, gdzie bombardować!

– Niemiecki szpion!

Dostałem po mordzie. Podniosłem się z ziemi, mówię, że jestem fachowiec od wysokiego napięcia, że przyjechałem z elektrownią ze Lwowa, że... Nie słuchają. Wykręcili mi ręce i ciągną gdzieś przez miasto. Na szczęście droga prowadziła obok naszego hotelu robotniczego. Mój kierownik z wysokiego napięcia, Ukrainiec, podszedł do okna, bo ludzie krzyczeli. I zbiegł na dół.

– Przecież on jest nasz – mówi.

To mnie uratowało. Inaczej byłoby po waszym Nusku. No, wojna, to nikt się nie cacka. Ktoś niby widział, że byłem na dachu i że pokazywałem lusterkiem. Świadców przecież zawsze się znajdzie.

W Kijowie ludzie powtarzali, że Niemcy zaraz tu wrócą i wszystko zbombardują. A we Lwowie atak niemiecki zahamowany, niemiecka nawała rozbita. Elektrownia wraca do Lwowa – taka jest decyzja. Wybłągałem miejsce w ciężarówce elektrowni dla siostry i jej męża. Bo Wela i Natek od pół roku pracowali w Kijowie, nawet ślub w tym mieście wzięli. Wyjechali ze mną i z innymi fachowcami.

Pierwsze, co zobaczyliśmy po powrocie, to niemieckie patrole. Na Zamarstynowie wszyscy mówili, że był pogrom. Na przystanku tramwajowym spotkałem naszą starą sąsiadkę. Zapytałem o Rudka. Dzień przed pogromem widziała przez okno, jak z walizką wybiegał z domu. Czy mogło być inaczej? On zawsze i wszędzie najlepiej wiedział, co się dzieje i co i jak trzeba zrobić. Powiecie, że mógł na brata poczekać, ale prawdę mówiąc, skąd miał wiedzieć, że wrócę z Kijowa.

– Widziała pani, jak Żydów mordowali? – spytała sąsiadkę Wela.

– Kogo oni nie mordowali, niech pani się lepiej zapyta.

Nasze lwowskie mieszkanie, w którym przeżyliśmy z Rudkiem prawie dwa lata... Szkoda gadać. Wyważone drzwi, wyłamany zamek. I tak nie miałem klucza. Musiał mi wypaść w Kijowie, jak mnie popychali. Myślałem, że będę musiał dostać się do środka przez balkon sąsiadki.

Ale co nam mogli z tego mieszkania wynieść? Ściany, sufit, podłogę? Dlatego pewnie rozczarowani nasrali na środku kuchni.

Wróciłem na wysokie napięcie, Wela znalazła pracę w aptece, a jej Natek w księgowości w przedsiębiorstwie transportowym, gdzie szefem, jak u mnie w elektrowni, był teraz Niemiec.

Mieszkaliśmy we trójkę. Rano starałem się pierwszy wyjść, żeby mieli chwilę w łóżku dla siebie.

Do Lwowa wróciła też Lotka. Pamiętacie ją? Dawna miłość Hesia jeszcze z Tarnowa. Wszyscy się w niej bujali, ale on jedyny nie bawił

się w ciuciubabkę, tylko ją uwiódł. Teraz uważajcie, bo to dla was ważne. Lotka zapukała do naszych drzwi, trzymając małe dziecko na rękach.

– To twoje? – spytałem.

– A nie widać – podtyka mi bachora pod nos – że też twojego brata?

Nie pytajcie się. Uszy małe, usta wąskie stramerowe! Hesio nie wyprze się córki. Tak że gratulacje dla dziadków.

A mnie aż zatkało na ten widok. Powiedziałem tylko:

– Jak to?

Miałem na myśli, że nic nam Hesio nie mówił o dziecku, ale Lotka nie zrozumiała mojego pytania.

– Normalnie – wzruszyła ramionami. – Na dywanie w redakcji „Czerwonego Sztandaru” zrobione.

Nigdy się przesadnie nie krępowała. Jeszcze przecież w Tarnowie opowiadano, że przyjmuje kolegów w samych majtkach i staniku. Kładzie się tak na dywanie, a oni siedzą na kanapie i nic nie mogą zrobić, bo w pokoju obok są rodzice.

– Pewnie zostanie dziennikarką... – dodała Lotka, przytulając płaczące dziecko.

Tak zamieszkaliśmy w piątkę w naszym pokoju z kuchnią.

Kilka tygodni później zaczęło się getto i noszenie opasek. Ukraińcy przyszli po mnie. Adres dostali pewnie w elektrowni.

Wela powiedziała, że Nuska Stramera nie ma. A ja byłem w pokoju obok, schowany w szafie z córeczką Lotki. Zatkałem jej usta ręką, żeby nie daj Boże nie zapłakała czy coś. I faktycznie nie zapłakała, za to obsikała mi spodnie.

Przebrałem się i założyłem kurtkę.

– Po co wychodzisz? – spytała Wela. – Przecież widzisz, co się szykuje. A jak będą strzelać?

Bąłem się wyjść normalnie, bo może są jeszcze na dole. Obok był narożny dom i chciałem się do niego dostać, z naszego balkonu skoczyć na balkon naszej starszej sąsiadki. Najwyżej spadnę, trudno

– się mówi. Ale się udało. Szkoda, że nie widzieliście tego skoku. Pomyślałem, że skombinuję coś do jedzenia, choćby kawałek chleba, i wrócę wieczorem. Byliśmy głodni. We Lwowie wszystko już było na kartki.

Ale jak tylko wyszedłem na miasto, okazało się, że dzieje się to, czego Wela najbardziej się bała.

Co robić? Pobiegłem do naszych krewnych Friedmanów. Bo kto inny został nam jeszcze? Z Rudziem na początku mieszkaliśmy u nich przez kilka miesięcy, w domu naprzeciwko bożnicy. Potem nie utrzymywali z nami kontaktu, bo byli bardzo pobożni. My z nimi też, z tego samego powodu.

Dobiegłem do ich domu. Już na klatce schodowej ugięły mi się kolana. Wszędzie były trupy. Wpadłem na górę. Nasz kuzyn Boruch leżał w korytarzu. Jego zastrzelony ojciec w pokoju, a matka w kuchni. Przykryłem ją kocem. Co więcej mogłem zrobić?

Legitymację, którą miałem przy sobie, włożyłem Boruchowi do wewnętrznej kieszeni marynarki, a jego dokument wzięłem dla siebie. Tylko wyrzuciłem zdjęcie. Sam nie wiem po co.

Wybiegłem. Na dole skręciłem w boczną ulicę przy murze bożnicy, która się jeszcze paliła. Leciały mi łzy od tego dymu. Daleko nie uszedłem.

Jak śpiewają lwowskie dzieci:

Ręce do góry,

Gacie w dół,

Forsa na stół!

Podniosłem ręce. Nie powiedziałem, że pracuję w elektrowni. Tylko że mam zawód elektryk. I nazywam się Boruch Friedman.

Zabrali mnie prosto do... Muszę przerwać na chwilę. Ktoś tu do mnie idzie. Ukrainiec, poznaję po czarnym mundurze. Askarys. Niemcy tak na nich wołają. I oni też tak się lubią meldować. Askarys Tarasiuk, *heil Hitler!* To od murzyńskich wojsk sprzed pierwszej

wojny światowej, kiedy Niemcy mieli kolonie w Afryce czy gdzieś tam. Tak przynajmniej opowiadał profesor z pryczy pode mną. Zanim się załamał. Tacy jak on szybko się załamują. Wystarczą dwa-trzy tygodnie. Wiedzą, jak co się nazywa po łacinie, ale co z tego, skoro niczego nie umieją skombinować? Nie to co ja. Tu ukradnę ubranie, tam zamienię na kromkę chleba, a kromkę na papierosy. Czosnek też jest w cenie, bo jak posmarujesz nim chleb, to wydaje ci się, że to kielbasa.

– Czego, kurwa, nie wstajesz? – wrzeszczy z daleka Askarys.

– N i e m o g ę – ledwo ruszam ustami.

Czy on nie widzi, jak wyglądam?

– Wstawaj!

Nie ruszam się z mojego barłogu.

– Pobiliście się? – Pokazuje już z bliska na moją gębę i zakrwawione łachy.

Kręcę głową.

– Kto ci to zrobił?

Skąd mogę wiedzieć, jak się nazywał ten skurwysyn? Pokazuję tylko na lewe ramię, że przyłożył mi tutaj giwerę.

I tak mogło być gorzej. Nie pobił mnie na śmierć, nie spalił żywcem, nie powiesił, nie wychłostał, a potem nie wrzucił do lodowatej wody przy minus dwudziestu. Niektórzy koledzy mieli mniej szczęścia.

Wczoraj, kiedy wróciłem wieczorem z pracy, jeden Sturmbannführer wyciągnął mnie z tłumu. Oparł karabin na moim ramieniu. Do teraz wciąż piszczy mi w lewym uchu. I strzelał do tego tłumu. Musiałem się lekko poruszyć, bo... jak nie dostanę kolbą dwa razy w gębę! Nie pytajcie się. Załamałem się krwią i wyplułem zęby.

Powiedziałem tylko:

– Mamo.

Pewny, że to moje ostatnie słowo.

Rudek często mówił, że w dzieciństwie ojciec za mało łał mnie pasem i stąd moje kłopoty. Ale czy to moja wina? Albo ojca? Czy jak się ma szóstkę dzieci, to da się wszystkie łać po równo?

A dziś przecież miałem uciec z obozu.

Zamiast tego leżę tu, półprzytomny i spuchnięty, na górnej pryczy w pustym drewnianym pięćsetosobowym baraku. Przynajmniej pryczę mam całą dla siebie, nie? Wy, wychowani na Goldhammera 20, rozumiecie, o co mi chodzi.

Wczoraj urwał mi się film. Nie pamiętam, jak tu trafiłem. To było bardzo przyjemne uczucie. Wydawało mi się, że jestem u rodziców w Tarnowie i leżę w łóżku obok Rudzia. A to wszystko, wojna, Lwów, obóz, to tylko mi się śniło. I zacząłem opowiadać im ten mój zły sen. Po pewnym czasie zorientowałem się, że coś tu nie gra. Niemożliwe, żebym tak długo mówił i nikt mi nie przerywał, nie wchodził w słowo. Takie rzeczy nie zdarzają się w rodzinie Stramerów. Ale i tak dalej gadam do siebie.

Jak mnie pouczali moi starsi bracia – Rudek, Salek i Hesio – staram się szukać dobrych stron. Drzę z zimna, ale przynajmniej nie szczękam zębami. A jeśli wyjdę stąd żywy, będę musiał mieć sztuczną szczękę, za to oszczędzę na dentyście.

W nocy nie przeszkadza, że w baraku nie grzeją, bo jest pięćset grzejników nastawionych na ponad trzydzieści sześć stopni Celsjusza. A w dzień? Wystarczy, że pójdą do pracy, i momentalnie zamarza podłoga.

Dziś rano pierwszy raz nie wstałem i nic nie zjadłem na śniadanie. Jak miałem pogryźć czternastogramową kromkę chleba?

Po śniadaniu zawsze ustawiamy się czwórkami. Do bramy prowadzi nas gestapo, a za bramą już wojsko. Z nimi łatwiej się dogadać. Zamawiają u nas części z magazynu, najczęściej samochodowe strzałki – kierunkowskazy. Sami nie mogą ich brać, bo jak wpadną na kradzieży, to nie dostaną urlopu. W zamian dają nam kupon do Meinla i przymykają oko, kiedy trzeba.

Schodzimy Janowską, śpiewając:

*Albośmy to jacy tacy
Z janowskiego łagru pracy,
Kto nas nie zna, może poznać.
Chuj ci do dupy, kurwa mać!*

Mijamy ludzi, którzy spieszą do roboty, odprowadzają dzieci do szkoły. Dzieci na nas patrzą z ciekawością, a dorośli odwracają wzrok.

*Gdy wyciągną cię z kolumny,
Nie dostaniesz nawet trumny
I na piaski pójdziesz spać.
Chuj ci do dupy, kurwa mać!*

Po drodze odchodzą kolejne głosy. Każda brygada skręca do swojego warsztatu.

*Akcja w maju, akcja w lutym,
Żonę z dzieckiem masz za drutem,
Serce chce się z bólu rwać.
Chuj ci do dupy, kurwa mać!*

Ja i jeszcze czterech fachowców skręcamy do НКР. Hertz Kraft Park. To oddział Boscha, w którym naprawia się samochody.

Na dziś umówiony byłem z Aśką Tecko. Na Janowskiej w przechodniej bramie, przy babach, co sprzedają placki ziemniaczane. I pewnie Aśka teraz tam przy nich czeka.

Jak w zeszłym tygodniu, kiedy niby nuciła:

– Nusek! Norbert!

Podbiegłem i zapytałem zaraz:

– Po ile placki?

Te baby miały łapy czarne od brudu, a i tak dałbym wszystko, żeby kupić od nich taki placek.

– Kiedy będziesz gotowy? – spytała Aśka.

– Po marce – powiedziała baba.

– Słuchaj. – Nachyliłem się do Aśki. – Dobry dzień jest czwartek.

– Bierzesz pan? – spytała baba.

– Boruch! – Niemiec pogroził mi karabinem. – Idziesz?

Skinąłem mu głową.

– Będę miała dokumenty i torbę z ubraniami – szepnęła Aśka. – Tu jest brama przechodnia.

– Bierzesz pan, do cholery, czy nie? – krzyknęła baba od placków.

Kiedy biegłem z powrotem do mojej brygady, usłyszałem jeszcze głos Aśki:

– Oni się pomylili, uważają go za Żyda, a on jest katolik. Ja jestem jego krewną.

Otwierają się drzwi do baraku. Słyszę niemieckie gadanie. No to koniec, myślę, kulka w łeb i *auf Wiedersehen* – pożegnałem się już z wami.

Ale nie. Biorą mnie półprzytomnego na nosze. Boli jak diabli. Co teraz ze mną zrobią? Niosą. Pakują do samochodu.

Myślę: nie jest źle, bo mijamy podwójne oparkowanie, między które wrzuca się ludzi, żeby wyli i umierali z głodu.

Jedziemy Janowską, którą chodzę co rano do pracy. Znam ją na pamięć. Czuję każdą cholerną kostkę brukową. Pierwszy raz jadę nią samochodem. Skręcamy na podwórze Hertz Kraft Park, gdzie naprawiam ciężarówki. Okazuje się, że to Knip, nasz szef, przysłał ich po mnie. Nie chciał stracić fachowca! Kazał położyć mnie w warsztacie na starym materacu. Opowiedziałem, co i jak. Przyszedł lekarz wojskowy. Popatrzył, umył.

Codziennie dostawałem zupeę. Po trzech dniach mogłem chodzić. Po tygodniu doszedłem do siebie i wróciłem do obozu. Dowiedziałem się, że Knip odszukał tego skurwysyna Sturmbannführera, który mnie pobił. I wysłali go na front. Na front... Nie muszę wam mówić, że on wolał zostać w obozie, prawda?

Dwa miesiące później w drodze do pracy znowu zobaczyłem Aśkę Tecko przy babach z plackami ziemniaczanymi. Umówiliśmy się na następny dzień obok przechodniej bramy.

Z żołnierzami byłem dogadany, za cztery strzałki kierunkowskazów z warsztatu będą patrzeć w drugą stronę.

Powiedziałem, że to moja dziewczyna przyjechała, pochodzimy sobie trochę i wieczorem, jak reszta będzie wracała do obozu, dołączę do nich w tym samym miejscu. W warsztacie wiedzieli to samo.

Aśka miała dla mnie ubrania, bilet do Warszawy i papiery. Wbiegliśmy w bramę, na podwórku przebrałem się pod śmietnikiem i wyrzuciłem obozowe ciuchy. Dalej poszliśmy już spokojnie na przystanek tramwajowy.

Dowiedziałem się, że to Welka z Natkiem przysłali Aśkę po mnie. Im też pomogła wydostać się ze Lwowa i dojechać do Warszawy. Dlaczego przed wojną nie lubiłem tego Natka? Może faktycznie, jak mówił Rudek, byłem o niego zazdrosny?

– Natek jest teraz księgowym w przedsiębiorstwie prywatnym – opowiadała Aśka. – A Wela pracuje w fabryce śrub i nitów. Swoje piękne włosy musiała utlenić.

WELA

Kiedy Wela wyszła z pracy i skierowała się do przystanku tramwajowego na Wolskiej, zaczepił ją na ulicy chłopak, pewnie w jej wieku, koło dwudziestki.

– Żydówka! – złapał ją za rękę. – Żydówka!

Wołał do ludzi na ulicy. Robił przedstawienie. Oni zawsze tak robią. I to zawsze działa. Kilka osób się zatrzymało.

– Odczep się – próbowała się wyrwać.

– Góral albo gestapo – powiedział tym razem już do niej.

Zamiast ucieczki gonitwa myśli. Skąd ci wezmę pięćset złotych, jak zarabiam trzydzieści pięć na tydzień? Nawet nie wiem, jak wygląda pięćset złotych. A co, jeśli to dziś przyjechał Nusek i czeka na mnie na Żoliborzu? Co zrobi, jak nikt po niego nie przyjdzie? A co zrobi Natek, jeśli nie wrócę do domu? Jego też dopiero co napadli. Koło domu dwóch typów wciągnęło go do bramy. Miał szczęście. Tylko pobili go, zabrali zegarek i drobne. Zwykły rozbój. Nie zorientowali się i puścili go wolno.

Wela nie zauważyła, kiedy dziewczyna w zielonej sukience podeszła do szmalcownika.

– Ty chuju złamany – powiedziała. – Odpierdol się od niej!

To był dopiero początek wiązanki, ale Wela z nerwów tylko tyle zapamiętała. I że szmalcownik puścił jej rękę.

– Nie gadaj z tym złamanym chujem – powiedziała dziewczyna. – Chodź ze mną.

I zaprowadziła ją dwie ulice dalej, do swojego mieszkania na pierwszym piętrze. Skromny pokój z łazienką. Usiadły na tapczanie. Wela zobaczyła, że trzęsą jej się kolana. Dziewczyna zaparzyła herbatę. Trzymały filiżanki w rękach. Nie było gdzie ich odstawić.

– Ten typ się przyczepił... – zaczęła nieśmiało Wela. – Uratowałam mnie. Dziękuję ci.

– Nie ma o czym gadać – dziewczyna machnęła ręką. – Zapomnij o nim.

Dopiły herbatę. Dziewczyna spojrzała na zegarek i wzięła filiżankę od Weli.

– A teraz wybywaj, bo zaraz frajer przychodzi.

NUSEK

W pociągu uczyłem się, że od dziś nie jestem już Nusek ani Boruch, tylko nazywam się Stanisław Kuczyński, syn Teofila i Zofii, urodzony w Kruszczanach. A może Krasiczanach? Zaraz to sprawdzę.

Z nas trzech to ja, Nusek, od zawsze pytałem ojca i Rudka o wszystko. Boruch już dawał sobie radę sam i Stasiak też będzie musiał.

Asia Tecko o Rudziu nic nie wiedziała, poza tym że uciekł na Wschód. O rodzicach i Róży w Tarnowie też nic. Czy wciąż tam są? Czy w ogóle jeszcze...

Przypomniało mi się, co mama opowiadała o małym Rudku. Jak raz ojciec coś mu kazał, a on odpowiedział:

– Nie możesz za mnie decydować.

– Bo co?

– Bo jak będę duży, nie będę wiedział, co mam robić – powiedział podobno bez zastanowienia, kiedy miał sześć lat. – I będę musiał cały czas cię pytać.

Skończyło się na amerykańskim pasie, ale matka była taka dumna z tej odpowiedzi, że powtarzała ją przy każdej okazji, aż w końcu stała się słynna w naszej rodzinie.

Z tego, co ja mówiłem w dzieciństwie, ojciec najwyżej powtarzał czasem: Tatusiu, pożycz mi swoją bułkę, zaraz ci ją oddam, tylko najpierw zjem.

Poczułem się znowu jak dzieciak. Jakbym zasypiał z Rudkiem w naszym wspólnym łóżku na Goldhammera. Miękka poducha, zapach niedosuszonej pościeli.

Obudziły mnie krzyki po niemiecku.

Czy ta cała ucieczka to był tylko sen, a ja wciąż siedzę w obozie?

– Rewizja!

Otworzyłem oczy. Aśka siedziała naprzeciwko mnie, między grubymi babami, z których każda zajmowała po dwa miejsca. Pokazywała właśnie Niemcom swoje papiery. Nawet nie spojrzała w moją stronę. A tym babom żołnierze kazali podnieść spódnice. Nie pytajcie się... To dlatego tak pięknie pachniało w przedziale przez całą drogę. One tam miały balerony!

Niemcy od razu im je zabrali.

Byłem taki chudy, że nawet mnie nie sprawdzili. Ledwo spojrzeli na moje papiery, i tyle. Co ich obchodził jakiś Kuczyński?

Na korytarzu w drodze do kibla usłyszałem, że jest łapanka na dworcu w Warszawie. To mogła być plotka, ale lepiej niech inni to sprawdzą. Udało nam się wyskoczyć na tory tuż przed stacją na Pradze.

Było rano. Mocne wiosenne słońce. Dopiero teraz uwierzyłem, że naprawdę uciekłem.

WELA

Jak miała na imię tamta drobna dziewczyna w zielonej sukience? Wela czuła żal, że nie spytała jej o to. W pracy, w fabryce śrub i nitów, też nie mogła przestać o niej myśleć.

Nie zauważyła nawet, jak pan Sikora, właściciel tej jednoizbowej fabryczki, w której od ponad trzech miesięcy pracowała, podniósł rękę znad swojego szklanego przepierzenia. To znak, na który wciąż czekali pracownicy. Przerwa. Wszyscy błyskawicznie wstali znad maszyn. A Wela chwilę po nich.

Przerwa trwa tylko piętnaście minut.

Każdy wyjął, co miał do jedzenia. Zdążą na stojąco wypić przy żelaznym piecyku kawę z cykorii, zamienić dwa słowa i wypalić papierosa. Było ich w sumie ośmioro: jeszcze jedna dziewczyna i sześciu chłopaków. Wszyscy w jej wieku i biedni jak ona, ale ze wsi, półanalfabeci.

Raz jeden zapytał:

– Jest taka książka *Pan Tadeusz*, nie?

Inni wzruszyli ramionami.

– Kto to napisał?

Nikt nie wiedział. I Wela też pokręciła głową.

To ciągle udawanie, którego nienawidziła.

Dlaczego muszę być Janiną Murawską? – myślała przed zaśnięciem w pokoju, który z Natkiem nazywali norą. A nie mogę być sobą, Wilhelminą Kierbel, z domu Stramer?

Mieszkali w jednym domu, ale widywali się wyłącznie w dzień, na noc każde musiało wrócić do siebie. Mieli przecież różne nazwiska

i nie tylko nie wypadalo, ale bylo niemozliwe, zeby w tym eleganckim domu mogli mieszkać razem, nie będąc małżeństwem. Natek jako Bolesław Markowski wynajmował pokój na strychu, a ona jako Murawska, przyjaciółka pana Bolesława, na parterze. Pani domu pościeliła jej na zapadającej się kanapie.

To Aśka Tecko, znajoma Rudka, znalazła im ten adres. Wcześniej uratowała ich we Lwowie. Kiedy zaczęła się akcja, byli w drodze do pracy. Nie mieli gdzie się ukryć. Niemcy strzelali, ludzie w panice uciekali, wpadali na siebie. Niedaleko była gmina żydowska, Natek pociągnął Welę za rękę i pobiegli tam.

– Jesteśmy stąd. Schowajcie nas – prosiła Wela.

Ale facet, który stał w drzwiach, pokręcił łysą głową.

– Wpuść nas! – krzyknął Natek.

– Nas jest tylko kilka osób, my tu razem pracujemy. Nam nie wolno nikogo... Musicie stąd uciekać. – Zamknął im drzwi przed nosem.

Usłyszeli dźwięk metalowej zasuwki. Natek kopnął w te drzwi.

Wrócili na ulicę – wszystko działo się tak szybko. Już jakiś inny facet, też łysy, zagroził im drogę. Tym razem Polak albo Ukrainiec.

– Uciekają! – krzyczał po polsku i pokazywał na nich. – Żydzi uciekają!

Kiedy spróbowali go wyminąć, złapał Welę za kołnierz płaszcza.

– Ale ode mnie nie uciekniecie!

Natek zaczął się z nim szarpać. Wela zobaczyła, jak z knajpy po drugiej stronie ulicy wychodzi pijany Niemiec w mundurze.

– *Kommen* – zawołał do niego łysy, pokazując na Welę i Natka – *kommen*.

Czas nagle zwolnił.

Niemiec miał do pokonania trzy schodki, żeby zejść na ulicę. Trzy zmurszałe, popękane schodki. Wela najlepiej je zapamiętała. Nawet teraz, w fabryce śrub i nitów, znowu zobaczyła, jak Niemiec powoli po nich schodził, jak szukał ręką poręczy, której nie było, jak powoli stawiał swoje wypastowane oficerki. Na drugim schodku lekko się

zachwiał, ale utrzymał równowagę. Na pierwszym sięgnął do przyczepionej do pasa kabury.

To już koniec. – Wela spojrzała na Natka.

Podszedł do nich chwiejnym krokiem, machając pistoletem. Odbezpieczył go. I przyłożył facetowi do twarzy:

– *Los! Raus!*

A do Weli i Natka:

– *Weg!*

Dwie ulice dalej wpadli na Aśkę Tecko. Nie musieli jej nic tłumaczyć. Zawiozła ich do fabryki trumien, w której kiedyś pracował Rudek, a ona wciąż była młodszą księgową. Zamknęła ich w magazynie. Pięknie pachniało drewnem. Przespali tam dwie noce, też oddzielnie, każde w swojej trumnie.

– Tylko się nie przyzwyczajajcie – powiedziała Aśka.

Potem przywiozła ich pociągiem do Warszawy. Niecały rok temu, czy to możliwe? Wela czuła, jakby minęło już co najmniej dziesięć lat.

W tym tygodniu Aśka miała ze Lwowa przywieźć Nuska. Byli umówieni, że będzie czekał na Welę o piątej po południu przy sklepie kolonialnym koło pętli tramwajowej na Żoliborzu. W poniedziałek go nie było, wczoraj też nie, a dziś?

Dlaczego Aśka tak im pomaga? Wela początkowo podejrzewała, że Natek wpadł jej w oko. Nic dziwnego. Nie było przystojniejszego chłopaka w okupowanej Warszawie. Wszyscy tak mówią. Nawet ich gospodyni na Żoliborzu.

Pewnie dlatego tak jej nie lubi. Jest zazdrosna albo coś podejrzewa. W każdym razie po dwóch miesiącach oprócz opłaty za pokój doszła dodatkowa kwota.

– Ale za co? – zdziwiła się Wela.

– Za opał – wytłumaczyła jej pani Kalinowska. – Przez to, że ty tu śpisz, to psujesz meble.

– Jak psuję meble?

– Normalnie. Jak oddychasz, to się robi wilgoć i meble się psują. Dlatego trzeba dogrzać ten pokój.

Z okien fabryczki na trzecim piętrze mieli widok na getto, które znajdowało się po drugiej stronie muru przy ulicy Towarowej. Od rana słyhać było strzały i czuło się dym. Wszyscy zerkali tam z ciekawością. Aż pan Sikora musiał wstać i zamknąć okno.

Dopiero teraz, na przerwie, będą mogli zobaczyć, co tam się dzieje.

Wela sięgnęła do torebki po kanapkę i zaczęła odwijać ją z papieru.

– Patrzcie, mała ucieka – usłyszała.

I jak inni podeszła do okna.

Za murem trwała łapanka. Dziewczyna, młodsza od niej, mogła mieć szesnaście–siedemnaście lat, biegła przez bramy i podwórka. Trzecie podwórko, na które wbiegła, nie było przechodnie. Schowała się za drzewem, za wysokim kwitnącym kasztanowcem.

Niemcy wbiegli za nią.

– Złapią czy nie złapią? – ekscytowali się koledzy Weli, kończąc drugie śniadanie.

Wela zacisnęła palce na kanapce z masłem.

Niemcy rozglądali się po podwórku. Drewniany trzepak, rozpadająca się komórka i śmietnik. Nie widzieli nigdzie dziewczyny. Może nawet by odpuścili dalsze poszukiwania, gdyby nagle nie wyskoczyła z za drzewa, żeby schować się za śmietnikiem.

Nie rób tego! – chciała krzyknąć Wela.

Jeden spokojny chłopak, który rzadko się odzywał, aż zaklaskał:

– No, złapali Żydówkę!

Wela usłyszała śmiech koleżanek i kolegów, z którymi często razem żartowała.

NUSEK

Przed wejściem do tramwaju Aśka szepnęła mi:

– Trzymaj się prosto, śmiało, głowa do góry.

Przez to niepatrzenie pod nogi prawie wywaliłem się na schodkach, wchodząc do pełnego oficerów wagonu Nur für Deutsche. No dobra, dobra... Przynajmniej tak to opowiadałem wieczorem Welce i Natkowi.

Tak naprawdę prawie że wywaliłem się, wsiadając do zwykłego wagonu dla wszystkich, ale za to z muzyką. Gruby chłopak grał na harmonii przy drzwiach, a jego młodszy brat albo kolega z kaszkietem w ręce przepychał się między pasażerami i śpiewał.

Ile mógł mieć lat ten gówniarz? Dwanaście? Był coraz bliżej nas. Miał taki cienki głosik, na pewno jeszcze przed mutacją. W końcu stanął koło mnie i zaśpiewał, patrząc mi w oczy.

W Saskim Ogrodzie koło fontanny

Już tam nie chodzą żydowskie panny...

Dla kurazu szybkim ruchem podniosłem rękę do głowy i powoli przejechałem po moich krótkich blond włosach. Stary trik. Rudek często mi to robił w dzieciństwie, jakby miał mnie uderzyć.

– Nie bój się – mówił. – Bo ja sam w strachu.

Gówniarz aż zamrugał.

Aśka wrzuciła mu monetę, poszedł fałszować dalej.

Przejechaliśmy przez Wisłę. Patrzyłem na ludzi, którzy nad brzegiem wystawiali twarze do słońca, szczęśliwi jak nasz ojciec w Tarnowie przed kawiarnią U Stramerów. Wysiedliśmy na Żoliborzu, ale spotkanie z Welką i Natkiem miałem dopiero po południu. Aśce się spieszyło, wcisnęła mi do ręki cztery złote i pobiegła do swoich spraw. Co zrobić? Postąłem chwilę. Nie będę przecież sterczał sześć godzin na przystanku. Pokręcę się po mieście. Warszawę znałem tylko z opowiadań Hesia. Przyjechała trójka, wsiadłem, kupiłem u konduktora bilet. Kierunek: Mokotów. Przejadę się, co mi szkodzi?

Patrzyłem przez okno na zewnątrz, ale myślami byłem w środku tramwaju. Dlaczego wszyscy gadają wciąż o jednym? Chyba że mi się

tak wydaje. Przestraszyłem się, że to tylko u mnie w głowie, że zwariowałem w tej Warszawie. Ale nie, z każdego miejsca słycać było:

– Żydzi, Żydzi, Żydzi.

Dopiero wtedy zauważyłem chmurę dymu nad miastem.

Przy dużym placu z wesołym miasteczkiem z huśtawkami i karuzelą ludzie najgłośniejsz kaszleli i narzekali. Mnie też dusiło w gardle.

Powstanie w getcie – bo właśnie o tym gadali. Że to mi się akurat, cholera, trafiło w dzień mojego przyjazdu.

Dziękuję bardzo za takie przyjęcie.

Pół dnia jeździłem tramwajem. Z pierwszego przystanku na ostatni i z powrotem. I chodziłem, chodziłem, chodziłem. Nawet ładne miasto, bogate. Ale moja godzina spotkania z Welą i Natkiem przed sklepem kolonialnym na Żoliborzu prawie się nie przybliżała. Co było robić? Znowu pojechałem na Mokotów.

Zauważyłem, że ci, którzy jeździli na cycu za drugim wagonem, nie płacili za bilet. Na widok kontrolera mogli w każdej chwili zeskoczyć na ziemię. Jakiemu kontrolerowi chciałoby się gonić tych chłopaków? Przez chwilę się wahałem, czy też tam nie wleźć. Ale nie, mogłem dostać coś gorszego niż mandat.

Z Warszawy najbardziej spodobały mi się ryksze. Na ulicy co chwila ktoś krzychał: ryksza! Potem wsiadał na siedzenie z przodu, a rykszarz siedział z tyłu i pedałowal. Nie widziałem tego w Tarnowie, w Krakowie ani we Lwowie. Pewnie to warszawski wynalazek. Aż dziwne, że Hesio nic mi o nich nie mówił. W końcu przed wojną przemieszkał tu parę lat. Ale jak go znam, to nie za nimi się oglądał.

Widziałem, jak rykszarze, którzy nie mieli klientów, zrobili sobie wyścig. A jeden nawet przez chwilę ścigał się z naszym tramwajem i wyprzedziłby go, gdyby tylko kaszkiet nie spadł mu z głowy na Adolf-Hitler-Platzu.

Wysiadłem na Mokotowie, pokręciłem się trochę, pogapiłem na plakaty, które były rozlepione na murach i słupach ogłoszeniowych.

ŻYDZI WSZY TYFUS PLAMISTY

ŻYDZI ROZSIEWAJĄ TYFUS

Brodate gęby z czarnymi oczodołami, wielkimi odstającymi uszami i krzywymi nosami. I te same wielkie wszy, co w Tarnowie i we Lwowie.

Na wszelki wypadek zatrzymałem się przed restauracją Pod Klonem. Przez szybę zobaczyłem, że w środku jest pełno. Wystrój Francja-elegancja. Powodzi się. Pomyślałem znowu o ojcu, jak stał dumny w Tarnowie przed naszą rodzinną kawiarnią.

Niby studiuje menu i napis, że „tu można tanio zjeść, obiad za cztery złote”, ale co mnie to obchodzi? W kieszeni zostało mi już tylko czterdzieści groszy na jeden bilet. Tak naprawdę gapię się na moje odbicie w szybie. *Co temu winien Moniusz, że jest taki śliczny* – zagwizdałem piosenkę kabaretową. Nie mam nic wspólnego z tymi pokrakami z plakatów.

Co temu winien Moniusz, że ma taki wdzięk?

Czy to jest zbrodnia taki wygląd estetyczny?

Po pobiciu nie mam już nawet śladu na gębie. Nie wolno mi się tylko uśmiechać. Ale czy w ogóle będę miał powód?

Na jego widok nawet kamień też by zmiękł.

Sprawdziłem w szybie, jak leżą ubrania od Aśki. Brązowa marynarka całkiem, całkiem, za szeroka w ramionach nie więcej niż o dwa numery. Zielona koszula z lekko przetartym kołnierzykiem też ujdzie w tłoku. Najlepsze są brązowe spodnie, jak nowe. Gdybym jeszcze nie musiał ich co chwila podciągać. Ojciec to miał

przynajmniej porządny amerykański pas z mosiężną klamrą. Nawet obiecał mi go kiedyś. Przydałby się teraz.

Ale co tam! Od dzieciństwa donoszą ciuchy po starszych braciach. W obozie też wszystko było za duże. Raz w tygodniu po kąpielach i odwszawianiu brało się co popadnie i potem wymieniano z innymi.

Rozpiąłem i zapiąłem marynarkę, ale tylko na najwyższy guzik, jak mnie mój brat Hesio uczył jeszcze w Tarnowie. Zaraz poczułem, że mam lepszy wygląd.

A że w kobietach wzbudza zapal erotyczny?

A że we wszystkich wzbudza zachwyty bezgraniczny?

W szybie zobaczyłem niemiecki patrol. Przestałem gwizdać. Dwóch szkopów z przewieszonymi przez ramię automatami przechodziło na moją stronę ulicy. Weszli w moje odbicie, nałożyli się na nie, a wtedy puściły mi nerwy. Pchnąłem drzwi restauracji.

Jak pięknie zapachniało mi od wejścia.

– Czym mogę służyć? – Ulizany kelner w białej koszuli zagroził mi drogę kartą dań.

Widać słusznie ocenił, że to nie miejsce dla mnie. Inni to jednak najlepsze lustro. Przynajmniej w czasie wojny. Był wysoki i szeroki w ramionach jak jakiś cholerny zapaśnik. Kiedy mnie wykopie na ulicę, tamci już się mną zajmą.

Jak w tym dowcipie, który dopiero co usłyszałem w tramwaju. Poszło dwóch Żydków na lody. Jeden dostał trzy kulki, a drugi z automatu.

Pół wagonu się śmiało. Ja też. Bo co miałem robić?

Może teraz spytam kelnera, czy nie potrzebują kogoś do roboty? Znam się na tym. W końcu od szczeniaka kelnerowałem U Stramerów.

– Obiad proszę – powiedziałem.

Kelner był równie zaskoczony jak ja, tylko w przeciwieństwie do mnie nie potrafił tego ukryć.

– Ten za cztery złote.

Dobra, usiądę. Co mi szkodzi? Usiądę, on pójdzie do kuchni, a ja wyjdę i wskoczę do tramwaju. I tyle mnie widzieli.

– Właśnie wydałem ostatnią porcję. Ale mogę polecić coś z dań na zamówienie.

Podał mi elegancką kartę w skórzanej oprawie, którą wcześniej mnie zatrzymywał. Niewiele miała wspólnego z widocznym z ulicy krzywo przyklejonym do szyby menu. Sama zupa od pięciu złotych. O w dupę! Jest nawet żółwiowa za osiem.

Wybrałem stolik najbliżej drzwi. Zagłębiłem się w lekturze karty. Z dań najtańszy był forszmak wieprzowy za siedem złotych. Co to jest w ogóle ten forszmak? Sznyceł cielęcy za dwanaście złotych, wątróbka z cebulką za piętnaście złotych, kotlet wieprzowy za osiemnaście złotych. Piękna lektura! Ale czy samym czytaniem się człowiek naje?

Zamówiłem kotlet wieprzowy. Co sobie będę żałował?

Kiedy kelner zniknął w kuchni, spokojnie wyszedłem.

Na ulicy zorientowałem się, że nie wyszedłem tak całkiem z niczym. Zabrałem ze sobą zapach smażonego mięsa i idąc Puławską, wciąż czułem fryturę na ubraniu. Taki perfum to ja rozumiem!

Znowu wsiadałem w trójkę i pojechałem z powrotem na Żoliborz.

WELA

– Ona leci na ciebie – powiedziała Wela do Natka, który skromnie wzruszył ramionami.

Nusek spojrział na szwagra z uznaniem.

Tak jak ustalili we trójkę po drodze, Natek pierwszy wszedł do domu i zapukał od razu do salonu, gdzie zwykle popołudniami siedziała gospodyni. Miał ją zagadać.

– Proszę, panie Bolesławie. – Kalinowska podniosła się z szezlonga.

Natek zamknął za sobą drzwi i dopiero wtedy Wela z Nuskiem przeszli ciemnym korytarzem w głąb domu.

Na pewno jest szczęśliwa – Wela oczami wyobraźni widziała, jak Kalinowska, poprawiając blond loki, wbija wzrok w jej męża.

W domu pachniało obiadem. Gotowanymi kartoflami i koniną. Nusek instynktownie ruszył za tym zapachem w stronę kuchni, Wela musiała przytrzymać go za rękaw i pociągnąć w kierunku schodów prowadzących na strych.

Usłyszeli jeszcze słodki głos gospodyni:

– Panie Bolesławie drogi, co dobrego pana sprowadza?

Nusek zdjął buty (to też omówili przed wejściem do domu), żeby na drewnianych schodach stukały tylko obcasy Weli. A ona specjalnie stawiała je mocniej niż zwykle. Nusek wziął buty pod pachę. Skarpety miał tak dziurawe, że Wela widziała każdy palec. Chociaż razem z innymi ubraniami przekazała mu przez Aśkę parę porządnych skarpet. Pewnie gdzieś zginęły po drodze.

Na pierwszym piętrze stopy w dziurawych skarpetach nagle stanęły. Wela podniosła wzrok i też zobaczyła staruszkę w białej nocnej koszuli pchającą w ich stronę metalowy balkonik.

Wela popchnęła brata, żeby szedł dalej.

Tak jak myślała, staruszka minęła ich bez słowa. To nie duch, tylko teściowa Kalinowskiej, do której od dawna już nic nie docierało. Nawet gdyby Wela przyprowadziła tu całą swoją tarnowską rodzinę, Rywkę i Nathana, Rudka, Salka, Renę, Hesia i Nuska, razem z psem Suchardem i kotką Milką, staruszka też nie zwróciłaby na nich uwagi. Całymi dniami tylko chodzi po domu, od pokoju do pokoju, powtarzając: Piotr, Piotrek, Piotruś, jakby bawiła się w chowanego ze swoim synem, polskim oficerem, który na samym początku wojny znalazł się za granicą. Podobnie zresztą jak wielu ich żoliborskich sąsiadów, generałów i pułkowników. Razem z polskim rządem uciekli najpierw do Rumunii, a stamtąd do Francji i potem do Anglii. Wela wiele razy słyszała o „londyńskich skurwysynach”. Ulica przeklinała ich za klęskę wrześniową. Generałowe i pułkownikowe zostały w Warszawie i wynajmowały pokoje, żeby się utrzymać.

Na poddaszu Wela powiedziała Nuskowi na ucho:

– Stara Kalinowska jest niegroźna. Nawet synowa mówi na nią „ruchomy mebel”, że kiedyś przez ten ruchomy mebel dostanie cholery.

Nusek rozejrzał się po pokoju ze skośnymi ścianami: szafa na ubrania, okrągły stół i tapczan, na którego widok Nuskowi zaświeciły się oczy.

Wela mogła wreszcie przyjrzeć się bratu. Ich przywitanie na ulicy było możliwie obojętne, jakby codziennie mijali się pod sklepem kolonialnym, a nie ostatnio widzieli się we Lwowie, kiedy nosili jeszcze opaski z gwiazdą Dawida.

– Cześć, Stasiu – powiedziała teraz z uśmiechem.

– Cześć, Janka. – Nusek ją przytulił.

Wela zauważyła, że coś zmieniło się w twarzy brata. Nie tylko dlatego, że schudł. Miał zaciętą minę, zaciśnięte usta.

– Ładnie ci w blond włosach – szepnął Nusek.

Opowiedziała mu szeptem, że w Warszawie jest całe ich tarnowskie towarzystwo. Że trzymają się razem, stale się spotykają i ciągle jeden mówi drugiemu: słuchaj, widziałem tego i tamtego...

Powtórzyła mu dowcip, który krąży ostatnio po mieście wśród ludzi na aryjskich papierach.

Jeden facet goni drugiego po Warszawie. Goni, goni. Po chodnikach, po ulicach. Wreszcie pierwszy zatrzymuje się i pyta:

– Czego pan chce?

– Chciałem tylko panu powiedzieć, że koszerne jedzenie jest na rogu Nowogrodzkiej i Poznańskiej.

Wela zatkała Nuskowi usta, żeby się ciszej śmiał.

I poczuła, czemu je tak zaciskał.

NUSEK

Pierwszy raz od dawna nie obudziły mnie wrzaski po niemiecku, ukraińsku czy polsku – tylko ptaki za oknem. Ćwierkały jakby nigdy nic. Kto wie, może też klną na czym świat stoi?

Nikt mnie nie zrzucił z pryczy. Nie wymachiwał mi pistoletem nad głową. Tapczan był tak wygodny, na jaki wyglądał. A nawet bardziej. Spałem nie pod dziurawym śmierdzącym kocem, tylko w pościeli. I to czystej.

A że obok leżał mój szwagier i wbijał mi się łokciem w zebra... I że było jeszcze ciasniej niż w dzieciństwie, kiedy na Goldhammera spałem w jednym łóżku z Rudkiem. W dzisiejszych czasach gorsze rzeczy da się przeżyć.

Spałem z Natkiem na jednej poduszce i chuchał mi w gębę, ale nie mogłem nie zauważyć, że on z bardzo bliska to też piękny mężczyzna.

Że też, cholera, nie urodziłem się kobietą. Zaraz bym się na niego zrzucił. Świetnie rozumiem Welkę i tę generałową.

Wieczorem, kiedy Welka poszła już do siebie na dół, żeby nie wzbudzić podejrzeń gospodyni, Natek mi co nieco szepnął o tej Kalinowskiej.

W obozie nie miałem snów. A tu proszę, pierwsza noc w Warszawie na oficerskim Żoliborzu i od razu piękny sen. Dużo bym dał, żeby do niego wrócić.

Generałowa Kalinowska – jak żywa z opowiadań Natka – podeszła do mnie i spytała: Panie Stanisławie, czy wie pan, jak witają się Eskimosi? Nie zdążyłem odpowiedzieć. Przysunęła się i zaczęła pocierać nosem o mój nos. Potem spytała, czy wiem, jak Eskimosi się całują. Pokręciłem głową. Pocałowała mnie w usta. Zwyczajnie. Nie różniło się to od tego, jak całują się Żydzi czy Polacy.

Napierała na mnie biustem i wzdychała: Panie Stanisławie, panie Stanisławie... Jak w teatrze. To mnie cholernie podnieciło. Żeby się powstrzymać, próbowałem myśleć o czymś innym. Nie udało mi się.

Potem sobie przypomniałem, że na słupach, obok Żydów roznoszących tyfus plamisty, mignęły mi bardziej kolorowe plakaty: *O czym marzą kobiety, Trunki i pocałunki, Kajaki i krzaki*. A Natek mi mówił, że generałowa uwielbia teatr, dopiero co była na *Cacku z dziurką*. Nic nie robi sobie z podziemnych ulotek i napisów na murach. „Same świny siedzą w kinie, co bogatsze, to w teatrze”. Nie

tylko ona – sale są pełne, a miejsca wyprzedane na parę tygodni do przodu.

Kalinowska, wciąż wzdychając, uknęła przede mną. Z całych sił znowu próbowałem skierować swoje myśli w stronę Żydów roznoszących tyfus. Bezskutecznie. Generałowa była ich przeciwieństwem. W dodatku zaczęła mi się teraz dobierać do rozporzka. A w salonie jasno, biały dzień. Przeraziłem się. Nie mogę sobie dać ściągnąć majtek. Ale przecież niczego bardziej nie chciałem. Nie, taka miłość jest dla mnie najniebezpieczniejsza. To byłby koniec. Żadne aryjskie papiery już mi potem nie pomogą. Normalnie bym pewnie coś wymyślił, ale we śnie byłem bezsilny.

Na szczęście usłyszałem z korytarza drobne hałasy i skrzypienie podłogi, a zaraz po nich znajome: Piotrze, Piotrek, Piotruś, i „ruchomy mebel” wjechał do salonu ze swoim balkonikiem.

Stara Kalinowska nie wiedziała, że ratuje mi życie. Niewzruszona tym, co jej synowa ze mną wyrabia, kontynuowała swój obchód.

Po jej wyjściu atmosfera była już inna, generałowa przestała wzdychać, a ja zebrałem się w sobie i powiedziałem stanowczo:

– Tak nie można. Pani mąż to polski generał. Pani pewnie z tęsknoty do niego... To niewłaściwe. Pani wie, że ja działam w konspiracji. To niepatriotycznie, nie po chrześcijańsku...

Kalinowska wstała, jeszcze zgrabniejsza niż w opowiadaniach Natka, i położyła mi rękę na ustach.

Piękny sen. Nieskonsumowany jak kotlet wieprzowy z restauracji Pod Klonem.

Hesio kiedyś mi powiedział, że najlepiej wspomina swoje niespełnione miłości. Pewnie chciał mnie pocieszyć, bo ile mógł ich mieć? Może dwie–trzy na sto? Ja też tylko takie wspominam, nikt nie musi wiedzieć, że nie miałem innych.

Poczułem się zły na siebie. Skąd miałem wiedzieć, że to tylko cholerny sen? Trzeba było się nie przejmować i na wszystko jej pozwolić. Miałbym przynajmniej jedną spełnioną miłość.

Następnym razem tak zrobię. A tymczasem co mi zostało? Popatrzyłem na okrągły stół. To moja najbliższa przyszłość. Mój dach

nad głową. Dosłownie. Mam pod nim spędzić cały dzień, do powrotu Natka i Weli z pracy. W towarzystwie butelki po wódce, którą wczoraj wypiliśmy. A dzisiaj mam do niej sikać.

Widać wszyscy w tym cholernym domu bawią się w chowanego. A czy o co innego chodzi w całej tej cholernej wojnie? Jedni się chowają, a drudzy ich szukają.

Natek otworzył oczy. W pierwszej chwili wyglądał na zdziwionego moim widokiem.

– Nie wyspałem się przez ciebie – ziewnął. – Miałeś jakieś koszmary i krzyczałeś przez sen.

– Co niby?

– „To niepatriotycznie, nie po chrześcijańsku!”. Musiałem ci zatkać gębę ręką.

Zrobiłem zboląłą minę. Żeby wiedział, co przeszedłem w obozie janowskim. Odwróciłem się na bok.

O kurwa! Sen jednak spełniony. Prześcieradło było mokre.

NATEK

Wela piętro niżej myślała o bracie. Jak przeszła mu pierwsza noc na strychu?

A od kiedy ona zaczęła przesypiać całą noc? Próbowwała to sobie przypomnieć. Na początku na Żoliborzu budziła się ze ściśniętym żołądkiem. Na dworze było ciemno, tramwaje jeszcze nie jeździły, a ona wiedziała, że już nie zaśnie.

Jak mogła płakać w szkole z powodu polskiego antysemityzmu, który wydawał się teraz śmieszny? Tak przejmować się maturą? A tym bardziej pierwszą zmarszczką po lewej stronie na czole?

Przed wojną martwiła się, że czas za szybko mija. A teraz chciałaby go jeszcze przyspieszyć, przewinąć te dwa–trzy–cztery lata do przodu, żeby już było po.

Natek od wybuchu wojny, jeszcze w Tarnowie, był pewny, że tę hitlerowską maszynę w końcu szlag trafi. Ona niedawno straciła tę pewność. I nagle odzyskała sen.

Po historii z uciekającą dziewczyną w getcie, na którą patrzyła z kolegami z pracy przez okno, czuła, że długo już w fabryce śrub i nitów nie wytrzyma. Muszą też znaleźć coś dla Nuska. Według agencji JPP Schulz szuka ludzi do pracy w swoich zakładach w Konstancinie.

Powiedziała o tym wczoraj Nuskowi.

– JPP? – zapytał.

Chyba jedyny w Warszawie o niej nie słyszał, a to przecież najwiarygodniejsza okupacyjna agencja informacyjna.

– JPP – wyjaśniła Wela. – Jedna Pani Powiedziała!

Jej Natek też chce zmienić pracę, mimo że znajomi mu to odradzają. Nie chodzi nawet o pensję, bo jest taka jak wszędzie. Jako pomocnik księgowego w Przedsiębiorstwie Transportowym Trasa dostaje trzysta złotych, co ledwie starcza na chleb i kawę z cykorii.

Ale coś niedawno się zdarzyło.

– Panie Bolesławie. – „Stary” (tak mówią w pracy na ich szefa, Sienkiewicza) ostatnio wziął go na bok. – Widzę, że pan więcej potrafi, niż pan robi. A ja potrzebuję kierownika działu. Ma pan szansę awansować.

Natkowi zrobiło się słabo. Pewnie też przez zapach nieprzetrawionego alkoholu, który ciągle czuć było od „Starego”. Wiedział, że wyższej posady nie może objąć, bo się wsypie.

– Nie – powiedział. – Nie dam sobie rady.

Udawał jak pół roku wcześniej, kiedy przyszedł tu pierwszy raz z ogłoszenia w „Kurierze Warszawskim”.

– Co pan umie? – zapytał wtedy Sienkiewicz.

– Nic nie umiem. Mogę pomagać trochę.

– Zostań tam – przekonywał go Ludwik Gramada, ich przyjaciel jeszcze z Tarnowa, który pracuje w szpitalu, a wieczorami podrabia dokumenty dla podziemia. – Marszałkowska 120 to świetny adres, dobre miejsce na kontakt, są telefony.

Marszałkowska to rzeczywiście najbogatsza ulica handlowa w Warszawie. Można tu dostać wszystko, na co ich nie stać. Egzotyczne owoce, francuskie koniaki, wina, szampany i foie gras, węgierskie tokaje i salami, włoskie prosciutto, norweskie sztokfisz. Nawet Kalinowska, która chodzi tam specjalnie po francuskie perfumy Soir de Paris, mówi, że nie przypomina sobie tak luksusowych sklepów przed okupacją.

Na Marszałkowskiej można przez chwilę zapomnieć o wojnie. Popatrzyć na kolorowe witryny i ludzi z torbami pełnymi zakupów. Wela czasem specjalnie po to tam szła.

Ale teraz już przestanie. Natek wczoraj w drodze z pracy zobaczył, jak unosi się studzienka i z kanałów wychodzi żydowski chłopiec. Mógł mieć siedem–osiem lat. Pewnie uciekał z getta, z powstania. Siwy niemiecki oficer, który stał w kolejce do cukierni, spokojnie odłożył torby z zakupami na ziemię, wyjął pistolet i zastrzelił chłopca. Ciało wepchnął butem z powrotem do studzienki. Ruch na Marszałkowskiej nawet na chwilę nie ustał.

Natek często powtarzał Weli, że w czasie okupacji trzeba wiedzieć, czego się chce, i tylko tego się trzymać. Dlatego kręcił głową na słowa ich przyjaciela Ludwika, że powinien zostać w Trasie.

Od kiedy trzy miesiące temu dowiedział się, co się stało z siedmioma Żydami, którzy pracowali w oddziale towarzystwa na dworcu, robił wszystko, żeby dać się zwolnić.

To wtedy Gryzewski, chłopak z pakowni, wpadł do nich do centrali. Nawet nie wytarł butów z cholewami, naniósł śniegu. Natek zwrócił uwagę na te buty. Bardzo modne, sam chciałby takie mieć. Uchańskiego, głównego księgowego, któremu pomagał Natek, akurat nie było w pokoju, a szef poszedł już „do dzieci”.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Gryzewski zamknął za sobą drzwi, ledwo łapał oddech, mimo mrozu na dworze miał mokre czoło, pewnie biegł całą drogę z dworca. – Przyszła policja do nas i zabrała siedmiu ludzi. Mówię ci, to robota naszego „Starego”!

Był równie oburzony tą sytuacją, co zawiedziony reakcją Natka, który powiedział tylko:

– Ja się nie orientuję.

Gryzewski to przyzwoity chłopak. Okazało się teraz. Natek słyszał, że jest synem przedwojennego warszawskiego notariusza. Pewnie stąd te drogie buty. Już dawno zrozumieli z Welą, że nie można generalizować. Są Gryzewscy i Sienkiewiczze, a Welę uratowała przecież kurwa.

Natek był w pakowni na dworcu może ze trzy razy, ale to wystarczyło, żeby się rozejrzeć. Kilku pracowników rzeczywiście mogło być Żydami. W biurze na Marszałkowskiej od początku podejrzewał jednego. Nawet nie z powodu wyglądu, tylko że tak niepewnie patrzył i chodził. I chyba słusznie, bo pewnego dnia facet bez uprzedzenia przestał przychodzić.

– Mówię ci – Gryzewski nie odpuszczał. – Mnie to pachnie „Starym”!

– Nie wiem. – Natek wzruszył ramionami.

Po wyjściu chłopaka miał w głowie tylko jedną myśl: A co ze mną?

Od tamtego momentu czekał już wyłącznie na pretekst, żeby dać się zwolnić. Ale co, jeśli „Stary” nie zechce się go pozbyć?

Sam nie mógł odejść, wiedział o tym, bo Sienkiewicz zaraz powie: uderz w stół, a nożyce się odezwą. Albo coś w ten deseń z książki przysłów polskich, które zwłaszcza na bani bez przerwy powtarza.

Szef ciągle był na bani albo na kacu. I cała firma działała w tym rytmie. Rano przychodził zwykle w dobrym humorze, jeszcze wczorajszy, uśmiechał się nawet, jakby w myślach wciąż dobrze się bawił. To wtedy pracownicy próbowali z nim wszystko załatwić: decyzje, dokumenty i legitymacje do podpisu.

Musieli zdążyć do południa, kiedy już w innym nastroju wychodził ze swojego eleganckiego przeszklonego gabinetu i zaczynał krążyć po biurze, patrzeć im przez ramię i czepiać się, z miną (jak trafnie ją kiedyś określił Uchański) „człowieka, który wącha gówno”.

Codziennie w firmie mówił, że musi wyjść wcześniej, bo szóstka dzieci czeka w domu. Ta szóstka dzieci, których nikt nigdy w biurze nie widział nawet na zdjęciu, była tu stale obecna jako argument w każdej możliwej sprawie.

– Nie teraz! Muszę zadzwonić do dzieci.

– Tylko krótko, bo dzieci już na mnie czekają z kolacją.

– Jutro się tym zajmę! Najmłodszy ma dziś imieniny. A muszę mu jeszcze znaleźć prezent przed godziną policyjną.

A zwykle po prostu:

– Panowie, lecę do dzieci...

W biurze wszyscy wiedzieli, że „Stary” po pracy pije z Niemcami. Wozi ich po knajpach, stawia alkohol i żarcie. Następnego ranka po zapachu z jego ust zgadywano, co i gdzie zjadł i wypił ze szkopami. W Złotej Kacze na Królewskiej szampana i zupę żółwiową. W Adrii na Moniuszki piwo, sznycel po wiedeńsku i na deser cienki kawałek tortu Fedora za piętnaście złotych. Ale to nie wszystko. Na koniec Sienkiewicz obowiązkowo zabiera ich jeszcze do najdroższego lokalu w Warszawie. U Aktorek na Mazowieckiej piją koniak, wódkę, a na zagrychę biorą homary i łososie.

Czasem czuli od niego zapach damskich perfum.

Tak załatwiał intratne zlecenia. Firma najwięcej dochodów, które Uchański z Natkiem zapisywali w księgach rachunkowych, miała z przewożenia dla Niemców chemikaliów i farmaceutyków.

Pierwszy pretekst do zwolnienia Natka pojawił się dopiero niedawno. Szef krążył po biurze z popołudniową miną.

– Niech mi pan pójdzie na dworzec – zatrzymał się przy jego biurku – zainkasować zaliczki kolejowe.

Natek chodził po nie czasem, niechętnie, ale chodził.

– Nie pójdę – powiedział teraz.

– Dlaczego?

– Ja nie jestem od tego. Ja tu pomagam Uchańskiemu.

Sienkiewicz surowo na niego spojrzał, Natek nie spuścił wzroku. Przygryzł tylko wargi. Ze strachu, że się uśmiechnie. Właściwie już poczuł się zwolniony i gratulował sobie w duchu.

Jak mawia „Stary”: łatwo przyszło, łatwo poszło. Natek wykorzystał pierwszą okazję i zaraz będzie pakował swoje rzeczy.

Ale Sienkiewicz założył pelisę z futrzanym kołnierzem i sam poszedł na dworzec.

Sprawdziło się inne z jego powiedzonek. Jak on to mówi? Nie chwał dnia przed nadejściem... Natek nie pamiętał tylko czego. Nocy? Zmroku? Nie dawało mu to spokoju w drodze do domu.

Opowiedział Weli wieczorem o zaliczkach kolejowych.

– Ładna historia. – Pocałowała go. – W ogóle nie chce się obrazić na ciebie.

...przed zachodem słońca! – przypomniało mu się dopiero w nocy.

NUSEK

Po dwóch tygodniach znudziło mi się siedzenie pod stołem. Dobrze, że miałem przy sobie flaszkę po wódce. Ale jak łać do takiej flaszki z wąską szyjką? Co wam będę mówić!

W końcu pojechaliśmy z Welką do tego jej Konstancina. Najpierw tramwajem, a potem kolejką. Wysiedliśmy na drewnianej stacji obrośniętej dzikim winem. Siostra jeszcze poprawiła mi krawat i rozdzieliliśmy się, mimo że szliśmy w to samo miejsce, do zakładów Schulza.

– Nikt nie powinien nas razem zobaczyć – szepnęła, jakbym sam tego nie wiedział.

W fabryce, jak tylko powiedziałem, że jestem elektryk i mechanik, to od razu mnie przyjęli. Z pocałowaniem ręki, czy, jak mówiło się w naszym obozie janowskim, pały. Wojna, nie wojna, świat zawsze potrzebuje fachowców.

Zanuciłem sobie w głowie nasz obozowy hymn fachowców:

Marszałek Śmigły-Rydz

Nas nie nauczył nic.

A przyszedł Hitler złoty,

Nauczył nas roboty.

Schulz to podobno porządny człowiek. Jak na Niemca. Tak mówią. Szyje płaszcze i mundury, ma też szop w getcie. I lubi koty – widziałem już trzy, od kiedy wszedłem do fabryki.

Przyjęła mnie do roboty starsza pani, na moje oko po czterdziestce, sekretarka tego Schulza, pani Kadłubkowska.

Po krótkiej rozmowie zaczęła wypełniać jakieś druki, a ja gapiłem się na wskazówki zegara na ścianie i na rudego kota, który zajrzał do biura. Myślałem, że już po wszystkim. Ale wtedy coś jej się przypomniało, podniosła głowę znad papierów i spytała:

– Pana doświadczenie? Jakie wpisać?

Co wasz Nusek jej odpowiedział? Nie pytajcie się.

– U Boscha we Lwowie robiłem! – palnąłem, zanim zdążyłem pomyśleć.

W stylu naszego ojca, który mówił w Tarnowie: Jak sam się nie pochwalisz, to kto cię pochwali?

Kot uciekł na korytarz, a ona popatrzyła na mnie uważniej.

No toś ty, kurde, tym Boschem sam na siebie zastawił pułapkę.

Przypomniały mi się bolesne słowa mojego najstarszego brata Rudka, że „z braci Stramerów to Nusek ma najmniej masy między uszami”. Teraz, po latach, siedząc spocony pod pachami naprzeciwko pani Kadłubkowskiej, przyznałem mu rację.

Wszystko to w ciągu sekundy zakotłowało mi w głowie.

Dlatego od razu dodałem:

– Przed wojną oczywiście.

A czy był w ogóle Bosch we Lwowie przed wojną? Pewnie jak ja nie wiedziała albo uznała, że tak, skoro Stasiak Kuczyński tam pracował. Chyba tego nie sprawdzi. A nawet jeśli... Teraz już nie ma tego „przed wojną”, to nikogo nie obchodzi. Nie ma przedwojennego Tarnowa, Lwowa, nie ma tematu. Czasem Welka czy Natek powiedzą „kiedyś przed wojną”, ale kiedy to było? Minęło sto lat, a nie cztery. Tak teraz płynie czas, rok to dwadzieścia pięć lat. Dlatego pewnie zaczęły mi już wypadać włosy z głowy, chociaż jestem świeżo po dwudziestce.

No, mniejsza. Ważne, że mnie przyjęła. A gapiała się, bo pewnie wpadłem jej w oko. Od razu widać, że jestem chłopak do rzeczy.

Umówiliśmy się, że w poniedziałek o ósmej rano zaczynam.

Schodzę po schodach i myślę, co zrobić. Jest piątek. Dłużej nie mogę mieszkać z Welką i Natkiem na Żoliborzu. Każde wyjście i powrót to pół godziny zabawy w chowanego. Nie będę przecież codziennie dojeżdżał tu kolejką z Warszawy.

Wychodzę na dwór. Pięknie, zielono. Jakoś nie zauważyłem tego w drodze do fabryki. Przy bramie robotnik w niebieskim kombinezonie coś przekopuje łopatą. Z twarzy przypomniał mi mojego tarnowskiego przyjaciela Lolka Szpedę. Te same śmiejące się niebieskie oczy. Słyszałem, że Lolek przyjechał do Lwowa, wstąpił do ruchu oporu i Niemcy go rozstrzelali. Tego dnia, co zrobili tam rzeź.

Podchodzę i mówię:

– Cześć.

Z bliska starszy był od Lolka. Pobrużdżony. Przestał kopać, oparł nogę na łopacie i splunął. Na co najmniej trzy metry. Lolek też tak umiał.

– Cześć.

– Zapalisz? – Wyciągnąłem paczkę junaków.

– Zapalę.

– Stasiek. – Podałem mu rękę.

– Józek.

Dalej gadu-gadu. On mnie mówi Stasiek, ja jemu Józek.

Wtedy obok nas przeszła Wela. Nie zauważyłem, kiedy wyszła z fabryki. Józek się za nią obejrzał.

Też się obejrzałem, za własną siostrą, żeby nie było, że coś ze mną nie tak.

Teraz, jak złapaliśmy nić porozumienia, mówię:

– Ty, Józek, szukam mieszkania.

Przyjrzał mi się uważnie – jak ta sekretarka przed chwilą w fabryce.

– A będziesz tu pracował, tak?

– Tak.

– Możesz wynająć pokój u mojej siostry w Jeziornie. Ona się ucieszy i będzie git.

– Git.

Moją siostrę już widziałeś – myślę. Ciekawe, jaka jest twoja.

Począłem do czwartej, aż skończy robotę. Miałem czas się rozejrzeć. Wokół bogate wille, pogapiłem się na ozdobne furtki i bramy. Pewnie też warte fortunę. Każda kuta w inne wzory. Takie same były tylko psy, które mnie zza nich obszczekiwały, te cholerne owczarki niemieckie.

Fabryka Schulza z zewnątrz też wygląda jak elegancka willa, choć jest większa od tarnowskiej Pszczółki. Ale czy Pszczółka jeszcze dalej stoi? Co z panem Szpilmanem, jej właścicielem, i z jego synem, Karolem, który kiedyś był zakochany w naszej Renie i dawał mi dla niej listy?

Często łaziliśmy z Lolkiem Szpedą na wagary pod Pszczółkę. Wypić piwo, zapalić papierosa i popatrzeć przez wielkie okna, jak robią świece, które potem jechały pociągami i ciężarówkami do kościołów w całej Polsce. Gadaliśmy o tym, co z nami będzie po zawodówce. Czy uda nam się wyjechać z Tarnowa, czy już zawsze będziemy pić na spółkę piwo pod Pszczółką? Gadaliśmy, obrażaliśmy się i na zmianę przepaszaliśmy. A cały czas snuliśmy plany, jak zaciągnąć Lotkę albo Gizellę do łóżka.

Gdybyśmy wtedy wiedzieli, że te wagary to najlepszy czas w naszym życiu, czy to by coś zmieniło?

Jak kiedyś powiedział Salek w rozmowie z Hesiem: Najpierw ludzie narzekają na czasy, w których się urodzili, a potem przez resztę życia za nimi tęsknią.

Okazuje się, że warto podsłuchiwać starszych braci.

Szkoda mi się zrobiło nagle Lolka. Czy przed śmiercią zdążył przynajmniej przepaść się z jakąś dziewczyną? I żał mi się zrobiło też siebie, Nuska Stramera, że straciłem najlepszego przyjaciela, a wciąż nie straciłem dziewictwa. Gdyby nie wojna, na pewno byłoby odwrotnie. To najlepszy i ostateczny dowód, że świat stanął na głowie.

– Stasiu!

W pierwszej chwili się nie odwróciłem. Byłem znowu Nuskiem Stramerem.

Józek skończył robotę i już przebrany w zwykłe ciuchy, pogniecioną koszulę włożoną w podciągnięte wysoko spodnie, machał do mnie, że możemy iść.

Jego siostra mieszka w Jeziornie. Gdzie to, do cholery, jest? Daleko od fabryki? Okazało się, że nie. Szedłem za Józkiem, który prowadził po wąskiej ścieżce rower. Przeszliśmy tylko mostkiem, a potem wzdłuż rzeczki i zaraz byliśmy przy furtce domu mojej przyszłej gospodyni.

Józek po drodze zdążył opowiedzieć mi, co i jak. Jego siostra, Zośka Deska, wdowa z dwójką dzieciaków, mieszka na parterze, a na piętrze po jednej stronie on, a po drugiej ojciec.

No nie była to willa z ozdobną bramą i owczarkiem niemieckim. Tylko stary drewniany dom. A na podwórku obszczał mnie zwykły polski wiejski kundel.

– Poszedł! – Józek kopnął w jego stronę szyszkę.

Pies schował się za drewniany wychodek.

Józek oparł rower o studnię przed domem. Popatrzyłem w górę – drzewa, ptaszki, świeci nawet słońce – ale ani śladu kabli elektrycznych, które by dochodziły do domu.

Wszedłem za Józkiem po trzech murowanych schodkach.

– Niech będzie pochwalony – powiedziałem od razu, kiedy znalazłem się w ciemnej sieni, żeby nie było wątpliwości, z kim mają do czynienia. Ale nikt mi nie odpowiedział.

Pierwsze, co zobaczyłem, to te dzieciaki jego siostry. Siedziały cicho obok siebie na stolku pod schodami. Dlaczego siedzą w tej wilgoci, a nie biegają po podwórku? Były wychudzone, wybiedzone. Poczulem się, jakbym wszedł do obozowego baraku, a nie do domu Kowalskich. Dziewczynka mogła mieć dwa-trzy lata, chłopiec może pięć.

– Elżunia! Jędrak! – zawołał Józek. – Przywitać się, smarkacze.

– Dzień dobry panu – powiedział chłopiec, dziewczynka tylko poruszyła ustami.

Też tak robię, kiedy na urodzinach udaję, że śpiewam *Sto lat*.

Józek otworzył kolejne drzwi. Nad kafłową kuchnią wisiała biała makatka z wyszytą czerwonymi nićmi uśmiechniętą grubaską i napisem „Dobra gospodyni dom wesołym czyni”.

– Zosia pewnie u starego siedzi. – Józek pokazał palcem na sufit, który dawno przydałoby się odmalować. – Chłapniem?

Nie wiem, skąd wyjął flaszkę. Nie zauważyłem. Może miał ją cały czas przy sobie?

Patrzę – nalewa do dwóch musztardówek. Do pełna. A ja od rana nic nie jadłem.

Jak wrócę do Warszawy? Nie pytajcie się.

Poluzowałem krawat.

Józek musiał zobaczyć moją minę, bo powiedział uspokajającym głosem:

– Od sąsiada. Zza płota.

No to żeś mnie uspokoił, bracie. Podał mi szklanekę.

– Józek, a ty tak sam mieszkasz? – zmieniłem temat, żeby nie martwić się, w jakim stanie wrócę do Warszawy.

Wela z Natkiem opowiadali, że wieczorami w tramwajach i tak połowa ludzi jest pijana, a druga śmierdzi wódą. Przynajmniej nie będę się wyróżniał.

– Syna mam. Szesnaście lat. W papierni robi.

Wypiliśmy. Józek od razu pół szklanki. Ja dwa łyki, a i tak skreśliło mnie w środku. Rozejrzałem się po kuchni – stół, cztery krzesła, piec – gdzie można się wyrzygać? Kwasy z żołądka podeszły mi do gardła. Z trudem udało się je przełknąć. Patrzę na szklankę, muszę gdzieś wylać to świństwo zza płota. Żeby Józek się nie zorientował – to tylko za okno. Ale właśnie przy nim stał.

Do okna od strony podwórka podszedł starszy pan z kocią bródką. Wyglądał zupełnie jak Drewnowski, mój ulubiony nauczyciel z tarnowskiej zawodówki. Też łysy, szeroko uśmiechnięty aż po dziąsła i w jasnej marynarce. Czy już się upiłem? Przetarłem oczy.

– Dołączysz, ojciec? – Józek uniósł butelkę.

Spojrzałem na starego z nadzieją. Drewnowski zawsze ratował mnie w kłopotach.

– Chłopaki – głos też miał łagodny jak mój nauczyciel, ale co z tego, skoro powiedział: – Te zabawy to już nie dla mnie.

Faktycznie Drewnowski był od niego ze dwadzieścia lat młodszy i nie laził o lasce. Moja ostatnia deska ratunku odeszła od okna i pokuśtykała w głąb podwórka.

– Ty wdowiec jesteś, Józiu? – spytałem, żeby odwrócić uwagę od butelki.

Zapatrzył się na rozlatującą się oborę, w której zniknął jego ojciec.

– Stasiu – odwrócił się do mnie – bajkę o śledziu znasz?

O co mu, do cholery, chodzi? O jakiego, kurwa, śledzia? Zagrycha by się nam przydała.

– Nie znam, Józiu, bajek. – Pokręciłem głową.

– Śledź swoją żonę, bo się skurwi. – Stuknął się ze mną. – No! Do dna.

WELA

Wela ostatnio łapała się na tym w różnych zwykłych sytuacjach. W tramwaju przy kupowaniu biletu, w piekarni przy kasie. Nawet teraz, kiedy powiedziała Nuskowi, że zobaczą się już w Warszawie, bo nikt nie powinien ich tu widzieć razem.

Coraz częściej mówiła coś, a słyszała swoją matkę.

Nusek za to na jej słowa niecierpliwie kiwał głową, zupełnie jak ich ojciec.

Patrząc na swoje odbicie w stacyjnej szybie, Wela poprawiała fryzurę. Włosy, mocne i błyszczące w słońcu, miałyby takie same jak Rywka, gdyby nie ten tleniony blond. Natkowi podoba się jako blondynka. Ale przecież nie dla niego się przefarbowała. I też nie po to, żeby się podobać.

Z całej szóstki rodzeństwa my, najmłodszy, jesteśmy najbardziej podobni do rodziców – pomyślała, patrząc, jak brat z wypiętą jak Nathan Stramer klatką piersiową odchodzi w stronę fabryki Schulza.

Weli zdarzało się nawet, że szła ulicą i czuła nagle, że jest swoją matką. Albo że jest jednocześnie i sobą, i nią. Pomyślała, że to pewnie tak jak dwadzieścia lat wcześniej, kiedy mama była z nią w ciąży. A teraz ona nosiła matkę w sobie.

– Nie wyglądasz na stworzoną do gotowania i sprzątania – stwierdziła Niemka, która pół godziny później przyjmowała ją do pracy.

Komplement z niespodziewanej strony – pomyślała Wela. A właśnie to przez całe życie robiła Rywka Stramer. I co z tego, że może też nie była do tego stworzona?

Teraz Wela miała gotować i sprzątać w stołówce u Schulza. Dostanie w pracy obiad i codzienny przydział jedzenia, czyli będą mieli z Natkiem coś na kolacje i śniadania.

Wychodząc z fabryki, zobaczyła Nuska. Czy też dostał robotę? Stał przy bramie i już gadał z jakimś robotnikiem. Ten robotnik kogoś jej przypomniał, ale kogo?

Przeszła obok nich obojętnie.

Spieszyła się do Warszawy na spotkanie. Gizella (przyjaciółka szkolna jej starszej siostry, Reny) miała wrócić wczoraj z Tarnowa. Czy jej się udało? Pojechała tylko na jeden dzień do filii obozu płaszowskiego, gdzie w zakładach konfekcyjnych Madritscha pracuje jej ojciec.

– To szalona historia! – Giza tydzień temu opowiadała im, że zamarła, kiedy podniosła słuchawkę i usłyszała:

– *Hier spricht Julius Madritsch.*

Powiedział, że dostał numer od Abrama Lamensdorfa, czyli jej ojca.

Zaprosił ją tego samego dnia do Café Clubu. Założyła sukienkę w kwiaty i pantofle na korkowym obcasie. Najmodniejszy zestaw tej wiosny.

Na jej widok Madritsch wstał i pocałował ją w rękę. Skąd wiedział, że to ona? Ta wysoka niebieskooka blondynka? Pewnie ojciec pokazał mu jej zdjęcie.

Ludzie przy sąsiednich stolikach też nie mieli wątpliwości, od razu spojrzeli na nią odpowiednio. I dobrze, przynajmniej nikt nie podejrzewał jej o nic więcej niż to, że jest kurwą.

Zdziwiła się, jaki jest przystojny. Po trzydziestce, wysoki, z włosami zaczesanymi do tyłu. W idealnie skrojonym szarym garniturze, pewnie uszytym przez Żydów z jego własnej obozowej fabryki.

Giza tak opowiadała o Café Clubie, że Wela nie tylko wyobraziła sobie pełną i duszną od dymu papierosowego restaurację, ale też usłyszała orkiestrę, która grała *Rosamundę*, najpopularniejszą ostatnio melodię w Warszawie. A może i we wszystkich okupowanych przez Niemców miastach?

Giza zorientowała się, że mimowolnie wystukuje rytm obcasem, dopiero kiedy zaczęła się zastanawiać, dlaczego ich stół się lekko trzęsie. Z zazdrością popatrzyła na pary tańczące na parkiecie.

– Czy poprosił ją do tańca? – zastanawiała się Wela. – A jeśli tak, to czyby się nam przyznała?

– Ciekawsze, dlaczego to robi – odpowiedział Natek.

Przy pieczonej kaczce z jabłkami Madritsch powiedział, że jej ojciec jest zdrowy, i spytał, czy Giza chce go odwiedzić.

Przy szampanie i torcie bezowym z malinami zaplanowali to spotkanie. Giza przyjedzie pociągiem do Tarnowa pod pretekstem

mierzenia kostiumu lub płaszcz (to jeszcze ustalą za kilka dni przez telefon). Madritsch odbierze ją z dworca i zawiezie samochodem do obozu. Ojciec będzie już na nią czekał w fabrycznej przymierzalni. Po półgodzinie Madritsch odwiezie ją z powrotem na pociąg do Warszawy.

Giza srebrnym widelczykiem kruszyła bezę. Nie spieszyła się. Nakładała powoli odrobinę bitej śmietany z malinami. Jedząc, mrużyła oczy. To był jej najlepszy deser od początku wojny. A może i przedtem? Tak przynajmniej o nim opowiadała Weli i Natkowi, kiedy następnego dnia radziła się, czy pojechać do Tarnowa.

Ich zdaniem nie wyglądało to na pułapkę.

– Madritsch to Austriak, a Austriacy są mimo wszystko lepsi od Niemców – powiedział Natek.

– Tak, zwłaszcza ten z wąsem. – Giza przyłożyła dwa palce do górnej wargi i zrobiła groźną minę.

Madritsch musiał zauważyć, jak smakuje jej tort, bo zaproponował, że zamówi drugi kawałek.

Giza uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Na koszt obozu płaszowskiego – jak opowiadała Weli i Natkowi.

Tyle o tym gadała, że Weli śnił się potem trzy razy ten tort.

Z Belwederskiej, na którą dojechała kolejką z Konstancina, miała dwadzieścia minut piechotą do cukierni, gdzie się umówiły.

Minęła stojący na środku placu Unii Lubelskiej pomnik Lotnika. Właściwie dwóch polskich lotników: Żwirki i Wigury. Teraz wystarczyło iść prosto Marszałkowską.

Po Gizie nie widać, że od dziecka kocha słodczyce. Ma świetną figurę. Trudno uwierzyć, że najchętniej zamiast obiadu zjada dwa ciastka i dlatego lubi umawiać się w cukierni na rogu Koszykowej i Marszałkowskiej.

Może dziś wpadnie też Benek Laubhart? O ile akurat w tym momencie nie handluje dywanami, fortepianami albo za dziesięć złotych dolarów nie wiezie jakiegoś Żyda pociągiem ze Lwowa do Warszawy.

Benek powtarzał, że teraz najłatwiej zarobić, wystarczy trochę tupetu. A tego akurat nigdy mu nie brakowało. Wela pamięta Benka jeszcze z przedwojennego Krakowa. Z czasów, kiedy w wilgotnej norze na Kazimierzu był współlokatorem jej brata, Salka Stramera, i podrywał wszystkie jej starsze koleżanki.

W okupacyjnej Warszawie lepiej się urządził. W samym centrum, na rogu Piusa i Mokotowskiej, wynajmuje jako Adam Stupnicki pokój u hrabiny Steckiej. Sam też zaczął nosić się jak arystokrata (hrabina ma całą szafę ubrań po zmarłym mężu), zapuścił nawet wąsy. Ale zachował swoją legendarną krakowską grzywkę, która wciąż pięknie opadała mu na czoło, a dzięki kilku pojedynczym siwym włosom idealnie wpasował się w wielkopański styl. Hrabina jest przekonana, że Benek jest ukrywającym się polskim oficerem. Kiedy przeglądając jego dokumenty, nabrała podejrzeń, że są lipne, przyznał – to prawda – jest zbiegłym z oflagu pułkownikiem i dlatego musi posługiwać się fałszywym nazwiskiem.

– Od razu to wyczułam, panie Adamie – powiedziała.

W czasie wojny straszny chojrak się zrobił. Dopiero co, na początku marca, wziął ze sobą Pika, owczarka niemieckiego hrabiny, i pojechał pociągiem na dwa tygodnie na narty. A tylko Niemcom wolno teraz jeździć do Zakopanego.

Wela nie rozumiała, po co się tam pchał.

Nikt nie rozumiał też, po co codziennie chodzi na spacer do Łazienek.

– Jak to? – odpowiadał. – To jeden z najpiękniejszych parków na świecie, a ja mieszkam tak blisko.

Pomyśleć, że Wela jeszcze nigdy nie weszła do Łazienek. Przed wojną raz była w Warszawie i nie stać jej było na bilet do parku. Teraz na warcie stoi policjant – wstęp tylko dla Niemców.

Jak to się stało, że Wela po piętnastu minutach była już w cukierni? Może dlatego tak się spieszyła, że Giza obiecała wypytać w obozie o jej rodziców?

W cukierni pachniało starym smalcem, pączkami i ciastem drożdżowym. Pięć osób stało w kolejce do kasy, dwa stoliki były zajęte, dwa wolne.

Zazdrościła Gizie. Tak chciałaby móc pojechać do rodziców. Nawet na pół godziny.

Stała w kolejce.

Patrząc dwadzieścia minut później na dwie roześmiane dziewczyny, jedzące ciastka na ławce w kwitnącej Dolince Szwajcarskiej, nikt by nie pomyślał, że jedna jest córką człowieka, który siedzi wycieńczony w obozie pracy, a ojciec drugiej powiesił się w wychodku w Tarnowie.

NUSEK

To był ważny początek tygodnia. W poniedziałek zacząłem robotę w fabryce, a we wtorek straciłem dziewictwo z siostrą Józka.

Nie pytajcie się, jak się po tym poczułem. Chciałem otworzyć okna u Zosi i wykrzyczeć całemu światu radosną nowinę:

– Nusek Stramer poszedł do łóżka z kobietą! – Niech usłyszą na razie w Jeziornie, Konstancinie i okolicach, że najmłodszy z braci Stramerów nie jest już prawiczkim.

Najbardziej chciałem oczywiście, żeby to się rozniosło dalej i dotarło aż do was, gdziekolwiek teraz jesteście (bo przecież jesteście, nie?). Do Rudzia, Reny, Hesja – gdzieś w Związku Radzieckim, i do Salka – w Hiszpanii czy we Francji. Od razu inaczej byście na mnie spojrzeli. Tak jak ja już teraz na siebie patrzę.

Co temu winien Monius, że jest taki śliczny? – zagwizdałem następnego dnia rano do lusterka, kiedy goliłem się na podwórku. – Jeśli to mi się wreszcie udało, to teraz wszystko już się uda.

Dobrze, że wtedy, w nocy, nie wydarłem się przez okno u Zosi. Bo co by mi to dało poza tym, że zaraz byliby tu Niemcy albo partyzanci z AK czy innego NSZ?

Pewnie jeszcze obudziłbym starego Kowalskiego, który śpi nad nami na piętze, i tyle. Może też Jędrka i Elżunię, ale raczej nie, bo zawsze śpią jak kamienie. Tak przynajmniej powiedziała Zosia, zanim wślizgnęła się do mnie do łóżka.

Nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście. Przecież dopiero co, w poniedziałek wieczorem, po tym, jak wypiliśmy z Józkiem za mój

pierwszy dzień w robocie, próbowałem Zosię przyciągnąć do siebie i pocałować, ale za nic nie chciała.

– Zosiu, proszę cię – powiedziałem w końcu. – Ja jeszcze nigdy z kobietą...

– Wszyscy tak mówicie – i poszła do siebie i dzieci.

Pierwszy raz widziałem, żeby ktoś zamykał drzwi sypialni na skobel.

Następnej nocy Zosia przekonała się, że nie kłamałem. Położyła się na mnie, poczułem jej zapach i zamknąłem oczy. Nie pachniała perfumami Soir de Paris, o których opowiadał mi Natek. Poza tym wszystko było jak we śnie z generałową Kalinowską, który miałem na Żoliborzu (a potem śnił mi się jeszcze dwa razy w Jeziornie). Czyli znowu, żeby się powstrzymać, musiałem wyobrazić sobie, że nachylają się nade mną powykrzywiane pejsate twarze z plakatów ŻYDZI TYFUS PLAMISTY.

Czy już zawsze tak będzie? Czy ci z plakatów na zawsze zostaną ze mną w łóżku? Ale co z tego? Zosia wciąż jeszcze ruszała się, jakby nie wierzyła, że już po wszystkim. W starciu z nią nawet tę hitlerowską propagandę szlag trafił. W końcu położyła się obok.

Co jej powiedzieć? Przepraszam czy dziękuję?

Zaburczało mi w brzuchu. Jej po chwili też zaburczało. Zaśmialiśmy się. Oboje byliśmy głodni.

Na szczęście w fabryce, poza obiadem wojskowym, dostałem też codzienny przydział: kostkę margaryny i kawał chleba. Dzięki tej sekretarce Schulza, pani Kadłubkowskiej, która przyjęła mnie do pracy.

– Gdzie ten nowy, Stasio elektryk? – usłyszałem, jak rozpytywała załogę w czasie fajrantu.

Od razu się spociłem. Czy zadzwoniła do Boscha do Lwowa i dowiedziała się, że przed wojną nie mieli tam filii fabryki?

Przyjrzała mi się uważnie, jak wtedy zza biurka, kiedy przyjmowała mnie do pracy.

– Wszystko w porządku, panie Stasiu? – spytała.

– Jasne – odpowiedziałem. – W najlepszym!

– Był pan po przydział?

– Jaki przydział?

– Kostkę margaryny i kawał chleba. Codziennie się panu należy. Zgłosi się pan do kuchni, bo sami nie dadzą.

Każdemu nowemu tak pomagasz? – pomyślałem. O co ci chodzi? Mógłbym przecież być twoim synem.

Jeszcze trochę mi z tego przydziału zostało, bo Elżunia nie tknęła nic na kolację. A właśnie ona powinna jeść, ledwie chodzi po podwórku, nogi ma takie cienkie jak zapalki.

– Dlatego całe dni siedzi w domu – powiedziałem Zosi, kiedy kończyliśmy w łóżku chleb z margaryną. – Jak ma biegać po podwórku?

Chleb był ciemny i twardy. Pewnie wczorajszy, jeśli nie gorzej. Po chwili wszędzie w łóżku mieliśmy okruszki. Ten „piasek łóżkowy” – jak go nazwała Zosia – wbijał mi się w plecy.

– Elżunia musi zacząć jeść, żeby nabrać sił – tłumaczyłem dalej Zosi.

Wyszła w koszuli nocnej do kuchni po wiśnie. Na podwórku przy płocie rośnie drzewko. Słodko-kwaśne owoce, moje ulubione. Od razu się na nie rzuciłem.

Zosia patrzyła, jak jem. Miała łzy w oczach, czy tylko tak mi się zdawało w świetle świeczki?

Zaraz na pościeli zrobiły się czerwone plamy po pestkach, którymi nie trafiałem, spluwając do talerza na podłodze.

– O co chodzi? – objąłem Zosię ramieniem. – Coś zrobiłem nie tak?

Chciałem pocałować ją i dla żartu wsunąć jej językiem pestkę do ust.

– Ona nie z głodu. – Zosia pokręciła głową, tak że nie udało mi się jej pocałować.

– Jędrzek jest mojego męża, fryzjera, co poszedł na wojnę i go zabili – powiedziała. – A Elżunia mojego ojca.

– Twojego starego? – Aż połknąłem pestkę i się zakrztusiłem. – Pana Kowalskiego?

WELA

Jeżdżenie co rano z Warszawy kolejką, na którą, jak reszta pasażerów, mówiła już teraz „ciuchcia”, nie miało sensu z żadnego punktu widzenia – zabierało czas, pieniądze, mogło też zabrać życie.

Powtarzała to sobie od dwóch miesięcy, wstając o piątej, a potem o szóstej trzydzieści wsiadając, a raczej wciskając się do nabitego ludźmi wagonu. W środku na czterech zwróconych do siebie siedzeniach mężczyźni grali w karty. Ci sami rano i wieczorem, jakby przez cały dzień, kiedy ona gotowała i sprzątała w fabryce, nic innego nie robili, tylko palili papierosy i grali w durnia na „Kurierze Warszawskim”, który mieli rozłożony na kolanach. Mimo to Wela wciąż nie mogła zrozumieć, o co w tej grze chodzi.

Raz spóźniła się, bo w Klarysewie kury wlażyły na tory i za nic nie chciały zleźć. Innym razem lokomotywa tak kopciła, że po godzinnej jeździe biały żakiet Weli zrobił się czarny.

To i tak nic. Starsza pasażerka pocieszyła ją, że przed wojną od tej lokomotywy spaliła się w Jeziornie cała ulica krytych strzechą chat.

– Rano pojechałam do Warszawy, a jak wieczorem wróciłam, to nie było już naszej chałupy. Wyobrażasz sobie, dziecko? Ale człowiek był wtedy taki młody jak ty.

Wela miała wrażenie, że w ciuchci myśli przelatują jej przez głowę powoli, jak widoki za oknem.

Po pierwszym tygodniu pracy u Schulza wiedziała, że będzie musiała się przeprowadzić bliżej fabryki. Nie zrobiła tego jeszcze tylko ze względu na Natka, ale nawet on ją przekonywał, że powinna. Wynająć pokój w samym Konstancinie albo jak Nusek w biedniejszej Jeziornie, gdzie łatwo coś znaleźć, bo przed wojną ta miejscowość była (co, krzywiąc się, powiedziała mu jego Zosia) prawie w połowie żydowska.

Oczywiście brat też ją do tego namawiał, kiedy spotykali się w stołówce (siadali przy stoliku w rogu sali, żeby jak najmniej się rzucać w oczy). Mówił, że jest bezpieczniej niż w Warszawie. Masa

Niemców, ale pozajmowali najlepsze konstancińskie wille i nie robią ludziom kłopotów, bo sami chcą mieć tu spokój.

Wela kiwała głową.

W Warszawie, niestety, było coraz więcej łapanek. Opowiedziała mu, jak wczoraj na Nowym Świecie widziała brygadę z zakładów oczyszczania miasta, która wrzucała ciała na samochód. Nie przerywając rozmowy, podnosili te trupy za ręce i nogi i wrzucali na pakę.

– Bimber i złoto to najlepsza okupacyjna waluta – usłyszała, mijając ich na chodniku.

Pod butami poczuła piasek, którym zasypywali krew. Musiało być świeżo po egzekucji, bo nie wywieszono jeszcze czerwonej listy rozstrzelanych.

A w Jeziornie, przynajmniej od kiedy Nusek tam zamieszkał, prawie nikt nie zginął.

Raz wojskowy motocykl z dwoma wehrmachtowcami jechał Skolimowską. Tak nim zatrzęsło na kocich łbach, że żołnierz siedzący w koszu niechcący nacisnął spust i serią z karabinu zabił kobietę, która wracała z zakupami od rzeźnika Nieczkaja.

Swoją drogą ten rzeźnik to miejscowa legenda. Już trzy koleżanki w fabryce opowiadały o nim Weli. Nusek, którego Zośka wysyła na zakupy do tańszego pana Nerki, też o nim słyszał.

Mówią, że Tymoteusz Nieczkaj walczył jeszcze w wojnie japońskiej, był żołdaczem carskiej armii i kucharzem na wojskowym statku.

Sklep Nieczkaja słynie z tego, że nikt w nim nie prosi na przykład o piętnaście deka kielbasy krakowskiej ani dwadzieścia deka szynki czy baleronu. Tylko zawsze:

– Poproszę różnaitości.

– Ile? – pyta Nieczkaj i sam pięknie kroi i układa na gazecie plasterki różnych wędlin.

Od kiedy Wela o tym usłyszała, zaczął jej wracać niekoszerny sen z dzieciństwa: wisząca na piecu na Goldhammera kielbasa, którą

w dzień jedli, a ona sama w nocy odrastała. Mama na pocieszenie dawała jej czasem po kryjomu dwadzieścia groszy na bułkę z szynką.

NUSEK

W Jeziornie najbardziej lubię zapach z piekarni na końcu ulicy.

Budzi mnie co rano, jeszcze przed kościelnymi dzwonami. Szturcham wtedy Zośkę. Mówię, żeby wróciła do dzieci, i ona na palcach idzie półprzytomna, ale podłoga i tak skrzypi jak cholera. No, czasem jeszcze chwilę ze mną zostaje. Bywa, że nawet dłuższą – wasz Nusek się wyrobił, nie pytajcie się!

Dziś nie obudził nas piekarz. Tylko krzyki: Halt, halt! Zerwałem się do okna. Przez podwórko biegł chłopak. Nawet w ciemności widziałem, że nie ma dobrego wyglądu. Podobny trochę do naszego Salka, też w okrągłych okularach. Do tego wychudzony, w łachmanach, pewnie prosto z lasu wyszedł po coś do jedzenia. Za nim biegła nasza Psotka, szczekała i gryzła go po nogawkach. Co mogłem na to poradzić? Nic. Bo gonił go jeszcze wehrmachtowiec z pistoletem. Ledwo nadążał. W końcu zatrzymał się przy drzewie, z trudem łapał oddech, starszy facet. Wyciągnął pistolet, wyczekał chwilę i strzelił w powietrze. Szkopina wiedział, co robi.

To jedyny sposób, żeby nikogo nie trafić.

I jak się okazało, jeden z lepszych na obudzenie Zosi. Od razu usiadła na łóżku i otworzyła oczy.

Chłopak po wystrzale skoczył w krzaki. Aż się skrzywiłem. Musiał się nieźle poparzyć, bo tam same pokrzywy.

Co było dalej? Wołałem nie sprawdzać. Też uciekłem, a raczej schowałem się. Zosia otworzyła mi klapę pod schodami. To syn Józka, Wacek, wyciął ten kwadrat w podłodze i wykopał sobie schowek. Wacek często się tu chowa, kiedy nie jest w lesie. Ale na szczęście teraz jest.

Nie pierwszy raz włożę do środka. Wystarczy nogi podkurczyć i da się wytrzymać do wieczora.

Jak tylko Niemcy kręcili się w pobliżu, mówiłem Zosi:

– Jakby co, powiedz, że Stasia nie ma, wyszedł gdzieś, ty nie wiesz gdzie.

Na początku Zosia była tym zdziwiona.

– Zosiu, chcesz, żeby ci twojego Stasia na roboty do Rzeszy wywieźli?

I od razu leciałem do skrytki.

Wygodniej byłoby w piwnicy. I smaczniej. Mógłbym przy okazji coś przekąsić. Kapustę prosto z beczki albo przecier pomidorowy z zakorkowanej butelki po wódce. A potem położyć się na workach z kartoflami, fasolą i grochem. Ale tam w pierwszej kolejności by szukali.

Myślałem wtedy o naszym ojcu. Najchętniej jak on rzuciłbym wszystko w cholerę, dostał kataru żołądka i nie wstawał z łóżka. Co mnie obchodzi ta cała wojna? Wstanę, jak się skończy.

Zaczynałem ojca rozumieć. Tak jak on rozumiał mnie.

Zosia zamykała klapę i stawiała na niej stolik z ołtarzykiem – figurką Matki Boskiej. Nikt tego nie tknie.

Nawet Elżunia i Jędrus nie ruszą ołtarzyka.

– Mamo, gdzie wujek Stasio? – słyszałem czasem ich cienkie głosy i lekkie kroki tuż nade mną.

Od kiedy zainstalowałem im w pokoju światelko, żeby nie musiały siedzieć po ciemku, ciągle chcą coś mi pokazać albo się ze mną pobawić.

Zosia była pod wrażeniem.

– Jak to zrobiłeś, Stasiu? – spytała nocą w łóżku.

– Normalnie. Jestem fachowcem.

Po prostu dostałem od Hansa, kierowcy Schulza, zepsuty dwunastowoltowy rozrusznik z samochodu. Wziąłem go w fabryce do warsztatu, otworzyłem i oczyściłem kolektor. Znowu zaczął chodzić.

Po pracy od razu wlałem na dach u Kowalskich. Dzieciaki patrzyły z dołu, jak stawiam tykę i przywiązuję do komina. Do tego wiatrak

z rozrusznikiem, który stał się prądnicą, i kabel, żeby podłączyć żaróweczkę. Krzyknęły ze strachu, kiedy poślizgnęła mi się stopa i w ostatniej chwili złapałem się komina. Pomachałem im z góry, że to tylko żart, ale cały się trząsałem, myślałem, że już po mnie. Mówię wam, miałem śmierć w oczach.

Teraz w skrytce podkurczyłem nogi jak zwykle, ale było mi jakoś niewygodnie, wierciłem się, coś wbijało mi się w tyłek. Coś zimnego i twardego. Wacek zostawił flaszkę po samogonie, czy co? Jak mówi Józek: KPN. Koniak Pędzony Nocą.

Wymacałem to ręką. Nie, na pewno nie butelka. Za cienkie i za krótkie. O kurwa! Podskoczyłbym, gdybym miał gdzie. Czegoś innego zapomniał Wacek wziąć do lasu.

Zaraz mi się przypomniało, co ostatnio powtarzał: Jak zginąć, to przez przypadek, nie przez głupotę!

A teraz ja mam, cholera, zginąć przez głupotę tego gówniarza?

Tylko spokojnie. Miejmy nadzieję, że nie jest nabity. Jedna dziura w dupie mi w zupełności wystarczy. Wyciągam ostrożnie za lufę. Patrzą. Na szczęście bębenkowiec. Bez naboju. Wacek narzeka, że zrzucają im je na spadochronach i jak skończy się magazynek, to nie ma gdzie dostać amunicji.

– Już tylko na zabawki dla dzieci się nadają – mówi.

Ostatnio latał z tym bębenkowcem po domu i przechwalał się, że kropnął z niego Żaka. Tego konfidenta, co donosił gestapo. W zeszłym tygodniu, jak szedłem do pracy, sam widziałem podziurawione ciało przy kiosku na skrzyżowaniu, strzelili mu nawet w oko. Ale jak wracałem, było już przykryte gazetami. Widać kioskarz się zlitował.

– Kapusiu, z ramienia Rządu Rzeczpospolitej Polskiej i z ramienia dowództwa NSZ... – Wacek powtarzał wyrok i robił ustami puk-puk.

Prędzej nauczył się tego od małego Jędrusia, niż brał udział w akcji.

Aż Józek nie wytrzymał.

– Synek, po kiego chują bawisz się w wojnę? – Musiał mu odsunąć lufę, żeby przejść do kuchni.

W domu nikt, nawet rodzony ojciec, nie wierzył, że tego pryszczatego szesnastolatka wysłali na taką egzekucję.

Gdyby wiedział, jak działa mi na nerwy. Opowiedziałem o nim Weli. Śmiała się, że te popisy i ciągle zwracanie na siebie uwagi przypominają jej kogoś z dzieciństwa na Goldhammera.

– A kogo niby?

Wela uśmiechnęła się oczami zupełnie jak nasza matka.

Obraziłbym się, ale szkoda na to czasu, bo widzimy się tylko raz dziennie dwadzieścia minut w stołówce.

Z drugiej strony ma chłopak wyobraźnię. To muszę mu przyznać. Wieczorami lubi do mnie przyjść i rozwijać ją przy karbidowej lampce. Gada o tym, że Polak nigdy nie ma szczęścia, tylko Żyd i Arab, i inne mądrości przyniesione z lasu, które potem powtarza po nim Zosia.

– Tylko Żyd i Arab... – Kiwam smutno głową, bo co mam robić?

Wyobrażam sobie, że uderzam go czołem w nos – cios z wieżyczki, jak nas w Tarnowie uczył Rudek. Obyś miał rację przynajmniej co do Żydów – myślę. A swoją drogą ciekawe, gdzieś ty widział Araba, Wacusi. W Lasach Chojnowskich po bimbrze? Ja jeszcze w życiu żadnego nie widziałem.

Po każdym powrocie z lasu Wacek śmierdzi samogonem i przemoczonymi butami. Przynosi też nowe powiedzonka typu „Bywa z żyta i z buraków, a najlepsza jest z ziemniaków!”. Dobrze, że w pokoju jeszcze mocniej śmierdzi karbidem.

Wacek mówi, że ja jeden w domu traktuję go poważnie. To akurat prawda. Moim zdaniem, on jest dla mnie najbardziej niebezpieczny.

– Stasiu, słuchaj – pyta mnie co jakiś czas – nie wstąpiłbyś do nas?

Kręcę głową. Przecież już ci, gówniarzu, na samym początku powiedziałem, że się w to nie bawię.

– Ale u nas można łatwo zarobić – nie odpuszcza.

– Chyba kulkę.

– W Lasach Chojnowskich są Żydki z Piaseczna. To łatwa forsa.

Niestety nie wszystko, co mówi, jest zmyślane.

Daję się chłopakowi wygadać. Pozgrywać bohatera. A nawet pośpiewać, choć repertuar ma akurat ograniczony.

*Kurwa ci mać, Kaśka,
To ci powiem w oczy,
Bom cię wypróbowałem
Od miesiąca w nocy.*

Albo:

*Od Piaseczna jadą kupcy,
Jeden trzyma,
Drugi dupczy.*

Że raz był na „babskiej robocie”, to wiem. Welka widziała go, jak stał na czatach przed chatą na Niskiej. Palił papierosy, obcinał wzrokiem przechodniów i ciągle zaglądał przez okno do środka.

A następnego dnia cały dumny i czerwony opowiedział mi, jak „rozliczył się z panienką, co zabawiała się z Niemcami”:

– Wymierzyłem jej karę cielesną. Ogoliłem włosy, kazałem się rozebrać i dwadzieścia pięć kijaszków na gołą dupę.

Gwizdnałem, że niby jestem pod wrażeniem. Ale pomyślałem: tobie, gówniarzu, by się to przydało.

Przyglądałem mu się czasem i zastanawiałem, czy bardziej podobny jest do swojego ojca Józka, czy do swojego dziadka Kowalskiego. Nie mogłem się od tych myśli opędzić po tym, co Zośka opowiedziała mi o swoim starym – ojcu i dziadku Elżuni w jednym.

Najważniejsze, że dość szybko wyrobiłem sobie w okolicy opinię fachowca – nie tylko wśród dzieci, Zosi i całej rodziny Kowalskich.

Widzicie, niepotrzebnie mama tak się martwiła o moją przyszłość. Taki fachowiec jak ja to dziś skarb.

U Schulza dobrze o tym wiedzą. Zwłaszcza od kiedy jeden z Austriaków, co kierują fabryką, tu po mnie przyjechał. Akurat była niedziela rano. A ja znowu na dachu, mocowałem wiatraczek, który zerwał się w nocy w czasie burzy. Myślę sobie: cholera. Nie miałem się gdzie schować. Musiałem zejść do niego, bo mnie widział i wołał:

– *Schneller, schneller!*

– Ale ja teraz idę do kościoła – mówię i na dowód pokazuję swoje odświętne ubranie.

Nie kłamałem. Już wyszliśmy z domu na nabożeństwo i wtedy zobaczyłem zwisający z góry wiatraczek. Zosia czekała na mnie na podwórku. Zniecierpliwiona i zła, że w najlepszym garniturze po jej mężu, który specjalnie na dziś wyprasowała, włązę na dach.

– Do samochodu!

Nie miałem wyboru. Wsiadłem, jak stałem. Przez szybę pokazałem jeszcze ręką Zosi, żeby szła sama.

Jedziemy do fabryki. Co się stało? Pompa wodna nawaliła. Pobiegnę na dół. Świecę latarką. Sama pompa chyba w porządku, tylko coś jest nie tak z motorem, zwarły się dwa przewody i dlatego wyleciały bezpieczniki.

Zdjąłem marynarkę, podwinąłem rękawy białej koszuli i wziąłem się do roboty. Robiłem, robiłem, robiłem. Nie pytajcie o szczegóły, bo i tak nic nie zrozumiecie. No, może Rudek by zrozumiał, bo on zawsze wszystko rozumie. Reszta rodzeństwa to cholerni humaniści.

Ten Austriak Manfred też chyba humanista. Jak po dwóch godzinach go zawołałem, że gotowe, nie tylko nie pokrzykiwał, ale już inaczej na mnie patrzył, a nawet pierwszy raz odezwał się po polsku:

– Dobra robota, kurwa twoja mać! – i poklepał mnie serdecznie po ramieniu.

To prawda, co mówią, że Austriacy to nie Niemcy. Wela słyszała, jak Manfred żartował z Schulzem, że gdyby Hitler został u nich

w Austrii, to mógłby najwyżej zrobić karierę jako oszust matrymonialny.

Na koniec powiedział mi, żebym wpadł w tygodniu na kolację do ich willi, w której mieszka kilku tych Austriaków. To się nazywa zrobić wrażenie.

– Pewnie coś od ciebie chce – powiedziała Zośka.

Była wściekła, że nie może doprać na tarze uświnionych spodni i koszuli po mężu.

– Kto to widział, żeby w najlepszym ubraniu... – powtarzała niby do siebie.

Cholerny smar za nic nie chciał zejść. Dobrze, że przynajmniej marynarkę zdjąłem przed robotą.

– Pewnie chce, żebyś mu tam coś zreperował – dodała.

– Nie on jeden – odpowiedziałem.

Już cała kolejka się ustawiła. Mówię wam.

A w niej stoi też oczywiście sekretarka Schulza, pani Kadłubkowska.

Usłyszałem stukot obcasów na schodach i od razu wiedziałem, że to właśnie ona idzie do mnie do warsztatu. Złapałem za śrubokręt i wziąłem się do udawania, że pracuję. Byłem tak skupiony na robocie, że nie zauważyłem, kiedy weszła.

Akurat wtedy gwizdałem sobie moją ulubioną piosenkę *Co temu winien Moniusz, że jest taki śliczny*.

– Panie Stasiu, skąd pan to zna? – spytała zaraz Kadłubkowska.

– Jak to?! – odłożyłem śrubokręt. – Proszę panią, przecież to jest bardzo znana piosenka kabaretowa.

– E tam, panie Stasiu... – Uśmiechnęła się. – Niech pan powie skąd.

– Przecież powiedziałem.

Spojrzała mi w oczy znacząco, że niby jej nie przekonałem.

Złapałem znowu śrubokręt i zacząłem rozkręcać kontakt, z którym wszystko było w porządku.

– Ale, panie Stasiu, nie przyszedłam na rozmowy o muzyce. Mam do pana prośbę. Mieszkam w willi naprzeciwko fabryki. Czy mógłby pan przyjść po pracy naprawić mi światło?

Co ona kombinuje? Żeby się tylko tam na mnie nie rzuciła.

– Nie wszędzie działa – mówiła dalej. – A w sypialni chcę sobie powiesić dodatkową lampę.

– Zrobi się. A kiedy?

Myślę: w tym tygodniu mam już iść do Austriaków. I jeszcze do jednego niemieckiego skurwysyna, u którego Wela sprząta po pracy.

– W piątek – powiedziała od razu Kadłubkowska. – Załatwię z szefem, że będzie pan mógł wcześniej wyjść. Dobrze?

Skinąłem głową, nie odrywając się od kontaktu.

WELA

W czwartek porucznik gestapo Franz Linz przed wyjściem zawołał do siebie sprzątaczkę. Na mundur miał już narzucony skórzany płaszcz i pochylony, wkładał długą metalową łyżką do butów oficerki, które mu przed chwilą wypastowała.

– Frau Janka. – Podniósł głowę i spojrzał na Welę. – Dziś do willi przyjdzie elektryk z fabryki. *Achten Sie!*

Wela skinęła głową. Nusek ją uprzedził, że kazali mu przyjść.

W pracy udają, że się do niej dowala. Często jedzą razem obiad w stołówce. Dziewczyny z kuchni gadają już, że wpadła w oko Staškowi elektrykowi, i śmieją się, żeby uważała, bo z prądem nie ma żartów.

– Jak kopnie, to zaraz będziesz z brzuchem chodziła!

To nie szkodzi. Nawet dobrze.

Gorzej tylko, że Józek też już to zauważył. I chyba coś powiedział Zośce, bo zaczęła wypytywać Nuska o kucharki.

– Proszę na niego uważać. – Franz, krzywiąc się i przykładając rękę do pleców, wyprostował się. – Mieć oko na tego człowieka.

Czy to następny, który chce ją przekonać, że rodzony brat to dla niej zła partia?

Linz był wysoki i szczupły. Skojarzył jej się z porem, który przed chwilą kroił na zupe. Siwym porem w eleganckim mundurze gestapo i drucianych okrągłych okularach.

– Stasiak to Polak, a wszyscy Polacy to złodzieje – wyjaśnił, zawieszając łyżkę na wieszaku.

I zaśmiał się, rozbawiony własnym wyjaśnieniem.

Nie pomyślał, do kogo mówi? Przecież to też niby o niej. Wela zmusiła się do lekkiego uśmiechu. W końcu cieszy się, że spędzi popołudnie z bratem.

Słyszała, jak podbite gwoździami buty Linza uderzają w prowadzące do ogrodu schody. Brzmiały jak ostrzał albo burza gradowa.

To w takim razie kim ja dla niego jestem – w korytarzu spojrzała na swoje odbicie w szybie stojącego zegara ze złotym wahadłem – skoro zostawia mnie tu samą?

A kim była teraz dla siebie w tej pięknej willi? Eleganckiej jak tarnowski hotel Soldinger, do którego zaglądała w dzieciństwie, marząc, że kiedyś znajdzie się na przyjęciu po drugiej stronie szyby.

Zobaczyła przez chwilę siebie z tamtego czasu. Czy wciąż jestem tą najmłodszą z rodzeństwa Welką Stramer, tyle że przefarbowaną na blond?

Może stała się mniej płaczliwa, dojrzała, a nawet w jakiś sposób, którego nie rozumiała, spokojniejsza niż przed wojną. Mimo wszystko. Często sobie powtarzali te dwa słowa we trójkę z bratem i mężem. Że „mimo wszystko” są szczęśliwi, że „mimo wszystko” przeżyli, że „mimo wszystko” mogą być razem. A najczęściej mówili po prostu skrót „mw”.

Wela zabrała się do pastowania podłogi w korytarzu.

Przypomniała sobie mamę, która jak ona teraz na kolanach pastowała podłogi w malutkim tarnowskim mieszkaniu na Goldhammera. Wszyscy musieli wyjść wtedy na podwórko. Całe ich

mieszkanie było niewiele większe od samego korytarza w willi. Za to zawsze pełne, tak jak prawie zawsze pusta jest ta dwupiętrowa willa.

Czy mama kiedykolwiek była w takich wytwornych wnętrzach? Linz zachowywał się, jakby wszystko tu należało do niego od pokoleń. Ale ciekawe, kto tu mieszkał przed wojną. Kto przed nim dbał o palisandrowy stół? W czyim łóżku tak naprawdę śpi?

A kto jest teraz na Goldhammera 20?

Kwadrans później Nusek zadzwonił do drzwi. Był w dobrym humorze. Od kiedy mieszka u Zośki w Jeziornie, lepiej wygląda, nie jest już taki chudy i chodzi uśmiechnięty.

Przez ramię miał przewieszoną skórzaną teczkę z narzędziami z fabryki. Gwizdał tę samą melodię, co zawsze.

Ale jeszcze zanim przeszedł przez próg, Wela zatrzymała go:

– Buty, Stasiu!

Posłusznie schylił się i zaczął je rozsznurowywać. W przeciwieństwie do Linza pochylał się i podnosił bez żadnych problemów. Ale buty miał stare, brudne, znoszone, pewnie po mężu Zośki.

Zamknęła za nim drzwi.

Upewnił się, że są tu tylko we dwoje, i już w skarpetkach mocno przytulił siostrę.

Pomyślała, że dopiero w tej willi gestapowca mogą przez chwilę być sobą – najmłodszymi z rodzeństwa Stramerów.

W salonie pokazała Nuskowi lampę nad stołem, która przestała się świecić.

– Trzeba wykręcić korki – powiedział.

Zeszli po drewnianych schodach do piwnicy. Wela nie wiedziała, które korki są od czego. Na wszelki wypadek Nusek odkręcił wszystkie i na górę wrócili już po ciemku – nie znaleźli latarki.

Nusek odwinął lniany obrus i wszedł na stół. Wela w pierwszym odruchu chciała krzyknąć, że tak nie wolno. Że przyniesie mu metalową drabinkę z garażu.

Linz ma obsesję na punkcie tego stołu. Trzy razy już tłumaczył jej, że to cenny biedermeier. Palisandrowe drewno, na którym wszystko zostawia ślady. Wystarczy przesunąć po blacie kieliszek. A jak nie daj Boże skapnie kropla wody, zaraz każe jej woskować.

Gdyby teraz zobaczył Nuska, który łązi po tym stole w brudnych skarpetach! Wela wyobraziła sobie jego minę.

I gdyby jeszcze dowiedział się, że to Żyd zostawia mu te brudne wilgotne ślady! Wela poczuła przyjemne ciepło w środku, jakby zrobiła dobry żart.

– Kiedy wraca ten skurwysyn? – Nusek spojrzał na nią z góry.

Chyba czytał w jej myślach.

Linz w środy po pracy chodzi na masażę i nigdy nie wraca do domu przed dwudziestą. Wela mimo wszystko złożyła obrus w kostkę i odłożyła razem z porcelanową cukiernicą na biedermeierowską komodę.

– Przewód się spalił przy żyrandolu – ocenił Nusek.

Patrzyła, jak jej brat precyzyjnie odcina kawałek spalonego kabla. Wyjmuje z torby nowy przewód i starannie go montuje.

Gdyby rodzice mogli zobaczyć, jaki się z niego zrobił fachowiec. Wyobraziła sobie ich miny. Byliby tacy dumni.

– Od razu widać, po kim chłopak ma talent – usłyszała w głowie ożywiony głos Nathana Stramera. – Krew z krwi.

Mama uśmiechała się i mrugała porozumiewawczo do dzieci.

– No, gotowe! – Nusek zaklaskał w dłonie, jakby sam bił sobie brawo. – Leć, włącz korki.

Wela ostrożnie zeszła do piwnicy. Wydawało jej się, że widzi w ciemności rodziców. Ojciec krążył nerwowo wokół mamy, która jak co wieczór przygotowywała kolację. Jakby nic się nie zmieniło i ich życie gdzieś pod ziemią trwało dalej.

Czy Nusek też tak za nimi tęskni? Nie rozmawiają o tym.

Kiedy wróciła na górę, żyrandol już pięknie oświetlał salon z obrazami przedstawiającymi sceny z polowań. Tych obrazów nie

lubiła.

Nusek ze śrubokrętem w zębach zeskoczył na podłogę.

Na palisandrze Wela widziała teraz wyraźnie każdą, najmniejszą nawet rysę czy smugę, nie mówiąc o śladach stóp jej brata, których było pełno. Zaczęła wycierać je specjalną irchową szmatką.

Potem zabrała Nuska do kuchni na zupę pomidorową.

– Słuchaj, jaki numer zrobili mi wczoraj Austriacy – powiedział Nusek, odstawiając talerz. – Jak skończyłem robotę, to zaprosili mnie do stołu i mówią: to jest Hase. Zając, rozumiesz? I mięso tego zająca nałożyli mi na talerz. A po kolacji pytają, jak ci smakowało, Stasiu? Mówię: *sehr gut*. A Manfred klepie mnie w ramię i mówi: *sehr gut*, bo to jest miau, miau Schulz. I zaczęli się śmiać. Kota od Schulza porwali, rozumiesz?

Welę aż skręciło w środku.

– Nie przeżyłabym tego! – powiedziała.

Często dawała resztki z kuchni kotom, które kręciły się po fabryce. Karmiła je tak jak w dzieciństwie Milkę.

– I co zrobiłeś? – spytała.

– A co miałem zrobić? Pobiegłem do kibla i wyrzygałem tego kota.

NUSEK

No i przyszedł piątek. Tak jak nie mogłem się doczekać środy, żeby spotkać się z siostrą, tak ten cholerny piątek chciałem odwlec, jak tylko się da, a najlepiej wykopać z tygodnia.

Ale i tak przyszedł. Rano otworzyłem oczy i już był. I wiedziałem, że po robocie będę musiał iść do tej sekretarki Schulza. Co mogłoby mnie przed nią uratować? Tylko bombardowanie. Zosia opowiadała, że jak na samym początku wojny paliła się Warszawa, to w Jeziornie było widać kolorowe łuny na niebie („A jak dudniło! Święta Pelagio, to było coś okropnego!”).

Cały dzień mnie to męczyło. Bałem się, że będą z Kadłubkowską kłopoty. Coś za bardzo ta stara mi się przygląda i za często przepytuje.

Pracować w piątek po pracy? Już widzę minę naszego ojca. Kto w piątki wieczorem pracuje? Po fabryce wolałbym jak inni odbijać flaszki. Teraz już nie wylewam za kołnierz ani za okno, jak dawniej.

W Jeziornie nauczyłem się pędzić. Kazik Buga, robotnik budowlany, co mieszka z żoną za płotem, mnie namówił. Wesoło tam mają. Świątek i piątek.

Raz wieczorem wychodziłem z wychodka, zapinałem spodnie. A on właśnie wytoczył się z domu i zaczął mnie wołać. Myślałem, że potrzebuje pomocy. Podałem mu rękę, którą przed chwilą... No, nieważne.

– Stachu! – Kazik był tak wstawiony, że ledwo trzymał się na nogach.

Ale rękę mocno mi ścisnął. Żywa reklama własnego bimbru, znanego w okolicy jako Bimber Bugów, a przez niektórych nazywanego nawet Bimbrem Bogów.

– Nie chcesz zarobić?

– Ja w życiu nie pędziłem – mówię na odczepkę, spieszyło mi się już do Zosi.

– Nie bój biedy. Ja cię jutro nauczę.

Umówiliśmy się. Byłem pewny, że następnego dnia nie będzie już nic pamiętał. Ale nie – jak powiedział, tak zrobił.

To faktycznie musi być pierwszorzędny bimber – pomyślałem, patrząc na Kazika, który rano nie wydawał się nawet skacowany. Tym mnie przekonał.

Mieliśmy jechać aż nad Wisłę. Pożyczyłem rower od Józka. Kazik wziął ze sobą dwa prześcieradła. Zdziwiłem się po co. Nie będziemy się przecież opalać. Ja zresztą już byłem pięknie opalony. Jak na Stramera przystało, wystarczy, że wyjdę na dziesięć minut na słońce, wypalę dwa papierosy i gotowe, jakbym wrócił znad morza. Mama czasem mówiła o tym morzu. Ojciec jej kiedyś obiecał, że tam razem pojedą. W myśl zasady, którą często stosował za tarnowskim burmistrzem: Nikt ci tyle nie da, ile ja ci naobiecuję.

Kazik rozłożył prześcieradła na łące. Postawiliśmy na nich rowery kołami do góry. Przynieśliśmy snopek żyta i wstawiliśmy pod pedały.

Kazik dał mi jedną rękawiczkę, drugą sam założył. I zabraliśmy się do kręcenia pedałami, czyli młócenia. Stąd mieliśmy ziarno, żeby wieczorem pędzić bimber w piwnicy u Bugów. W drodze powrotnej Kazik uczył mnie na sucho, co i jak dalej będziemy robić.

– Najpierw robi się przedgon: to wylewasz. Potem bimber właściwy: zostawiasz. I niedogon: też się wylewa.

Ale jak wieczorem chciałem wylać ten przedgon i niedogon, to zagroził mi drogę. I tak dowiedziałem się jeszcze jednej ważnej zasady: jak na handel robisz, to nic nie wylewasz.

Czy któryś ze Stramerów kiedykolwiek pędził KPN? Założę się, że żaden nie wie nawet, co to znaczy. Rudziu, Salku, Hesi, w dzieciństwie specjalnie mówiliście skrótami – PKP, RKM, KPP, żebym was nie rozumiał. To teraz ja wam powiem: KPN! Któryś z was wie, co to znaczy?

Poza Rudkiem nikt nawet nie umiał porządnie się napić.

Przecieram szlaki dla przyszłych pokoleń. Szkoda, że poprzednie nie mogą tego zobaczyć. Nasz ojciec jedyny w rodzinie we mnie wierzył. To był mądry człowiek i nie mówię tak dlatego, że ojciec. Wiedział, co robi. Pozazdrościłby mi tego biznesu z sąsiadem z za płota.

Ludzie wciąż przyjeżdżają z Warszawy po ziemniaki, mleko, mięso. Mówią, że na głodnego nie możesz być patriotą, nawet jakbyś bardzo chciał. A bez bimbru to już w ogóle zapomnij.

W piątek rano zapukałem do Kazika.

– Stary, znowu mam u szwabów robić po fabryce. Nie pomogę ci dziś.

Kazik popatrzył na mnie zapuchniętymi oczami, potem kiwnął głową i skrzywił się. Tym razem chyba jednak trochę go bolała.

Równy o trzeciej po południu legalnie wyszedłem z narzędziami z fabryki. Minąłem strażników przy bramie, żartobliwie zsalutowałem Hansowi, szoferowi, który jak zwykle oparty o mercedesa palił papierosa, czekając na Schulza. I powlokłem się jak na stracenie na drugą stronę ulicy do pani Kadłubkowskiej.

Nie chciało mi się nawet gwizdać.

Mówi się, że nieszczęścia chodzą parami, ale na mnie spadają raczej pojedynczo. Pocięzałem się, że po kocie u Austriaków nic gorszego mnie już w tym tygodniu nie spotka. Jakby mi nie powiedzieli, co to za zając, tobym się nie połapał. Bo jak? Naprawdę mi smakował.

– Wszedł zając, a wyszedł kot – śmiali się Austriacy.

Od razu mi też wróciło wspomnienie, jak w obozie janowskim profesor, co spał pode mną na pryczy, zjadł szczura. Dzień później zwariował, łaził na czworakach i krzyczał na cały barak, że jest szczurem. Znowu zrobiło mi się niedobrze.

A co, gdyby jeszcze ktoś tym rozbawionym Austriakom powiedział, że Stasięk elektryk to nie Polak, ale Żyd? Taka sama różnica jak między zającem a kotem. Jak się nie wie, to smakuje tak samo.

Tyle Bogu ducha winnych kotów się kręci po fabryce, że nie wiedziałem nawet, którego zjadłem. Oby nie tego słodkiego rudego, który przyglądał mi się, kiedy przyjmowano mnie do pracy. Często brałem go potem na ręce, patrzyliśmy sobie głęboko w oczy i mówiłem, że przyniósł mi wtedy szczęście. A co ja mu przyniosłem?

Bałem się, że Kadłubkowska otworzy mi w szlafroku, ale nie. Na początku wszystko było normalnie i nic nie zapowiadało, że przebiję Austriaków.

Może tylko to, że zaczęła do mnie mówić na ty.

– Proszę, Stasiu. – Była ubrana jak do biura, w szary, zapięty na ostatni guzik kostium. Po domu też chodziła na obcasach. Na sam ich dźwięk niektórzy w fabryce truchleją ze strachu.

Nie pytajcie się! Każdy przecież coś z pracy wynosi. Wela opowiadała, że w kuchni zawsze brakuje sztućców i talerzy. A u nas na warsztacie też ciągle znikają narzędzia, nie mówiąc już o śrubkach, gwoździach i innej drobnicy, którą wszyscy upychamy po kieszeniach.

Założę się, że pierwsza myśl każdego świeżo zatrudnionego u Schulza, to: co da się wynieść?

A Kadłubkowska, tak samo jak przyjmuje do pracy, może z niej człowieka wywalić.

Jej willa była skromniejsza niż tego gestapowca, u którego sprząta i gotuje Wela. Drewniana i jednopiętrowa. Ale przy wejściu też miała kolumny. Tyle że drewniane. I żadnych witraży.

Zaprowadziła mnie do łazienki, gdzie miałem zamontować gniazdko natynkowe przy umywalce i naprawić włącznik światła, który przestał działać. A potem poszliśmy po schodach do sypialni. Tego bałem się najbardziej, na szczęście pokazała mi tylko, gdzie mam zawiesić lampę.

Na wszelki wypadek powiedziałem, że zacznę od łazienki. Zanim zbiegłem schodami na dół, zdążyłem zauważyć w sypialni pojedyncze łóżko i fotografię w ramce na nocnym stoliku. Łysy facet w okrągłych okularach za wielkim biurkiem.

Trochę czasu mi zeszło w tej łazience. Po godzinie Kadłubkowska przyniosła na tacy kawę w niebieskiej filiżance ze spodeczkiem i cukiernicę.

Żeby tylko tego nie stłukł – aż zatrzęsły mi się ręce, kiedy wsypywałem cukier.

Prawdziwa kawa, nie z cykorii! Zaraz poznałem po zapachu. Od początku wojny takiej nie piłem, a wcześniej też rzadko kiedy. Chyba tylko jak najstarszy brat przyjeżdżał do Tarnowa i na moje urodziny zabierał mnie czasem do kawiarni Pudelskiego.

– Skąd ją pani ma? – spytałem po pierwszym łyku.

Ten mocny słodko-gorzki smak od razu przypomniał mi Rudka i przytulne wnętrza z miękkimi fotelami. I jeszcze, że od czterech lat nie obchodziłem urodzin.

– To porcelanowy komplet po rodzinie męża.

Nie zrozumiała pytania.

– A kawa?

– Od Meinla.

Opuściłem lekko kąciki ust i pokiwałem głową z uznaniem. W stylu naszego ojca.

To te luksusowe niemieckie sklepy z czerwoną główką chłopca w tureckiej czapeczce, kojarzycie je, Stramery?

Kadłubkowska sobie poszła, ale zostawiła mnie z rodzinnymi wspomnieniami z Tarnowa, a potem z rosnącym niepokojem.

Bo kto, do cholery, podaje elektrykowi najlepszą kawę w pamiątkowej porcelanowej filiżance? Ostatnią czarną kroplę wydłubałem z dna i oblizałem słodki palec.

Przypomniało mi się, jak Salek na Goldhammera opowiadał nam przed snem o książce, w której facet boi się, że na uroczystej kolacji niechcący stłucze cenną chińską wazę. I w końcu i tak ją rozbija. Tyle zapamiętałem z tej książki. No i jeszcze tytuł. Chyba *Kretyn* czy *Debil*.

– Pasuje do ciebie – szepnął mi wtedy Rudek, z którym spałem w jednym łóżku.

Odstawiłem pustą filiżankę i spodeczek najdalej, jak się dało. Na parapet, obok zielonej butelki z perfumami.

Ta niebieska porcelana śmierdzi kłopotami na kilometr. A co, jak zginie i stara oskarży mnie o kradzież?

Gdyby Kadłubkowska rzuciła się na mnie, wszystko byłoby przynajmniej jasne. A tak? O co jej, do cholery, chodzi?

To prawda, co powtarzał mój brat Hesio, że kobiety są nieprzeniknione. Ale jemu, w przeciwieństwie do mnie, to się akurat podobało.

Nie szuka chyba nowego męża?

– Nie martw się, stary. – W sypialni puściłem oko do faceta ze zdjęcia. – Nie zrobię ci tego.

Jak by to było codziennie budzić się i zasypiać przy Kadłubkowskiej? Jak wyglądała młoda? Nie mogłem sobie tego wyobrazić, bo to jakby jechać pod prąd. Już prędzej widziałem ją bez zębów i z laską.

Zaczęło się ściemniać, kiedy usłyszałem, że pod willę podjeżdża samochód.

Wysiadł z niego oficer Wehrmachtu. Od razu poznałem po stukocie podbitych gwoździami oficerek. Wela mnie tego nauczyła. Zadzwonił do drzwi willi. Czego tu chcesz, skurwysynu? Kadłubkowska poszła otworzyć, gadała coś po niemiecku.

Podszedłem do okna i odchyliłem firankę. Szofer oparty o czarnego opla zapalał papierosa. Oni zawsze tak stoją i palą, jakby się ze sobą umówili.

Nagle słyszę ten huk oficerek na schodach. Otworzyły się drzwi do sypialni i weszła Kadłubkowska, a za nią wehrmachtowiec.

Z trudem się powstrzymałem, żeby nie podnieść rąk do góry. Popatrzyłem błagalnie na faceta ze zdjęcia, jakby mógł mi jakoś pomóc. Chętnie bym się z nim teraz zamienił. Ja wskoczę w zdjęcie, a on do sypialni. Ale siedział niewzruszony przy biurku. Na tych dwoje bałem się spojrzeć.

Czy każą mi najpierw opuścić spodnie?

– Stasiu – powiedziała Kadłubkowska. – To mój brat.

Podszedł do mnie. Wyższy o dwie głowy. Poczulem lawendową wodę kolońską i zapach munduru.

Wyżej nie patrzyłem.

– Klaus. – Wyciągnął rękę.

Co to za żart? Żeby wehrmachtowiec witał się z elektrykiem?

Zgłupiałem. Przez chwilę nie wiedziałem nawet, jak się nazywam. Pierwszy raz w życiu uściśnąłem rękę niemieckiego oficera. Wcześniej miałem bliższy kontakt tylko z ich pięściami i butami.

– Stanisław – przypomniałem sobie wreszcie.

– Przygotowałam kolację – powiedziała Kadłubkowska. – Na trzy osoby. Zostaniesz, Stasiu.

A ci co? Zmówili się z Austriakami? Czym dla odmiany chcą mnie nakarmić? Hau, hau Schulz?

Nic nie tknę. Nie ma głupich.

– Nie mogę. – Pokręciłem głową. – Muszę zdążyć przed godziną policyjną.

– Nie przejmuj się – powiedziała Kadłubkowska. – Mój brat cię odwiezie do domu.

Akurat. Już to widzę, jak sąsiedzi zobaczą mnie z wehrmachtowcem.

– Proszę panią, ja bardzo dziękuję. – Spojrzałem na nią smutno. – Jak mnie pani brat odprowadzi, to nim ja wejdę do domu, już będę trup. Przecież pani wie o tym.

– Prawda – potwierdził po polsku Klaus.

Nie zdążyłem się zdziwić.

– To prześpisz się tu – zdecydowała Kadłubkowska. Powiedziała to znanym mi z pracy tonem.

Zrozumiałem, że dziś nie wrócę na noc do Zosi.

Posprzątałem narzędzia. Po tym się poznaje prawdziwego fachowca, że wie, co gdzie ma, czyli po porządku w narzędziach. I zszedłem za nimi na dół.

Żebyście teraz nie zemdleli, bo ja prawie zemdlałem. Prędzej bym się spodziewał półmiska z upieczonym psem niż tego, co zobaczyłem na stole.

Pewnie i tak nie uwierzycie. Powiecie, że mi się przyśniło. Rudek powtarzał w dzieciństwie, że jak ktoś ciągle zmyśla, to potem nikt mu nie wierzy, nawet jak mówi prawdę. Albo że jak beczę bez powodu po tym, jak mnie lekko kopnie w dupę, to potem, jak coś mi naprawdę zrobi, nikt nie potraktuje tego poważnie.

Ale co tam.

Wchodzę do jadalni. Trzy nakrycia i – nie pytajcie się! Dwa świeczniki. I obok chałka przykryta serwetą. Coś wam to przypomina?

Kadłubkowska przyszła z kuchni. Zaciągnęła grube zasłony. Nałożyła chustę na głowę.

– Usiądziesz naprzeciw mojego brata – powiedziała.

Chciałem od razu to zrobić, miałem miękkie nogi. Ale on wciąż stał nad stołem, więc i ja stoję.

Serce huczało mi jak te jego oficerki. Jakby łąził mi nimi po łepetynie.

Żeby tylko oni tego nie usłyszeli.

Kadłubkowska zapaliła świece, nalała czerwone wino do kieliszka i zaczęła wokół tych świec robić rękami ruchy, które też dobrze znałem z domu.

Pamiętasz, Hesi, jak nabrałeś mnie, że to na pamiątkę ucieczki z Egiptu? Że tym stylem, podobnym trochę do żabki, Żydzi kiedyś przepłynęli przez Morze Czerwone.

Mnie w Wątoku nie udało się tak przepłynąć nawet pięciu metrów.

Kiedy Kadłubkowska zaczęła odprawiać błogosławieństwo, podniosłem głowę i pierwszy raz zerknąłem na Klause. Na sekundę, bo on też badawczo na mnie popatrzył.

Nie wyglądał na zdziwionego tym cholernym teatrem. Ja też grałem, jakby nic takiego się nie działo. Jakbym co tydzień jadł szabatową kolację z oficerem Wehrmachtu.

A może ktoś nas teraz obserwuje?

To lepszy kabaret niż te, co grały w Warszawie. Ale wolałbym być na widowni.

– *Boruch ata Adonaj Elohejnu.* – Wciąż znałem piątkowe błogosławieństwo na pamięć i wiedziałem, jakie padnie następne słowo.

Świece oświetlały szarozielony mundur Klause, naszytego nad prawą kieszenią orła i białe naszywki na kołnierzu ze stójką. Porządna robota. Znam się na tym. U nas też szyją mundury dla Wehrmachtu, ale cieplejsze, jadą od razu na front wschodni.

Twarz Klause – szczupła, lekko zaczerwieniona na policzkach, z niebieskimi oczami i starannie uczesany z przedziałkiem blond włosami – pasowała do jego munduru.

Czy można mieć lepszy wygląd?

Klaus nie był podobny do starszej siostry – niskiej, grubej i siwiejącej. Nie zgadlibyście, że są rodzeństwem.

Ale posłuchajcie! Niech nikt mi nie przerywa. Teraz najlepsze.

Ona kończy błogosławieństwo. Jak nasza mama co piątek, dziękuje Bogu za przeszły tydzień. I wtedy okazuje się, że jej brat też zna słowa. Bo na sam koniec to on, wehrmachtowiec, mówi:

– *Amejn.*

I to dobrze powiedział – „Amejn”, a nie po katolicku „Amen”.

Ja się w ogóle nie odezwałem. Udawałem, że nie wiem, o co chodzi.

A wiedziałem?

Usiedliśmy do jedzenia. Kadłubkowska nalała mi wina. Nie zastanawiałem się, czy koszerne, czy nie. Wypiłem duszkiem cały kieliszek. A raczej chlapnąłem na raz jak wódkę.

Skrzywiłem się. To ma być alkohol? W gardle nie pali. Józek czy Kazik wyśmialiby to słodkie wino.

Rzuciłem się na żarcie. Musiałem czymś zapchać gębę, żebym tylko nie musiał gadać. Mama zawsze mi mówiła: Nie mówi się z pełnymi ustami. Dobrze, że teraz ta żydowska mądrość mi się przypomniała.

– Smaczne – pierwszy odezwał się Klaus.

Spróbowałbyś czulentu naszej mamy!

Przytaknąłem mu i uśmiechnąłem się do Kadłubkowskiej, żeby wiedziała, że też mi smakuje.

Oni co chwila zerkali na mnie i potem na siebie. Porozumiewawczo. Co kombinują? Co chcą ze mną zrobić?

Śledziłem wzrokiem każdy ruch Klause. Przy pasie miał oczywiście pistolet w kaburze. Ale na razie sięgał tylko po nóż i widelec.

Nagle podciągnął rękaw munduru i spojrzał na zegarek.

– Marysiu – powiedział. – Muszę już jechać.

Przez cały czas pod willą czekał na niego szofer. Nic dziwnego, że Klaus nie zaprosił go do środka.

Wstał. Lewą ręką pokazał mi, żebym się nie ruszał. A prawą sięgnął do pasa. Nie pytajcie się. Chałka stanęła mi w gardle. Byłem pewny, że to moje ostatnie sekundy. Ale on tylko lekko poluzował pas po kolacji.

Kadłubkowska odprowadziła brata do drzwi.

Wydawało mi się, czy z korytarza spojrział jeszcze na mnie i pokiwał głową do siostry?

Opel za pierwszym razem nie odpalił. Za drugim też nie. Za trzecim się udało.

– Pewnie akumulator – stwierdziłem tonem fachowca od razu, kiedy Kadłubkowska wróciła do jadalni.

Zdjęła chustę z głowy, poprawiła włosy.

– Stasiu, dlaczego się przede mną ukrywasz?

To ja powinienem zapytać: Co tu się, kurwa, dzieje?

– Co ukrywam?

– Przecież ty wiesz, kto ty jesteś.

Usiadła na krześle najbliżej mnie.

– A czy ja powiedziałem, że ja nie wiem, kto ja jestem? Przecież ja tego nie powiedziałem.

– Czemu mi nie ufasz?

Musiałem szybko coś odpowiedzieć.

– Pani może wyjść, pani ma takie dokumenty. Ja nie mam takich papierów, prawda? Poza tym nim ja się wylegitymuję, to mnie zastrzelą. *Halt, halt* i do widzenia!

To powinno zamknąć temat.

Ziewnąłem na znak, że już bym się położył.

– Od szóstej jestem... – zacząłem mówić.

– Stasiu, nie musisz przede mną udawać – przerwała mi. – Ja się domyślam wszystkiego. Ale skoro taką tajemnicę z tego robisz, to ja ci coś powiem. Widziałeś zdjęcie w sypialni przy łóżku?

Kiwnąłem głową.

– Wiesz, Stasiu, że ja przeżyłam największą stratę w życiu?

Co mnie to obchodzi? Ciesz się, że przeżyłaś.

– Ja nie jestem Żydówką. Ja jestem Niemką z Gdańska. Przed wojną wyszłam za adwokata Kadłubkowskiego i przeszłam na

judaizm. Mojego męża zabrali do getta. Poszłam za nim. Zachorował na zapalenie płuc. I tam umarł. – Patrzyła na mnie. – Po jego śmierci chciałam wyjść z getta. Strażnicy zrobili mi rewizję. Swolocz nie z tej ziemi. Pokazałam im niemieckie papiery, ale zaczęli krzyczeć: Żydowa! Żydowa! Bo miałam ze sobą tałes i tefilin po mężu. Musiałam je wyrzucić. Dopiero Schulz mnie stamtąd wydostał. Mąż przed wojną w Gdańsku był jego adwokatem.

Słuchałem bez słowa.

– I wiesz co, Stasiu? Ja ci powiem jeszcze coś. Ta Janka z kuchni to twoja siostra.

– Proszę panią, co pani opowiada? – wstałem od stołu. – Od szóstej rano jestem na nogach.

– Nie wyprzesz się. Jest tak podobna do ciebie.

– Czy pani się nie myli?

– Przecież nie wydam was. Ale mam do ciebie prośbę.

No to teraz się dowiem, o co jej tak naprawdę chodzi.

– Mieliśmy przyjaciół w Gdańsku. Żydów. Oni mieli fabrykę butów. Ich córka jest teraz z takim jednym Niemcem w Warszawie. On ją pilnuje w domu. Nie daje jej żyć. Biję ją. Ona chce od niego uciec. Dla niej trzeba zrobić dokumenty. Ja nie wiem jak. Czy masz kogoś, kto mógłby...

– A pani brat nie może?

Na moje pytające spojrzenie pokręciła głową.

– Dlaczego? – przejąłem inicjatywę, teraz to ja zadawałem pytania.

– Boi się, że wyślą go na front wschodni.

Pomyślałem od razu o Gramadzie. Jest dobrym kumplem Natka, najlepszym.

– Dobra, pani Mario, pani mi da jej zdjęcie i tę schulzowską legitymację ze wszystkimi pieczętkami. Zobaczę, co się da zrobić. Muszę popytać. W poniedziałek będę wiedział.

Na niedzielę byłem umówiony z Welką i Natkiem.

WELA

Obudziło ją pukanie w szybę. Słońce dopiero wschodziło, było przed szóstą. Nusek miał buty całe w rosie. Nie zdjął nawet kurtki i od razu zaczął mówić. Przyszedł prosto po nocy u sekretarki Schulza. Chciał jak najszybciej uprzedzić siostrę i razem coś zdecydować.

Usiedli na łóżku w pokoju, który wynajęła w Jeziornie u rodziny kowala. Nusek pomógł go znaleźć przez jednego kuśnierza z fabryki. Nędzny pokój, wilgotno jak u Zosi, ale za to tanio i na parterze, z oddzielnym wejściem od podwórka.

Oparli się plecami o ścianę, a ramionami o siebie. Wela zauważyła, że brat jest tak rozbudzony, jak ona śpiąca. Łóżko skrzypiało pod jego gorączkową gestykulacją. Żeby gospodarze jeszcze sobie czegoś nie pomyśleli. Na wszelki wypadek pokazała ręką, żeby się uspokoił, i przyłożyła palec do ust, żeby nie mówił za głośno, bo kowal z żoną śpią za ścianą.

Nusek zaczął opowiadać, jak sam pół godziny wcześniej się obudził.

– Było jeszcze ciemno. Ulżyło mi, że to był tylko głupi sen. Co w tej łepetynie się kotłuje? – Stuknął się w czoło. – Wehrmachtowiec na kolacji szabasowej! Musiałem wczoraj ostro dać w palnik u Kazika.

Sięgnął ręką, chciał sprawdzić, czy Zosia jest przy nim w łóżku, czy już poszła do dzieci. Ale gdzie miałyby być, jak łóżko się zaraz kończyło? Ledwo sam mieścił się na wąskiej kanapie. Dalej był w willi u Kadłubkowskiej. Dalej był w tym cholernym śnie.

Opowiedział Weli, jak się tam znalazł poprzedniego wieczora. Zaczął od prawdziwej kawy. Tak sugestywnie mówił o tej kawie od Meinla w porcelanowej filiżance, że Wela momentalnie się rozbudziła.

Nusek wszystko naraz chciał siostrze powiedzieć. Że Kadłubkowska ma brata wehrmachtowca. Że jej mąż był Żydem. Że ona wie o nich, że są rodzeństwem.

Wela poczuła się jak w dzieciństwie na Goldhammera, kiedy ojciec latał za matką po mieszkaniu z kolejnymi pomysłami na interes życia. Podtykał jej pod nos jakieś kartki z wyliczeniami. Nie rozumiał,

czemu matka nie rzuca natychmiast wszystkiego, żeby zająć się tylko jego sprawami.

Jak ona to wytrzymywała?

W domu wszyscy prócz Nathana Stramera wiedzieli, że nowy interes skończy się jak wszystkie poprzednie, czyli na laniu amerykańskim pasem starszych synów i niewstawaniu przez tydzień z łóżka, co mama nazywała „katarą żołądka”.

Wela poczuła podobną intensywność i napięcie w brzuchu jak przy ojcu.

Co zrobić? – zastanawiali się teraz we dwoje. Gdybyśmy tak mogli usiąść przy stole w kuchni na Goldhammera i poradzić się reszty Stramerów – myślała Wela. Nusek w tym samym momencie pomyślał dokładnie to samo. I też się do tego nie przyznał.

Na pewno nie mogą zwolnić się z fabryki. To byłoby dopiero podejrzane. Musieliby też od razu się wyprowadzić, załatwić nowe papiery. Wszystko od nowa. A to już katastrofa.

Wela zdążyła polubić grubego kowala, jego żonę i córkę. Nie podejrzewają jej, mimo że nie ma dobrego wyglądu. Albo to przyzwoici ludzie. Kowal pokazał Weli, gdzie ukrył radio, którego nie dał sobie skonfiskować. Trzyma je razem ze złożoną w kostkę polską flagą w zardzewiałym wiadrze nad piecem kowalskim.

– Najciemniej pod latarnią – powiedział.

– Najzimniej na piecu – zażartowała wtedy.

A może jednak zaufać tej Kadłubkowskiej? Może też jest przyzwoita i faktycznie ich nie wyda?

Ale nawet jak nie doniesie, to będzie na nich patrzeć. Inni to zobaczą, zaczną gadać i ktoś w końcu się połapie. Od teraz w fabryce zaczną się z Nuskiem unikać. Koniec z randkowaniem w stołówce. Będą jeść obiady o różnych porach. Jak ktoś ją zapyta, czemu już się nie spotykają, to Wela powie, że dziewczyny z kuchni miały rację co do elektryków. Tylko jedno im w głowie. I wszystko będzie jasne.

A Nusek co powie kolegom z warsztatu?

– Że Janka dała ci kosza – wymyślała Wela – albo że jest niedotykańska.

– Znajdę coś lepszego – powiedział. – Coś takiego, żeby Zosia się ucieszyła, kiedy Józek jej to powtórzy.

Ważne, żeby ją uspokoić, bo zrobiła się piekielnie zazdrosna o Welę i kto wie, może być dla nich bardziej niebezpieczna od Kadłubkowskiej. Najlepszy dowód, jak zareagowała, jak zeszłej niedzieli nagle wezwano Nuska do awarii w fabryce. Już dawno powinien był to opowiedzieć Weli. Ale wyleciało mu z głowy. Pewnie przez tych cholernych Austriaków i kota.

Po robocie wrócił wtedy do domu w pobrudzonej smarem białej koszuli i Zośka się wściekła. Był pewny, że o koszulę po mężu. Ale nie. Wieczorem przy kolacji krzyknęła, że chodzi o „tą twoją Jankę”.

– Jaką znowu Jankę?

– Od Schulza. Ze stołówki. Nie udawaj.

– Jaka tam ona moja? Co do niej masz?

– Co mam? Ta twoja Janka to musi być Żydówka!

Tego Nusek się nie spodziewał. Jego zaskoczenie nie było udawane.

– Czy ty na głowę upadłaś, czy co? Janka Żydówka?! Wiesz ty... – Odsunął talerz z odsmażanymi kartoflami z cebulą. – Słuchaj, Zocha, ty lepiej powiedz, że ja jestem Żydem. To ci prędzej uwierzę!

Wstał od stołu. Na stojąco zawsze lepiej mu się myśli.

– Czekał, Stasiu. – Złapała go za rękę. – Zjedz.

– Daj mi spokój. – Wyrwał się. – Jeść mi się odechciewa, jak na ciebie patrzę. Jak możesz mnie tak obrażać? Że ja bym się zadawał z Żydówką?!

– Nie gniewaj się, Stasiu. Posłuchaj. Byłam z nią rano w kościele. I wiesz co? Ja się modliłam, inni się modlili, ale nikt się tak nie modlił jak Janka. Kto to się tak modli? Po prostu padała krzyżem na ziemię...

– Dziwisz się? – przerwał Zosi. – To bardzo pobożna dziewczyna!

Chodził po kuchni, patrzył na makatkę z napisem „Dobra gospodyni dom wesołym czyni” i kręcił głową z niedowierzaniem.

– Ty nie wiesz, co to znaczy pobożna. Ty wstydu nie masz! Wy – pokazał na sufit, na mieszkanie starego Kowalskiego – uczyć się od niej powinniście.

Poczuł, że trafił. Otarła oczy.

– Stasiu, siądź, bo ostygnie.

– Gdyby nie Elżunia i Jędrus, tobyś usłyszała, co o tobie myślę. Już by mnie tu nie było.

Tak załatwił sprawę, był zadowolony z siebie, ale na jak długo?

Nusek perfekcyjnie odgrywał Zośkę. Jej głos i miny. Aż dziwne, że nigdy w życiu nie był w teatrze – pomyślała Wela.

– To moja wina – powiedziała. – Przestraszyłam się, kiedy Zośka przyszła sama na nabożeństwo, że ciebie złapali. I przedobrzyłam.

– Jutro się poprawisz. Poćwicz przed lustrem. – Nusek wzorcowo się przeżegnał.

A potem wyszedł tak nagle, jak przyszedł. Zostawił po sobie mokre ślady butów i niepokój, że znowu wszystko się wali.

NUSEK

Wracam do domu, do Zośki. Zmęczony, ale „mw” szczęśliwy, że cały i zdrowy i że uprzedziłem Welkę.

Co temu winien Monius, że jest taki śliczny?

Gdyby bracia mogli mnie teraz zobaczyć. Jak idę pustą główną drogą. Król Jeziorny.

Nie pytajcie się!

Zaraz byście pożałowali, że w dzieciństwie nie zabieraliście mnie nigdzie ze sobą w Tarnowie.

Ale jestem w łaskawym królewskim nastroju i wybaczam wam.

Raz już czułem się jak król – kiedy Rudek wyprowadził się z Goldhammera i jedyny z rodzeństwa miałem łóżko tylko dla siebie. Pamiętacie? Zostałem królem łóżka.

Prawie już wchodziłem do sieni, ale się zatrzymałem. Suszyło mnie trochę. Wróciłem na podwórko. Podszedłem do studni. Zaspana Potka wyrzła z budy. Nie szczekała już na mnie jak dawniej. Puściłem do niej oko. Pomerdała ogonem. Jestem dla niej swój. Mądrzejsza jesteś od ludzi. Pochodzenie nie ma dla ciebie znaczenia.

Zacząłem wyciągać wiadro. Normalnie lubię ten dźwięk metalowego łańcucha nawijającego się na belkę. Ale nie dzisiaj.

Wyjąłem z wiadra lodowatą butelkę i łyknąłem sobie. Jak dobrze. Od razu poczułem, że wracają mi siły, jakbym odżył.

Jak ten ich Jezus na Wielkanoc. No co? Też Żyd.

Beknąłem.

Jest coś lepszego na kaca niż wódka prosto ze studni?

To słodkie wczorajsze wino to może nie tak smakuje jak bimber, ale kac po nim gorszy. Przypomina mi od rana o ciężkim żydowskim losie.

Wziąłem jeszcze cztery łyki, zakorkowałem butelkę, włożyłem do wiadra i spuściłem z powrotem do wody.

Dwa razy już z Józkiem smarowaliśmy drzwi wejściowe i nic. Znowu skrzypią jak jasna cholera. Może jeszcze nie obudziłem Zośki i dzieciaków? Na paluszkach wchodzę do sieni i do kuchni.

Ale ona siedzi przy stole w kuchni i płacze. Całą noc tak siedziała, nie spała, czekała na mnie? Głowę oparła na stole. Koszula nocna zwisa z jej chudego ciała.

– Zosiu – mówię. – Była godzina policyjna i zostałem u sekretarki Schulza.

– Kłamiesz, Stasiu! Pies ci mordę lizał.

Podniosła głowę, koszula nocna odsłoniła jej drobne piersi.

– Co ty opowiadasz, Zosiu?

– Widziałam przez okno. Przyszedłeś od strony domu kowala. – Poprawiła koszulę. – Znowu byłeś u tej Żydówki!

– Uspokój się – mówię. – Nigdzie nie byłem. Jak Boga kocham.

– Doniosę na nią, zobaczysz!

Co miałem zrobić? Nawet się nie zastanawiałem.

– To idź, donieś, głupia kurwo! – Trzasnąłem ją w pysk. – Już zapierdalaj na gestapo.

I pokazałem palcem na drzwi.

Nie ruszyła się z miejsca. Opuściła głowę z powrotem na stół. Trzęsła się i płakała.

– Cholerna żydowska płaczka – powiedziałem.

NATEK

W przedsiębiorstwie Trasa główny księgowy Uchański, energiczny przedwojenny elegant w muszce i okrągłych drucianych okularach, szybko zorientował się, że jego nowy pomocnik ukrywa swoją wiedzę o rachunkowości. Ale nie powiedział mu o tym. Od pierwszych dni podejrzewał też Natka o działalność w podziemiu. Czy o coś jeszcze?

Trudno powiedzieć.

Natek daje Uchańskiemu do przechowania różne papiery, które sam w szarych, przewiązanych sznurkiem papierowych teczkach dostaje od swojego przyjaciela Ludwika Gramady.

Uchański chowa tecki w pancерnej kasie i nigdy o nic nie pyta.

Raz tylko, po kolejnej wizycie Ludwika w Trasie, opowiedział Natkowi dowcip. O dwóch znajomych, którzy widzą się w zatłoczonym warszawskim tramwaju. Między nimi stoi tyłu ludzi, że nie mogą się do siebie dopchać. W końcu jeden nie wytrzymuje. Przykłada ręce do ust i krzyczy na cały wagon:

– Panie pułkowniku, co pan tu robi?

A drugi krzyczy jeszcze głośniejsze:

– Ukrywam się!

Uchańskiemu nie chodziło o to, żeby dać do zrozumienia, że wie o ich podziemnej działalności, bo to od dawna było oczywiste. Ale uznał chyba, że ta działalność prowadzona jest zbyt jawnie, lekkomyślnie i nieostrożnie.

Czyli Uchański nie wie, że jedna konspiracja pozwala mi chronić drugą – pomyślał Natek, śmiejąc się z dowcipu.

Ludwik zwykle najpierw dzwoni do biura:

– „Stary” jest? – pyta Natka.

I jeśli nie ma szefa w biurze, to Ludwik zaraz wpada. Zawsze tylko na chwilę, w czarnym skórzanym płaszczu do kostek, w którym prędzej można wziąć go za esesmana niż Żyda na aryjskich papierach. Równie dobrze mógłby założyć jeszcze tyrolski kapelusz z piórkiem, jak niektórzy Polacy na usługach Niemców. Bo o to chodzi. Niech podejrzewania prowadzą w tę stronę.

Pracownicy biura sztywnieli, kiedy Ludwik przychodził do Natka. Ze strachem zerkają na niego nawet prawa ręka „Starego”, potężna pod każdym względem pani Lenkowska.

Ludwik chodzi pewnym krokiem, patrzy prosto w oczy i mówi głośno. Nie sposób go nie zauważyć. Wszyscy czują, że to ktoś, kto nie ma nic do ukrycia, ale jeśli oni coś mają, to powinni na niego uważać.

Jego pewność siebie udziela się Natkowi.

Ludwik musiał podpatrzeć ten styl u ich wspólnego kolegi Benka Laubharta, który, jak sam skromnie przyznaje, nikogo ani niczego się nie boi. Raz jest hrabią Steckim, raz Niemcem, raz akowcem – zależy, kto pyta, a raczej na kogo jest popyt. Taki Benek przydałby się w konspiracji, Ludwik i Aśka Tecko wiele razy namawiali go, żeby do nich dołączył, ale Benek mówił, że mu się to nie opłaca. Nigdy nie robi niczego za darmo. To się akurat nie zmieniło od przedwojennych czasów. Tak jak i jego ulubione powiedzenie: śmierć frajerom!

Ludwik kładzie teczkę na idealnie uporządkowanym biurku Natka. W środku są podrobione legitymacje pracownicze, kenkarty, świadectwa chrztu.

Trasa to bezpieczna kryjówka w samym centrum miasta i dlatego Ludwik tak namawia Natka, żeby nie zmieniał pracy, kiedy odprowadzani niepewnym wzrokiem przez Lenkowską schodzą razem na dół na ostatniego papierosa.

Lenkowska to prosta kobieta z Woli. Natek słyszał, jak raz na pytanie szefa: jak leci?, odpowiedziała: jak co miesiąc. „Staremu” wyraźnie ulżyło, w końcu ma już szóstkę dzieci w domu. A ona też ma dużą rodzinę, opowiada, jak co rano wstaje przed piątą, żeby nagotować im na cały dzień.

Lenkowska w drodze do pracy robi zakupy na Kercelaku. Czuć je potem w sekretariacie.

– Panie Bolesławie, pan pozwoli. – Lenkowska zawołała Natka do siebie mniej więcej po miesiącu, od kiedy rozpoczął pracę w firmie. – Lubi pan wędliny?

Sprawdza mnie, pomyślał. Zrobiło mu się ciepło, poluzował krawat. Sprawdza, czy zjem niekoszerne.

– A kto nie lubi? – odpowiedział beczelnym tonem w stylu Benka. Może od razu opuścić spodnie?

– Jest baleron.

Natek rozejrzał się po sekretariacie – biurko, maszyna do pisania i telefon, parapet z paprotkami, dwuskrzydłowe okno, szafa gdańska do sufitu i drzwi z napisem DYREKTOR TADEUSZ SIENKIEWICZ, ale nigdzie śladu baleronu.

– Gdzie? – zapytał.

Lenkowska pokazała ruchem głowy za siebie i szepnęła:

– W szafie!

Podszedł do szafy i otworzył ją.

– Pan se weźmie plasterek.

W środku było pełno równo ułożonych segregatorów (z datami od 1935 do 1943 roku), teczek i papierów.

– Czwarta półka od góry, za czerwonym segregatorem, leży na szmatławcu.

Natek wyjął gruby czerwony segregator z napisem „1943”. Momentalnie uderzył go zapach wieprzowiny. Jeszcze zanim zobaczył ułożony na „Nowym Kurierze Warszawskim” baleron w plasterkach.

– Pan się nie krępuje, panie Bolesławie.

Poczuł ścisnięcie w żołądku.

– Pan się poczęstuje. I zamknie szafę – powiedziała Lenkowska.

Starął się wypaść jak najlepiej. Uśmiechał się i mrużył oczy, jedząc tę wieprzowinę. Pewny, że to egzamin. Na szczęście jego delikatny żołądek go nie zawiódł.

Lenkowska mu zaufała i Natek od czasu do czasu był zapraszany do szafy nie tylko na wieprzowinę, ale też na jabłka, cukier w kostkach czy papierosy.

– Wiesz, u Schulza w Konstancinie – Natek zmienia temat, kiedy wychodzą z Ludwikiem na Marszałkowską – jedna pani poprosiła o przysługę dla swojej przyjaciółki.

Marszałkowska, jak zwykle po południu, jest pełna eleganckich ludzi. Wela trafnie powiedziała mu, że ta ulica to wieczny pokaz mody, z przerwami na łapanki i egzekucje. Przez niecałe cztery lata wszyscy tak przywykli do Niemców w mundurach i niemieckich czarnych samochodów, że nawet Natek z Ludwikiem już ich prawie nie zauważają.

Obaj idealnie zlewają się z modnym tłumem – noszą jasne koszule, samodziałowe marynarki, długie płaszcze, brakuje im tylko „butów na szklankach”. Takie wysokie oficerki noszą teraz młodzi, żeby dać do zrozumienia, że należą do państwa podziemnego. Stały się tak popularne, że podziemie musiało ostatnio zakazać konspiratorom ich noszenia.

Natek i Ludwik mają dobry wygląd, nikt na nich nie zwraca uwagi, kiedy stają na chodniku pod neonem z reklamą aspiryny BAYER. Jeśli wpadną komuś w oko, to tylko dlatego, że są przystojni, a nie z wiadomego powodu.

– Ta pani da nam zdjęcie przyjaciółki i legitymację od Schulza ze wszystkimi pieczętkami – powiedział cicho Natek, przypalając

przyjacielowi papierosa. – Zajmiesz się resztą?

Ludwik kiwnął głową i mało brakowało, a od zapalniczki zajęłaby się jego blond grzywka. Poprawił fryzurę.

– Ale jest warunek – odpowiedział. – Nie jedną, tylko kilka legitymacji. Przekaż jej, że my też mamy przyjaciół.

NUSEK

Hans wyciągnął mnie rano z tłumu idących do fabryki. Czekał pod wartownią. Ma do mnie sprawę. Kurs do Warszawy. Potrzebuje pomocnika. Kiwnąłem głową, niezbyt jeszcze przytomny. Wczoraj byłem u Kazika.

Często, zanim pomyślę, mówię „tak”. Na wszelki wypadek.

Trzeba przywieźć jakieś meble dla Schulzów. Wyrwiemy się do miasta. Pojedziemy oplem we dwóch. Będziemy ładować na pakę. Załatwił już z Schulzem, że mnie weźmie. Możemy jechać od razu. Pokręciłem głową.

– Hans – powiedziałem. – Chwila.

Ja też miałem dziś sprawę, ale do Kadłubkowskiej.

– Potrzebuję pięć *Minuten*.

– Dobra. – Spojrzał na zegarek. Nie było jeszcze ósmej.

On mówi niezły po polsku, Schulz go tu przywiózł z Gdańska, tak jak swoją sekretarkę.

Wszedłem przez bramę razem z innymi robotnikami – punktualnie o ósmej jak fala zalewamy całą fabrykę. Odpływ jest osiem godzin później.

Dlaczego w Konstancinie i Jeziornie mówią na ten budynek willa Pod Diabłami? Cholera wie, co tu było przed wojną. Muszę zapytać Józka albo Zochy.

Wbiegłem po schodach na górę. Na półpiętrze spłoszyłem trzy koty, które wygrzewały się w słońcu na parapecie. Niestety nie było wśród nich tego rudego. Nie widziałem go od tamtej feralnej środy.

Kadłubkowska pokazała mi spojrzeniem, że bym zamknął za sobą drzwi.

Dopiero teraz zauważyłem, że nad wejściem wisi obrazek ze swastyką. Ona przy biurku musi cały czas go widzieć.

Czy ta kolacja szabasowa na pewno mi się nie przyśniła?

Ale przynajmniej ma za sobą okno. I ładniej wygląda. Salek wyjaśnił mi kiedyś, że kobiety specjalnie siadają tyłem do światła.

– I jak, panie Stasiu? – zapytała pani Maria. – Pogadał pan?

– Pani Mario – usiadłem po drugiej stronie biurka, plecami do swastyki. – Jest jeden warunek.

– Jaki? – spytała.

– Oko za oko, ząb za ząb – powiedziałem.

I w myślach aż puknąłem się w głowę, że taka pusta.

Na to ona znowu bawi się ze mną w tę swoją grę:

– Tak mówią przecież Żydzi, panie Stasiu.

Sam się o to prosiłem.

– Myli się pani – odpowiedziałem. – To starorzymskie powiedzenie. Coś za coś, pani Kadłubkowska.

Jej niebieskie oczy gapiły się badawczo w moje brązowe, jak kiedy przyjmowała mnie do fabryki.

– Za ile?

– Nie o forszę idzie.

– A o co?

Trzymałem ją przez chwilę w niepewności. I siebie też – czy odważę się to powiedzieć?

– Pani Kadłubkowska – przestałem się krępować, co mi tam. – Pani Mario, będę dawał pani pocztę do mnie zaadresowaną. Ze znaczkami i pieczętkami. Podrobionymi idealnie. I bardzo panią proszę, żeby pani wołała: Kto idzie do Staśka do warsztatu? Widzieliście Staśka elektryka? No to przekażcie mu to. Przyszedł list do niego. Dobrze?

Kadłubkowska wciąż patrzyła mi w oczy, ale już mniej pewnie. Jakbyśmy zamienili się stronami przy biurku. Jakbym to ja teraz zajął miejsce z widokiem na swastykę i przyjmował ją do nowej pracy.

– A papiery dla mojej przyjaciółki?

– Pani Mario, zrobi się, ale jasna sprawa, że nie może być tylko jedna legitymacja. Musi być kilka, bo co, jak on będzie robił i się pomyli?

– Nie ma problemu – uśmiechnęła się wreszcie.

I każde z nas wróciło na swoje miejsce.

Dziesięć minut później siedziałem już wygodnie w ciężarówce obok Hansa. Ten szofer Schulza nie pierwszy raz mnie wyciąga, żebym gdzieś z nim pojechał. Wie, że ja jestem fachowiec, że pracowałem u Boscha, nieraz widział, że znam się na robocie.

Jesteśmy zgodni. Zgadza się, że najpiękniejszy zapach na świecie to benzyna. A najpiękniejsza muzyka – diesel mercedes-benz.

Jedziemy, jedziemy.

Układałam sobie w głowie listy, które będę dawała Kadłubkowskiej. „Drogi Stasiu”. Nie, lepiej będzie: „Najdroższy Mój Siostrzeńcze Stanisławie, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus na wieki wieków...”. Po niedzielnej mszy przyjdzie mi na pewno reszta.

Hans mówi, że mamy przywieźć dla Schulzowej jakieś szafy, które sobie zamówiła.

Opowiada, że Schulzom się nie układa. Nic dziwnego. Jak Schulz jest kaleką, ledwo posuwa nogami.

– To jak ma posuwać żonę? – śmieje się Hans.

Kiedyś miał jakiś wypadek, jeszcze w Gdańsku. Hans go wszędzie teraz musi wozić. Nawet z willi Promyk do fabryki. Pięć minut na piechotę. A specjalnie ją wybrał, żeby mieć blisko. Mimo że jest mniej okazała, skromniejsza od innych willi, które zajęli Niemcy.

– Schulzowa była wściekła – cieszył się Hans.

Schulz miał nadzieję, że da radę chodzić do pracy, ale niestety. Pewnie od tego zrobił się taki tęgi. Ale Hans nie mówi o nim złego słowa. Co innego o Schulzowej, która skacze na boki.

Tę młodą, niewiele starszą od nas Niemkę wyzywa od najgorszych szmat.

– Wpadła ci w oko czy co? – trącam go łokciem.

Aż nas zarzuciło na drugą stronę jezdni. Na szczęście nikt nie jechał.

– Mogłaby być córką Schulza. – Hans nagle robi się zgorszony.

W czasie wojny zapomniałem, że można jeszcze czymś się zgorszyć.

– Nie, za ładna – mówię.

Przynajmniej go rozbawiłem.

Jedziemy wzdłuż trasy kolejki. Opuściłem szybę. Wychyliłem głowę za okno, żeby wiatr wywiał ze mnie resztki kaca. Gapiłem się na pola.

Wjechaliśmy do Warszawy. Hans pokazał mi młyn przy Belwederskiej.

– Tu zaczyna się miasto – powiedział.

Ryksze, samochody, tramwaje. I wszędzie ludzie.

Uliczni handlarze sprzedają bułki, używaną bieliznę, książki.

Gapiłem się jak chłop, który przyjechał do miasta.

Stanęliśmy przy słupie ogłoszeniowym, Hans przepuścił dzieci, szły za nauczycielką parami jak żołnierze.

Zerknąłem na plakaty. Wielkie żółte żarówki Osram (faktycznie najlepsze, używaliśmy ich u Boscha). Obok reklamy usług jasnowidzów, których przepowiednie sprawdzają się na sto jeden procent. I największe plakaty z wykrzywioną gębą i napisem „Katyń przestroga Europy!”.

– Co to za Katyń?

– Jakaś robota Ruskich chyba. – Hans wzruszył ramionami.

Ruszyliśmy. Kelnerzy rozstawiali stoliki przed kawiarniami, otwierały się różne sklepy i warsztaty. Może coś powinienem Zośce przywieźć z tej Warszawy? Albo chociaż jakąś zabawkę dla Elżuni. Jędrus najbardziej by się ucieszył z ołowianych żołnierzyków. Wiadomo, wszyscy chłopcy się nimi teraz bawią. Widziałem nawet małe samoloty, czołgi i działka.

Hans zagapił się na ekspedientki w szerokich kapeluszach – ubierały manekiny na wystawie Domu Mody Falbanka. Zahamował w ostatniej chwili. O mało nie wjechaliśmy w wóz z wiklinowymi koszami. Szkoda, że tego nie widzieliście. Kurde, tych koszy było ze dwieście, powkładanych jedno w drugie i ułożonych poziomo. Aż dziw, że nie pospadały.

Ja tam chętniej niż na szerokie kapelusze patrzyłem na krótkie spódnice dziewczyn z sąsiedniego Domu Pończoch.

Karuzela stoi, jak stała, a raczej obraca się, jak obracała pierwszego dnia, kiedy tu przyjechałem ze Lwowa.

Ale ludzie nie gromadzą się już pod murem, nic tam się nie pali, prawie nie patrzą w tamtą stronę.

W wesołym miasteczku dzieci śmieją się i piszczą ze strachu w powietrzu. Można też postrzelać z wiatrówki na strzelnicy. Spodobałaby się Jędrkowi. Może go tu kiedyś zabiorę? Ale to nie dla Elżuni. O nie. Nie na jej nerwy. Za delikatna jest. Trzęsie się cała, jak się z Zochą kłócimy albo jak syn Józka, ten gówniarz Wacek, wraca z lasu i lata z giwerą po chałupie.

– Patrz. – Hans śmieje się i pokazuje palcem. – Jak się kłębią w tramwaju. Jak te wszy.

W tramwaju faktycznie trochę ludzi. Wszystkie miejsca siedzące, stojące i na cycku zajęte. Ale z tymi wszami to przesadził.

Przypomniał mi się zaraz obóz janowski. Jak nas tam gryzły, a raz ten profesor z pryczy pode mną, co zwariował, krzyczał w nocy na cały barak:

– Wszy stworzył Pan Bóg i dlatego nikomu nie wolno ich zabijać!

Musiałem mu zatkać gębę.

Jego też stworzył Pan Bóg, a gówno mu to pomogło. Bo go Niemcy powiesili za nogi i spalili żywcem.

Ale profesor miał w sumie rację, żeby ich nie zabijać. W Warszawie wszy to towar, na którym można nieźle zarobić.

– Wszy, dobre, tłuste wszy sprzedają! – zachwalają handlarze.

To przecież Hans mi opowiadał, że jego koledzy z Wehrmachtu ustawiają się po nie w kolejkach na Kercelaku. Zawszenie pociąga za sobą dwutygodniową kwarantannę i odwleka powrót na front.

A tutaj czeka na nich przecież program „Frauen, trinken, essen”. Tak się przynajmniej reklamuje Warszawę. Ale od Hansa też wiem, że wehrmachtowcy mają tak niski żołd, że ledwo stać ich na żarcie, i to wcale nie w knajpach.

Natek z kolei mi opowiadał, że państwo podziemne skupuje od nich broń. A oni zgłaszają przełożonym, że ją zgubili albo ich okradziono. To by się składało.

Ludzie w tramwaju, z których śmiał się Hans, nie wyglądali jak wszy. Bardziej jak pszczoły zapyłające wielki czerwony kwiat na szynach. Sami widzicie, że wasz Nusek minął się z powołaniem. Trzeba było zostać poetą.

Tramwaj boleśnie zapiszczał na zakręcie i z tylnego wagonu poszła iskra.

– Przerwa w obwodzie – wróciłem na ziemię i wyjaśniłem tonem fachowca od Boscha. – Między przewodem zasilającym a pantografem.

Jeszcze nie zdążyłem zapytać Hansa, dokąd właściwie jedziemy po te meble. A strażnicy już podnoszą szlaban.

Hans pokazał im tylko jakiś papier z masą pieczętek.

– Ty, gdzie my wjeżdżamy? – pytam Hansa.

– Do getta.

Nie pytajcie, jak się poczułem. Żeby Żyd sam z siebie tam się pchał? Żaden jasnowidz na sto jeden procent by nie mógł tego przewidzieć.

Zaraz rozboleł mnie brzuch i zatkały mi się uszy.

– Już je burzą – mówi Hans.

Z trudem przełknąłem ślinę, żeby uszy odetkać.

– Ale pani Schulzowa sobie zażyczyła jeszcze takich eleganckich szaf z lustrami. Ładne stoły. I dywany.

Kiwnąłem głową.

Trudno uwierzyć, że dwa miesiące temu było tu miasto. Teraz zamiast domów – ruiny. Zamiast ulic – odgarnięte na boki cegły i kamienie. Ledwo da się po tym jechać. Trzęsie jak jasna cholera.

Gdzie są niby te eleganckie szafy z lustrami?

Spod kół idzie nam chmura pyłu.

– Tam był szop Schulza. – Hans pokazał na szkielet budynku w oddali. – Pięciuset ludzi tu pracowało.

Musiał poczuć, że przestałem się wiercić i zeszywniałem na siedzeniu obok. A może zobaczył coś po mojej przestraszanej minie?

– Już po strachu – teraz on trącił mnie łokciem. – Powstanie się skończyło.

Nie powiem, żebym przestał się bać.

Natek z Welką dopiero co mi opowiadali, że getto po powstaniu to teren zamknięty. Za nielegalne wejście – czapa. Niemcy przeczesują je w dzień. Szukają niedobitków ukrywających się jeszcze w bunkrach. Wrzucają do środka granaty albo strzelają do uciekających Żydów. A po zmroku Polacy chodzą „na trupy”, wyrwać złote zęby.

Jakby co, to jestem bezpieczny, bo nie mam żadnych złotych. W ogóle niewiele mi już ich zostało po tym, jak dostałem kolbę w głowę we Lwowie.

Ci dentyści amatorzy pewnie świecą sobie latarką, wybijają zęby młotkiem albo wyrrywają kombinerkami. Bo samą ręką nie da rady. Chyba że jakiś klucz akurat pasuje. Może siódemka?

Nie zauważyłem, kiedy znaleźliśmy się w miejscu, gdzie uchowało się jeszcze kilka domów.

Aż dziwne, że zostawili taką wysepkę w morzu gruzów.

Hans zatrzymał się przy spalonym słupie ogłoszeniowym.

Schulz musiał dostać cynk, że to ostatni moment, żeby coś stąd zabrać, bo jutro albo pojutrze tę ulicę też zrównają z ziemią, jak całe getto.

Pewnie też opłacił, kogo trzeba, żebyśmy mogli znaleźć tu skarby do jego willi.

Hans otworzył drzwi.

Ja siedziałem sztywno.

– To tu – powiedział.

Dlaczego nie mogłem się, cholera, ruszyć?

Hans już wysiadł, obszedł ciężarówkę, otworzył drzwi od mojej strony i szarmanckim gestem zawodowego szofera zaprosił mnie do wyjścia z ciężarówki.

– Rusz dupę, Stachu – powiedział.

Co się ze mną dzieje? Czy tak czuł się ojciec, kiedy całymi dniami leżał w łóżku z katarą żołądka? I nie mógł nawet przewrócić się z boku na bok?

Spojrzałem w lusterko wewnętrzne. Wela ma rację. Coraz bardziej robię się podobny do niego, do naszego ojca. Ale to nie wszystko, co zobaczyłem. Znowu byłem Nuskiem. W getcie znowu byłem Nuskiem Stramerem. Nuskiem, który chciał zostać w samochodzie. Dlatego nie słuchał się Staśka elektryka.

Siedziałem dalej w opłu, a w środku Stasiak walczył z Nuskiem, żeby ruszył dupę.

Ścisnąłem mocno śrubkę, którą miałem w kieszeni kurtki.

– No, chodź – zawołał Hans.

Popatrzyłem na moje chude nogi, na znoszone buty po mężu Zośki. W końcu powoli podniosły się z podłogi opła. Nie spuszczałem ich z oka. Aż wreszcie stanęły na zapyłonym chodniku.

Poszedłem posłusznie za Hansem. Obeszliśmy dwa krzesła, które ledwo stały na środku tego, co kiedyś było chodnikiem. Kto je tu postawił w gruzach i po co? Oba miały tylko po trzy nogi. Szkoda, że takich nie zamawiała Schulzowa. Byśmy te wzięli i spokojnie wrócili do Konstancina.

Trzymałem się wzrokiem szerokich pleców Hansa, jego spoconej koszuli w niebieskie paski. Przeszedłem za nim po wygiętej

metalowej tablicy: OBSZAR ZAGROŻONY TYFUSEM. DOZWOLONY TYLKO PRZEJAZD. Minąłem zdemolowaną APOTHEKE i zatrzymaliśmy się przed szyldem EISCREME.

Hans pokręcił głową.

– Jeszcze wczoraj były tu niezłe meble – powiedział.

A teraz wypalony cały parter, rozbite szkło, niedopałki i ten cholerny brązowy pył, który jest wszędzie. Całe buty miałem już nim uwalane. Czuję go w gardle i nawet w oczach. Splunąłem na brązowo.

Hans wiedział, gdzie iść. Wszedłem za nim przez bramę na podwórko i dalej na wprost do kamienicy. Elegancko tu musiało kiedyś być. Szerokie schody, klatka schodowa z rzeźbami i witrażami, teraz porozbijanymi. Po jednym mieszkaniu na piętro. Na pierwszym Hans wyjął klucz, przekręcił go w zamku i nacisnął kławkę w kształcie głowy lwa.

Pamiętacie, jak we Lwowie zaczęło się mordowanie i pobiegłem do mieszkania naszych krewnych Friedmanów? Mnie to teraz wróciło i zobaczyłem ich, jak leżeli wtedy pozabijani. Każde w innym pokoju.

Byłem pewny, że po otwarciu tych wysokich drzwi czeka mnie taki sam widok.

Ale Hans dobrze trafił.

Żadnych trupów. Mieszkanie w pełni umeblowane, i to jak!

– Nic, tylko... Wprowadzamy się? – zarechotał.

A raczej szabrujemy. W korytarzach szafy jak zamówione, z lustrami, w pokojach ciężkie okrągłe stoły, nawet obrazy zostawili na ścianach i rzeźby na postumentach jak w jakimś cholernym muzeum. Albo jak w moich snach z dzieciństwa. Kiedy wyobrażałem sobie, że czas nagle zatrzymał się w Tarnowie i ludzie zastygli w trakcie tego, co właśnie akurat robili. Oprócz mnie. Ja szedłem do sklepu kolonialnego na rogu Goldhammera i brałem z półek, co tylko chciałem. Czekolady Suchard i Milka, pomarańcze, figi, daktyle. Miałem pełne kieszenie. Potem w kawiarni Pudelskiego zjadłem kremówki i włoskie lody. Ma się rozumieć, też bez płacenia. A na do widzenia zabierałem jeszcze z kasy wszystkie pieniądze.

Widać nie ja jeden miałem takie marzenia. I nie mnie się one spełniły.

Hans pokazał mi, co bierzemy dla Schulzów. Trochę tego będzie. Trzeba wyjąć drzwi z szaf, żeby było lżej znosić.

W Tarnowie marzyłem sobie też, że w tej zatrzymanej chwili całuję się bezkarnie ze wszystkimi dziewczynami, które mi się podobały. A nawet z tymi, które mi się nie podobały. I żadna nie strzela mnie w pysk.

Co się z nimi teraz dzieje?

Przeszedłem się po mieszkaniu. Niekończący się korytarz i wszędzie pokoje.

– Co to? Jakiś cholerny hotel?

– A co cię to obchodzi? – odpowiedział Hans. – Klucz jest od Schulza.

Tak pewnie wyglądało mieszkanie tarnowskiego wiceburmistrza, z którego synem przyjaźnił się Rudek. Był raz u niego, opowiadał nam o tym przed snem. Tłumaczył, co to „amfilada”, pamiętacie?

– Są dywany? – zawołał Hans.

Spojrzałem pod nogi. Moje buty zostawiły na nich brązowe ślady.

– Tak!

– To zwijaj.

Poszedłem jeszcze dalej. I znalazłem to, czego szukałem. Nie pytajcie się.

Nie, nie barek z wódką. (Chociaż Schulzowa powiedziała Hansowi, że jakby znalazł się jakiś na kółkach, to przyda się jej do salonu). Tylko pokój dziecięcy, na łóżeczku lalka w czerwonej sukience, z długimi rzęsami i blond włosami. Też jak na zamówienie. Wziąłem od razu.

Popatrzyłem przez okna i co zobaczyłem?

Na podwórku pusto i cicho. Czas wciąż stał w miejscu. Nie było nawet ptaków.

A na ulicy? Wszedłem do ciemnego pokoju po drugiej stronie korytarza. Na każdej ścianie, od podłogi do sufitu, były książki.

I coś im one pomogły?

W naszym domu rodzinnym Salek i Hesio też ciągle czytali i potem się mądrzyli. Ojciec próbował to zwalczać.

Pamiętam, jak raz ich zapytałem, o co chodzi w tych książkach. Udawali, że nie rozumieją pytania.

– No na przykład w tej – pokazałem na książkę z pieczętką biblioteki, która leżała na ich wspólnym łóżku. – Czego się z niej dowiedzieliście?

– W tej najważniejsze jest – Salek wziął ją do ręki – zdanie Sokratesa: „Wiem, że nic nie wiem”.

– Bez sensu – powiedziałem od razu.

– Sam jesteś bez sensu – pokręcił głową Hesio. – Ty durniu. To najważniejsze zdanie z całej filozofii starożytnej.

– Dlaczego bez sensu? – zapytał Salek.

– Sokrates kłamie. Bo on tak naprawdę coś wie. Wie, że nic nie wie.

Hesio machnął na mnie ręką. Beznadziejny przypadek. Za to Salek pierwszy raz przyjrzał mi się z zaciekawieniem, jakby dopiero zauważył, że ma też najmłodszego brata. I chyba ostatni. Bo niedługo potem wyjechał do Krakowa na studia.

Na ulicy, tak jak na podwórku, było cicho i pusto. Czas też dalej stał w miejscu. A co by było – sam nie wiem, dlaczego pomyślałem jak ci filozofowie – gdyby teraz czas nagle ruszył, tyle że do tyłu?

I przez moment to zobaczyłem. Te wskazówki, które się cofają. Niemcy zabijają powstańców, powstańcy strzelają do Niemców, wybucha powstanie, Żydzi szykują powstanie. Niemcy wywożą ludzi bydłocymi wagonami. Żydzi wprowadzają się do getta. Niemcy wychodzą z Warszawy. Jeszcze nie ma wojny.

Przez następne pół godziny przygotowaliśmy meble. Odkręciliśmy nogi od stołów. Śrubki Hans wkładał do papierowych torebek, które przyczepiał pinezkami od spodu do blatów, żeby się

nie pomieszały. Spodobał mi się ten patent. Pokiwałem głową z uznaniem, jak nasz ojciec.

Żadnego z nas nie ciągnęło na wyższe piętra. Po co mieć potem więcej do znoszenia? Zrozumieliśmy się bez słów. To, co znaleźliśmy w tym jednym mieszkaniu, i tak ledwo się zmieści do ciężarówki.

Hans dał mi rękawiczki. Zaczęliśmy znosić meble. On, wyższy i szerszy, szedł pierwszy po schodach. Ja za nim, trzymałem mocno szafy i blaty, żeby na niego nie zleciały.

Wszystko elegancko ustawiliśmy na podwórku przy wejściu do kamienicy.

Zachciało mi się sikać. To jeszcze nic. Bo Hansowi też. Stanął na środku pustego podwórka, rozpiął rozporek i lał na drewniany trzepak.

– Gdzie idziesz, Stachu? – zawołał mnie.

– Za potrzebą.

– Chodź tu. – Wolną ręką pokazał na trzepak.

– Nie – powiedziałem. – Wolę na górę.

Na jego zdziwione spojrzenie krzyknąłem:

– Grubsza sprawa!

Pobiegłem do mieszkania. Czułem, że dłużej nie wytrzymam. W łazience stały obok siebie dwa kible, wysikałem się do pierwszego, takiego dziwnego, z dwoma kranami.

Nigdzie nie było spluczki. Przeszukałem wzrokiem całą łazienkę. Na ścianie, nawet tu, wisiał obraz, wyobrażacie sobie?

Jakieś słoneczniki.

Po co tak uparłem się, żeby spuścić tę głupią wodę? Jutro zburzą całą kamienicę.

Ale co najgorsze, jak schodziłem na dół, zrozumiałem, że na podwórku czas już ruszył. I to do przodu.

Nie pytajcie się!

Przez okno na półpiętrze zobaczyłem szkopów z karabinami i psami. Ścisnąłem mocno śrubkę w kieszeni. Zaglądali do piwnicznych okien w kamienicy naprzeciwko, świecili w nie latarkami. Dwóch wbiegło na klatkę schodową.

Po Hansie nie było śladu.

Co zrobić? Mam zostać na klatce, klęczeć pod oknem na półpiętrze? Psy zaraz mnie wywęszą. Wrócić do mieszkania? Na pewno będą je przetrząsać.

Przejechałem dłonią po gardle. To mnie zaraz czeka.

Usłyszałem znajomy turkot. Na podwórko wjechał nasz opel. Moja jedyna szansa. Niemcy go zatrzymali.

Hans wysiadł, coś tłumaczy, z kieszeni koszuli wyjmuje papier z pieczętkami. Obejrżeli i pokiwali hełmami.

Widzę, że Hans się rozgląda, ale o nic ich nie pyta. A potem rozeszli się w przeciwnych kierunkach. Hans ruszył w stronę naszych mebli, a tamci wrócili do przeczesywania kamienicy naprzeciwko.

Dobra nasza. Hans wszedł na klatkę schodową. Jakby nigdy nic wstałem z klęczek, otrzepałem kolana z pyłu i zszedłem do niego na dół znów jako Stasiek elektryk.

– Słuchaj – mówię Hansowi. – Ja nie mam przy sobie dokumentów. Musisz coś ze mną zrobić, bo inaczej oni mnie...

Dwa razy nie musiałem mu powtarzać. Hans od razu powiedział:

– Dobra, uważaj. Ja dam wóz tyłem do wejścia. Szybko załadujemy rzeczy. I ty na koniec też wskoczysz na pakę.

Byle jak wrzucaliśmy te meble pod plandekę. Cali mokrzy od potu. Tak trzęsły mi się ręce, że nie mogłem odczytać godziny na zegarku, który zwinąłem na górze z jednej z szuflad szafki nocnej.

Hans porządnie, fachowo wrolował mnie w dywan i przykrył jeszcze następnym. Tych dywanów to chyba nie trzepano od początku wojny. Hans zamknął tył. Ledwo oddychałem. Ale to jeszcze głupstwo.

Udało się nam wyjechać z podwórka, nie zatrzymali nas. Dopiero przed szlabanem była kontrola. Hans musiał otworzyć klapę. Zrobiło

się jasno. Wszedł Niemiec.

Nagle poczułem osiemdziesiąt kilo na mojej piersi. Albo i więcej. Jakby mi stanął na głowie, toby mi ją zgniótł. Szkop, skurwysyn. Słuchajcie, co on jeszcze chciał zrobić.

Zrozumiałem to, jak Hans krzyknął:

– Nie, nie, to dla Frau Schulz! Czego tu dziurawisz?!

Bo on chciał mnie dźgnąć bagnetem.

Szkop zeskoczył z ciężarówki na ziemię.

Szlaban zaskrzypiał. No i wyjechaliśmy z getta.

NATEK

„Stary” dostał od Niemców używane maszyny do pisania Olympia Elite. Dostał w zamian za wódkę, bo wiedział, jak niski mają żołąd. Albo kupił. Nie było to jasne ani też nie miało większego znaczenia, bo jak słusznie powiedział Natkowi główny księgowy Uchański: nieważne, kto je ukraść.

– Teraz będzie chciał, żeby pan je sprzedał, panie Bolesławie.

Uchański uprzedził go, że „Stary” zamieścił już w „Kurierze” ogłoszenie o ich sprzedaży i w związku z tym zdecydował, żeby Bolesław specjalnie przyszedł do pracy w sobotę.

Natek zrobił oburzoną minę, za którą krył jednak wielką ulgę.

Czekał na ten moment od miesięcy. To w dodatku Wigilia – wymarzona okazja, żeby dać się zwolnić. Najchętniej uściskałby Uchańskiego. Te maszyny spadły mu prosto z nieba. Prawdziwy prezent bożonarodzeniowy.

Od razu po pracy Natek pojechał kolejką do Jeziorny. Chciał opowiedzieć Weli o tych maszynach i wspólnie zastanowić się, jak najlepiej je wykorzystać. Wziął przy okazji z sejfów w biurze koperty, które Ludwik przygotował dla Nuska. Na wszelki wypadek dwie. Stemple, znaczki, jak zawsze perfekcyjna robota.

Dobrze, że w ciuchci jest ciepło, na środku wagonu stoi koza. A w Jeziornie wszędzie jest blisko, nie to co w Warszawie. Na peronie przeciskał się między przekupniami i ich tobołami, z których

najróżniejszych kształtów próbował zgadnąć, czy mają w środku gęsi, kielbasy, czy zastawę stołową na dwadzieścia cztery osoby.

Słusznie się mówi, że po wojnie na największym warszawskim placu powinien stanąć pomnik Nieznanego Szmuglera. Gdyby nie szmuglerzy, ludzie dawno padaliby z głodu. To prawdziwi bohaterowie tej wojny. Wszyscy to powtarzają i nucą song na ich cześć:

*Na dworze jest mrok,
W pociągu jest tłok,
Zaczyna się więc sielanka.
On objął ją wpół,
Ona gruba jak wół,
Pod paltem schowana rąbanka.*

*Teraz jest wojna,
Kto handluje, ten żyje,
Jak sprzedam rąbankę,
Słoninę, kaszankę,
To bimbru się też napiję.*

*Spod serca kap, kap
Rąbanka i schab,
A pociąg mknie jak szalony,
Schaboszczak i kicha,
To dobra zagrycha,
Pod ławką dwa salcesony...*

Ze stacji kolejki do domu kowala szedł niecałe dziesięć minut po zaśnieżonej drodze.

Wela miała szczęście, gospodarze nigdy nie robili jej problemów, że „kuzyn przez godzinę policyjną nie może wrócić do Warszawy. Musi zostać na noc”. Żadnych dopłat za oddychanie, które niszczy meble, jak u generałowej na Żoliborzu. Tym razem kowal przyniósł nawet łóżko polowe dla pana Bolesława.

Natek zdjął przemoknięte buty i położył przy piecu, ale nie za blisko. Bał się o nie. Te skórzane eleganckie półbuty to prezent od generałowej, po jej mężu.

Czy nie będzie musiał ich oddać, kiedy generał wróci z Londynu? Widać nawet generałowa już w to nie wierzyła. Z niedzielnych podwieczorków, kiedy inne pułkownikowe i generałowe wpadały na kierki lub brydża przy koniaku i muzyce z gramofonu, Natek zrozumiał, że mało która wciąż jeszcze czeka. Albo dobrze rozumiały światową politykę, albo po prostu znały swoich mężów.

Pewnie dlatego wodziły za nim tęsknym wzrokiem, kiedy stawał w drzwiach salonu, żeby się przywitać, i szedł do siebie na górę. Generałowa mówiła mu, że zazdroszczą jej takiego lokatora. I zgadzają się z nią, że to najprzystojniejszy chłopak w okupacyjnej Warszawie.

Tylko jedna, pułkownikowa, najmłodsza z nich, miała męża na miejscu. Zdradziła to w sekrecie generałowej.

– Obiecałam, że nikomu nie powtórzę – zaśmiała się generałowa wieczorem na strychu u Natka.

Pułkownik od czterech lat ukrywał się w piwnicy ich willi przy placu Inwalidów. Na miasto wychodził bardzo rzadko i zawsze tylko w damskim przebraniu.

Ten kamuflaż rozbawił Welkę, a zwłaszcza Nuska, który od razu wyobraził sobie pułkownika maszerującego na czerwonych koturnach.

– Ten to dopiero umie nie rzucać się w oczy!

– Powinniście się od niego uczyć. – Wela puściła do nich oko.

Do kogo? Do męża i brata? Do Natka i Nuska? Do Bolesława i Staśka?

Nusek, który przyszedł chwilę po Natku, wyjął z kieszeni kurtki bimber od Bugi i list.

Natek z Welą zabrali się do czytania, a on zaczął nalewać do kieliszków.

Sprawdzali, czy nie zrobił za dużo błędów. Nie było najgorzej. Nie to co na początku, w pierwszych listach. Wyrobił się chłopak. Z miesiąca na miesiąc jest coraz lepszy. Píše już Chrystus z wielkiej litery i przez „ch”. (A nie „hrystus”). Nawet „Zmartwychwstanie” tym razem mu się udało. I „Bóg” przez o z kreską. To ostatnie najważniejsze.

Jak zwykle przy czytaniu listów Nuska, dobrze się bawili. A najmłodszy z braci Stramerów na chwilę rósł w ich oczach.

– A to skąd wzięłeś? – spytała Wela, pokazując początek.

Najdroższy Mój Bratanku, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, noś go w swym sercu o każdej porze dnia i nocy. Pozwól na wstępie, że udzielę Ci kilku życiowych rad. Pamiętaj, abyś nie zdradzał Boga swego jedyne.

– Ta głowa nie służy do noszenia czapki – powiedział Nusek i stuknął się w czoło jak ich ojciec w Tarnowie. – Nic nie wymyśliłem. To te bzdury, co zawsze powtarzają w niedziele. Zapamiętałem!

Nalał następną kolejkę.

Poprawili tylko kilka błędów („naborzeństwo”, „euharystia”, „morzliwe”).

– Zdrowie!

Wela włożyła list do koperty zaadresowanej „Stanisław Kuczyński, Fabryka Schulza, Poczta Konstancin” i oczywiście nie zakleiła jej.

– Założę się, że prawdziwy ksiądz nie napisałby lepszego – uśmiechnęła się do brata.

Na odwrocie Nusek dopisał jeszcze nadawcę: „Ksiądz Proboszcz Józef Kuczyński, plebania w Opocznie”.

Regularnie raz w miesiącu sekretarka Kadłubkowska dawała taki niezaklejony list robotnikom, żeby przekazali go Staśkowi elektrykowi. W fabryce przechodził z rąk do rąk, przez dwa piętra, w drodze do adresata. Tak że prawie każdy miał szansę zerknąć do środka, zaspokoić ciekawość. Wujek ksiądz i tak dalej. I tu jeszcze pisze „proboszcz”, panie.

Kiedy skończyli z listem, byli już mocno zaczerwienieni. Zaczęli się naradzać, jak Natek ma w firmie najsprytniej rozegrać sprawę maszyn do pisania.

Skromny wiejski pokój Weli, z wilgotnym siennikiem na łóżku, na którym siedzieli we troje, z kozą, szafą i spirytusową maszynką do gotowania na parapecie, zamienił się w eleganckie biuro Trasy na Marszałkowskiej.

– Panie Bolesławie, pozwoli pan do mnie. – Nusek wszedł w rolę „Starego” i od razu wychylił trzecią setkę. – Wesółych Świąt!

– Spokojnych – poprawił go Natek, który grał okupacyjnego siebie, czyli Bolesława. – Tak się teraz mówi. Od kiedy zaczęła się wojna, przestały być wesole.

Obaj chodzili po pokoju. Tylko Wela została na widowni.

Natek spokojnie mógłby grać amanta – pomyślała. – A skaczący wokół niego Nusek Chaplina.

– Racja, panie Bolesławie, racja. A kto ma rację, ten stawia kolację! Zna pan to powiedzenie? – Nusek zaśmiał się z własnego dowcipu. – Ale żarty na bok. Mam kilka maszyn do pisania na sprzedaż. Idą święta, dałem ogłoszenie do „Kuriera”. Jestem ojcem sześciorga dzieci, będę z nimi w Wigilię, pan mi tu posiedzi i sprzeda te maszyny.

– Dlaczego ja?! – Natek spojrzał ostro na niższego o dwie głowy Nuska. – To Wigilia!

– Jak to dlaczego? – przerwał Nusek i położył mu rękę na ramieniu. – Dla dobra społecznego! Zaraz święta, a pan jest samotny kawaler, nie ma żony, dzieci...

Natek zrzucił jego rękę, ale nie był to element gry, tylko przestraszył się, że Nusek zaplami mu jasną marynarkę.

– Nie mam rodziny, to prawda – oznajmił. – Ale mam przyjaciół i chcę z nimi spędzić ten świąteczny czas.

– Nie żartuj pan, do cholery! Dobrze panu radzę. Z całego, kurwa, serca. – Nusek po kolejnych dwóch setkach lekko się już zataczał.

Wela przestraszyła się nawet, że wpadnie na kozę. I na wszelki wypadek zasłoniła sobą piecyk.

– I szczerze panu powiem. – Nusek wycelował w Natka palec wskazujący. – Pan se wsadzi w dupę tych swoich przyjaciół, panie Bolesławie!

– W dupę to wsadzam sobie pana, panie Sienkiewicz. Żegnam.

Wela ostatni raz chyba tak się śmiała w Tarnowie na Goldhammera, kiedy z rodzeństwem upili się trzymanym na specjalne okazje czerwonym winem ojca.

Teraz też aż leciały jej łzy.

Kiedy Nusek poszedł do Zośki, Wela z Natkiem rozłożyli łóżko polowe, żeby sześć godzin później złożyć je nienaruszone. Wela nakręciła jeszcze budzik.

Następnego dnia odbyła się premiera przedstawienia, które miało próbę generalną w pokoju Weli. Prawdziwą sceną było Przedsiębiorstwo Transportowe Trasa na Marszałkowskiej 120. Czas akcji: 23 grudnia 1943, późne popołudnie.

Za oknem byłoby już ciemno, gdyby nie padał śnieg.

Natek, lekko pochylony, kartkował z papierosem w ręku księgę rachunkową. Był w tej samej jasnej dwurzędowej marynarce, co wczoraj w Jeziornie. Przed pracą nie zdążył już przejechać przez Żoliborz. Powtarzał sobie w głowie przygotowane z góry kwestie.

„Stary” mylił się, jeśli myślał, że weźmie go z zaskoczenia. Nie mógł też przecież wiedzieć, że sam powtarza prawie słowo w słowo to, co poprzedniego dnia Nusek włożył mu w usta. Jakby to bohater naśladował grającego go aktora. W dodatku aktorskie emploi się

zgadzało – też był niski, też śmierdział wódką i też położył Natkowi rękę na ramieniu.

Prawdziwy „Stary” na szczęście nie miał brudnej łapy elektryka od Schulza. Przeciwnie. Dbał o dłonie. Mimo szóstki dzieci, prowadzenia przedsiębiorstwa transportowego i conocnych pijaństw, raz w tygodniu zawsze znajdował czas na manikiur.

Natek nie zrzucił jego ręki.

– Ja nie przyjdę – powiedział spokojnie, nie patrząc na niego. – Ja też chcę mieć Wigilię!

Szef, czerwony na twarzy, ścisnął go coraz mocniej. Gniótł mu marynarkę. Natek nie wypuścił nawet papierosa z ręki. Dalej śledził rachunki. Transport jedwabnych pończoch z Paryża, siedem wagonów łososi norweskich, z Bułgarii pięć wagonów żółwi na konserwy do Niemiec.

Uchański nieraz mówił, że po towarach, które wozila Trasa, można się było zorientować w sytuacji na froncie.

„Stary” w końcu zabrał łapsko.

Natek przestraszył się, że przegrał. Ale nie. Szef zaczął krążyć wokół jego biurka jak pająk wokół ofiary.

– Pająk po manikiurze – zaśmiała się Welka, kiedy jej później to opowiadał.

I w końcu go zaatakował:

– Panie Bolesławie, ostatni raz pytam: nie przyjdzie pan jutro?

– Nie!

„Stary” walnął pięścią w biurko, aż podskoczyła księga rachunkowa.

– Po zaliczkę pan na dworzec nie chciał iść. Tutaj pan nie chce nic robić. No to dziękuję!

Dalej wszystko działo się jak w slapstickowym filmie.

„Stary” nie zdążył wypowiedzieć do końca słowa „dziękuję”, a Natek już poderwał się od biurka i momentalnie zarzucił zimowy płaszcz. Minał zdziwionego Uchańskiego i o mało nie zderzył się

z Lenkowską, która wychodziła z toalety. W korytarzu przy drzwiach wejściowych leżały walizki maszyn do pisania Olympia Elite. Natek rzucił im pełne wdzięczności spojrzenie i trzasnął drzwiami.

„Stary” poleciał za nim i wołał na schodach:

– Panie Bolesławie, panie Bolesławie, panie Bolesławie!

Natek wybiegł już z klatki schodowej i zniknął w przedświątecznym tłumie na Marszałkowskiej. Dawno nie czuł się tak wolny. Szedł lekkim krokiem, oglądał kolorowe choinki w witrynach sklepowych i uśmiechał się do przechodniów, z których nikt by się nie domyślił, co jest przyczyną jego szczęścia. Że jest szczęśliwy, bo właśnie został wywalony z pracy.

Zresztą kogo to obchodziło? Pewnie facet się cieszy z Bożego Narodzenia.

Żeby nie iść na Żoliborz obok getta, po którym został już tylko mur, Natek wracał do domu przez Adolf-Hitler-Platz, na który warszawiacy wciąż mówili plac Piłsudskiego, i przez Stare Miasto. Jak by powiedział „Stary”, który miał przysłowie na każdą okazję: wracał z tarczą.

Za to beret i szalik zostawił w firmie. Musiały wypaść mu z rękawa płaszcz. Ale co tam. Nie czuł zimna.

Dopiero na Żoliborzu pod domem generałowej trochę ochłonął i zdał sobie sprawę, że będzie musiał jeszcze wrócić do Trasy po swoje rzeczy.

Dwie godziny później wykręcił numer do Uchańskiego. Tarcza telefonu przyjemnie terkotała. Ale może dzisiaj wszystko mu się podobało?

– „Stary” jest?

– Nie. Poszedł pić.

– A Piotruś? – Staruszka Kalinowska wjechała do salonu i wtrąciła się do jego rozmowy.

Natek zasłonił ręką ebonitową słuchawkę i pokręcił głową.

Czy wydawało mu się, czy wpatrywała się w jego buty?

Róg grubego czerwonego dywanu zawinął się i stara Kalinowska nie mogła pokonać tej przeszkody. Nie rozumiała, co się dzieje, buksowała w miejscu. Natek poprawił dywan.

„Ruchomy mebel” ruszył dalej szukać w domu syna, który od lat był w Londynie.

Natek wykręcił teraz numer Ludwika. Tak jak byli umówieni. Hasło „Co słyhać u mamy?” oznaczało, że nie pracuje już w Trasie i że potrzebuje noclegu. Gdyby spytał „Co słyhać u taty?”, informowałby, że akcja się nie udała i nic się nie zmienia.

– U mamy znakomicie – odpowiedział Ludwik. – Stęskniła się za tobą i czeka dziś na odwiedzinę.

Natek uśmiechnął się na myśl, kim dziś będzie jego mama.

Wsiadł w trójkę i pojechał na Marszałkowską. Zmarzył mimo tłoku w wagonie. Tramwaje znowu jeździły pełne, nie jak na jesieni, kiedy ludzie ciągle ostrzegali się przez telefon: nie wychodź, mróz wielki. Czyli łapanka. Dlaczego Niemcy przestali je robić? I to po tym, jak naprawdę zrobiło się mroźno. Przestraszyli się prawdziwej zimy?

Z ulicy zobaczył, że w księgowości pali się światło. Uchański czekał na niego. Był sam w firmie. Na wieszaku wisiał szalik i берет. Natek od razu je założył.

Wziął z biurka paczkę papierosów i dwa zatemperowane ołówki. A z szuflady krzyżyk na łańcuszku i białą koszulę, którą trzymał na zmianę. I komiks *Błysk Gordon i królowa Błękitnej Magii*.

Obiecał go Nuskowi – dla Jędrka, syna Zośki Deski.

Uchański otworzył sejf i podał Natkowi trzy szare teczki, które Ludwik zostawił na przechowanie.

– Będziemy w kontakcie, Bolesławie. – Uściskali się na pożegnanie.

Tego samego wieczora Natek szybko spakował się do walizki i powiedział generałowej, że wyjeżdża w podróż służbową. Nie będzie go przez kilka dni.

Musiał zdążyć przed godziną policyjną.

Trzeci raz tego dnia wsiadł w trójkę, ale tym razem do placu Zbawiciela.

Natek nauczył się, że warszawiacy mówią na ten plac „Zielono-Tramwajowy”, bo na środku jest ozdobny klomb, wokół którego jeżdżą tramwaje. Dziś klomb był biały. A światło latarni żółte. Pasowało do wysokiego kościoła z dwiema wieżami, starych kamienic i śniegu.

Przystanek dalej, za zamkniętym szlabanem, zaczynała się dzielnica Nur für Deutsche, którą warszawiacy nazywają „gettem niemieckim”, z własnymi sklepami, szkołami i placami zabaw.

Szedł z podniesioną głową, pewnym, ale niezbyt szybkim krokiem. Mimo że znowu przemokły mu buty. Zawsze tak chodził na wypadek spotkania szmalcowników. Im bardziej się bał, tym bardziej stawał się pewny siebie. Z nimi jest jak z psami. Jak wyczują, że człowiek się ich boi, to się rzucają.

Skręcił w Aigner Strasse – ulicę, na którą wciąż mówi się jak przed wojną: Mokotowska.

Śnieg padał na ten sam chodnik.

Bolesław Markowski zobaczył się w odbiciu szyby cukierni Milano na Aigner Strasse – tak jak przed wojną Natek Kierbel zobaczyłby się na Mokotowskiej.

Ulica i osoba te same, tylko nazwy i czasy się zmieniły – pomyślał.

Na dodatek Polskie Państwo Podziemne zaczęło zamalowywać nowe niemieckie tabliczki albo wieszać na nich własne. Zamiast walczyć na ulicach, walczono o nazwy ulic.

Tak tłumaczył mu to Ludwik, który raz nawet przyniósł kilka takich tabliczek na przechowanie do Trasy. Ulica Polski Podziemnej, Obrońców Westerplatte, aleja Generała Sikorskiego i aleja Churchilla leżały przez tydzień w sejfie biura.

– I spróbuj się teraz nie zgubić w Warszawie. – Ludwik kręcił głową.

To trochę jak z nami – pomyślał Natek. Z ludźmi na aryjskich papierach. Nikt już nie wie, kto jak się nazywa czy nazywał. Patrząc rano w lustro i potrzebujesz chwili, żeby sobie przypomnieć, kogo dziś widzisz. A kiedy spotykasz na ulicy kogoś znajomego, lepiej odwróć wzrok.

Jak w tym dowcipie, który krąży wśród Żydów w Warszawie.

– Wiesz, powinieneś być mi wdzięczny. – Janek mówi dumny do Icka. – Wczoraj uratowałem ci życie na Marszałkowskiej.

– Ty? Niby jak?

– Nie poznałem cię.

Natek doszedł do skrzyżowania z Piusa.

W bramie narożnej kamienicy, do której wszedł, zobaczył namalowane na czerwono „V”.

– Do hrabiny Steckiej – powiedział staremu dozorczy, który otworzył mu w nocnej koszuli i od razu wpuścił.

Do niedawna „Victoria” była znakiem antyfaszystowskim, symbolem przyszłego zwycięstwa nad Hitlerem. Pokazywano sobie „V” środkowym i wskazującym palcem, malowano na murach i wystukiwano alfabetem Morse’a na stolikach w kawiarniach. Trzy uderzenia pojedyncze i jedno podwójne. Sam często to robił.

Ale teraz już się nie stuka. Teraz Niemcy wieszają wielkie płachty z „V” na najważniejszych budynkach w mieście, jako symbol swojego zwycięstwa.

Pewnie dlatego stary dozorca tego nie zamalował – pomyślał Natek, wchodząc do windy. – Nie wie, co ma zrobić.

Chwilę później, na czwartym piętrze, Benek Laubhart przedstawił go hrabinie Steckiej.

– To zbiegły oficer. – Powiesił płaszcz Natka na zrobionym z sześciu jelenich poroży wieszaku. – Mój najbliższy druh z oflagu.

Stali w przestronnym korytarzu. Natek zapatrzył się na herb rodowy Steckich. I na powieszzone rzędem, jeden obok drugiego, portrety przodków.

Tak jak teraz wygląda, z grubymi węsami i siwiejącą grzywką, Benek mógłby spokojnie być na jednym z tych obrazów. Brakowało mu może tylko kontusza.

– Ciekawam, skąd biorą takich młodych i przystojnych oficerów. – Hrabina uśmiechnęła się po tym, jak ucałował jej kościstą,

pomarszczoną dłoń.

Natek lekko się zmieszał, przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć. Uśmiechnął się tylko. To chyba przez jej wielkopański ton. Ostatni raz miał z takim do czynienia w dzieciństwie, we wsi Biała. Zresztą dzieci wołały za nim, że podobny jest do hrabiego Romera.

Benek dał mu znać spojrzeniem, że nie musi nic mówić.

A sam ukłonił się.

– Hrabina nam pochlebia.

Benek w przyjacielskim geście położył rękę na ramieniu Natka.

– Kolega po tułaczce chciałby rozprostować kości – powiedział.

Trzecia osoba, która w ciągu dwudziestu czterech godzin gniecie mi marynarke – zauważył Natek.

– Oczywiście – powiedziała hrabina.

Czy na pewno kupuje naszą bajkę o oflagu? – Natek przyjrzał się jej niebieskim oczom. Czy tylko gra?

Była za stara na ukrywanie Żydów. To zwykle robią ludzie koło czterdziestki. Biorą ich do siebie, bo sami nie mają z czego żyć. Nieudacznicy. Nie potrafią szmugłować ani handlować. I mogą się utrzymać tylko z Żydów. Natek rozejrzał się. To nie jej przypadek. Mieszkanie było przestronne, z dużym kominkiem w salonie i stiukami pod sufitem. Hrabina żyje pewnie z oszczędności gromadzonych od pokoleń przez tych na obrazach w korytarzu. Inaczej już sprzedawałyby swoje antyki.

– Dziękuję – uśmiechnął się do niej.

– Jest mocno dziewiętnastowieczna – szepnął mu Benek już w pokoju. – Ale urocza, dowcipna i niegroźna. Mieszka tu od czasów, kiedy jej sąsiadami byli Braniccy, Radziwiłłowie czy inni Zamoyscy (Natek zauważył, że Benek z przyjemnością wymawia te arystokratyczne nazwiska), a ulice patrolowali carscy żołnierze.

Wreszcie zdjął przemoknięte buty i skarpety. I rozglądał się, na czym je rozwiesić.

– Pewnie pamięta nazwy ulic pisane cyrylicą – powiedział.

– Stary, ona wszystko pamięta. Dla niej zabory były wczoraj. To jej młodość. Opowiada, że żołdaci ubierali się gorzej od hitlerowców. Byli niechlujni, za to przystojniejsi. Ale czasem i tak jej się myli i zaczyna mówić do wehrmachtowców na ulicy po rusku. Potem płacze mi w rękaw, że za długo już żyje na tym bożym świecie. Pocięszam ją, że w Polsce zawsze się tyle działo, że nikt by za tym nie nadążył.

Czy z Benkiem wszystko dobrze? Natek nie słyszał, żeby z taką pasją opowiadał o innych kobietach.

Powiesił w końcu skarpety na rzeźbionym w kwiaty zagłówek niepościelonego podwójnego łóżka. W pokoju nie było żadnego innego mebla, na którym można by się położyć, Natek zrozumiał, że będą spali na nim razem.

Chyba że Benek wybierze hrabinę?

– Ile ona ma lat? – spytał.

Benek wzruszył ramionami.

– Mówi tylko, że jest leciwa. Ale nieźle się trzyma, sam przyznasz.

Zakochał się czy co?

Natek słyszał o jego powodzeniu u kobiet. Na studiach starszy brat Welki, Salek, mieszkał z nim i opowiadał, że drzwi ich mieszkania na krakowskim Podgórzu wciąż były w ruchu. Jedna dziewczyna jeszcze nie wyszła od Benka, a druga już wchodziła.

A Benek powtarzał tylko „raz księżniczka, raz pies”. Tak mówił o dziewczynach, które przewijały się przez jego pokój.

Czy teraz trafiła mu się hrabina?

Natek co wieczór dzwonił do generałowej dowiedzieć się, czy nikt o niego nie pytał. (Benek udawał centralę międzymiastową). Generałowa za każdym razem mówiła, że nie, więc po czterech dniach wrócił z podróży służbowej. Tramwajem ze Śródmieścia na Żoliborz.

Po drodze myślał jeszcze o hrabinie, jej mieszkaniu i historiach, które tak podniecają Benka. Czuł się, jakby naprawdę wracał

z daleka. Samo eleganckie wnętrze, o którym mówiła, że to „jej ulubione połączenie nowoczesnego stylu angielskiego z antykami”. Nieustanne wspomnianie lepszych czasów. Wiedeń, Paryż, Baden-Baden.

Ale najmocniej utkwiała Natkowi w głowie jedna historia. Może dlatego, że opowiedziała mu ją aż trzy razy?

Kiedy się wszystko zaczęło we wrześniu 1939 roku, nie przyjęła zaproszenia Mankiewickiego i nie wsiadła ze swoją przyjaciółką Radziwiłłową, jej służącą w kapeluszu à la turlututu i jej dwoma ukochanymi cocker spanielami do rolls-royce'a.

– Czekali na mnie na dole. Miałam już spakowane trzy walizki. Ale nie zdecydowałam się chyba przez te psy. Piszcząby mi i szczekały przez całą drogę do granicy. Dostałabym migreny. I jeszcze wszędzie ta sierść – śmiała się hrabina. – Nie przypadkiem mówi się, że to głupia rasa.

Jej się nie chciało rolls-royce'em jechać – pomyślał Natek. – A myśmy wszyscy uciekali przed Niemcami ściśnięci na jednej furmance.

Opowiadała też, że bardziej niż Niemców czy Rosjan bano się wtedy leśnych band. Zbuntowanych chłopów, którzy jeszcze wczoraj pracowali w ich folwarkach, a dziś rozkładali na drogach kłody i podpalali, żeby zatrzymać uciekinierów, ograbić ich i wymordować.

Po powrocie Natek powiedział generałowej, że był na Polesiu, gdzie załatwiał zlecenie dla firmy. O nic więcej nie spytała.

Potem co rano wychodził do pracy. W marynarce, krawacie i płaszczu spacerował po sąsiednich uliczkach, czasem przejechał jeden przystanek tramwajem i wracał na piechotę. Czekał, aż generałowa wyjdzie z domu. Od niedawna pracowała w Śródmieściu, prowadziła elegancki sklep z konfekcją o nazwie „11” na Wspólnej.

– Skąd wzięłaś tę nazwę? – zainteresował się, kiedy raz poprosiła, żeby pomógł jej w księgowości.

– Bo jest nas jedenaście pań. Na początek każda przyniosła, co miała w szafie i w bielizniarce. A teraz bierzemy od ludzi w komis i sprzedajemy. To te znajome z niedzielnych podwieczorków.

– A pani pułkownikowa bierze coś czasem dla męża? – zapytał.

Generałowa się uśmiechnęła. Po przejrzeniu rachunków Natek musiał przyznać, że to dobry interes. Już chciał ją skomplementować, że jest bardziej przedsiębiorcza, niż przypuszczał, ale przypomniało mu się, jak pobierała od Weli opłatę za oddychanie.

Po tygodniu ktoś do niego zadzwonił. Generałowa zawołała go z dołu. Pewnie sekretarka Schulza pozwoliła Weli zadzwonić. Zbiegł po schodach.

– Panie Bolesławie – usłyszał w słuchawce głos Uchańskiego. – Przyjdź pan do mnie.

– Kiedy?

– Jutro o czwartej, „Starego” nie będzie, ma spotkanie na mieście.

– Dobrze.

Zaniepokoił Natka ten telefon. O co, do jasnej cholery, może chodzić? Długo nie mógł zasnąć tej nocy, aż w końcu wrócił od generałowej do siebie na górę.

Rano generałowa obudziła go wesoła.

– Jestem taka roztrzępana! – Wparowała do jego pokoju w szlafroku, z ręcznikiem na głowie. Na śmierć zapomniała, że Niemcy wydali jakieś nowe rozporządzenie, że gospodarze domów mają zanieść dokumenty mieszkańców na komisariat. – Potrzebuję twoich papierów. Metryki i wszystkiego, co tam masz.

– Do czego? – Natek błyskawicznie się rozbudził.

– A pojęcia nie mam. Ale ci się przez noc fryzura odgniotła – uśmiechnęła się i pogłaskała go po kręconych blond włosach. – Szkopy ciągle coś wymyślają, żeby urzędnicy się nie nudzili i mogli pokazać, że pracują. Pewnie chodzi o nowe kenkarty.

Natek dał jej teczkę z całym plikiem swoich papierów. To jego skarby. Metryka, świadectwo tożsamości, świadectwo przynależności. Czyjeś prawdziwe dokumenty kupione jeszcze na targu we Lwowie. Metryka na Bolesława Markowskiego, syna Eliasza i Marianny z Sokołowiczów.

– Bolesławie. – Po półgodzinie generałowa wróciła z jego teczką, poważna, umalowana i już w palcie. – To nie jest dobre. Ja z tym nie pójdę.

– Dlaczego nie pójdziesz? – spojrzał na nią ostro.

Co generałowa mu teraz powie? Ślepa nie jest. Mimo że zawsze robią to przy zgaszonym świetle.

– Bo wiesz, Eliasza... – skrzywiła się.

Nie tłumaczył jej, że Eliaz na Wschodzie, na Ukrainie to jest dopuszczalne imię. Dla Ukraińców w porządku. Ale tutaj, w Warszawie, Bogu ducha winny Eliaz może nie brzmi już tak niewinnie. Nie pomyślał o tym, bo dotąd nikt się go nie czepiał. Ale generałowa faktycznie mogła mieć rację, a na pewno nie chciała mieć kłopotów.

– Zrób coś z tym. – Oddała mu teczkę.

Miał na to czas do czwartej. Przeglądał papiery tam i z powrotem. Wpatrywał się w cholerne imię ojca ELIASZ w metryce. Chodził po pokoju – dwa kroki w tę, dwa w tamtą – od drzwi do okna. Ale to nic nie pomagało. Sam już nie wiedział, co bardziej go denerwuje – wizyta w Trasie, te papiery czy stara, skrzypiąca podłoga?

Stanął przy oknie. Słońce odbijało się od przykrytego śniegiem dachu sąsiedniej willi i raziło go w oczy. Natek zrozumiał, co musi zrobić.

Zapalił papierosa.

Zaciągnął się dwa razy, strzepnął popiół i powoli, precyzyjnym ruchem, przyłożył czerwoną końcówkę do metryki. Na sekundę.

Poślinił palec i zgasił nim żarzący się papier. Wrzucił papierosa do zrobionej ze szklanej pokrywki od weka popielniczki.

Udało się. Z Eliasza zostało samo E. Bardzo widoczne. Reszta imienia była dziurą na wylot. Generałowej powie, że zrobił to, o co prosiła. I teraz ma taką metrykę. A ojciec miał na imię Erazm. Ona uśmiechnie się, pokiwa głową, wszystko jasne, i będzie mogła spokojnie zanieść jutro te papiery.

Pytanie tylko, czy po powrocie podniesie mu czynsz. Z jej strony nic gorszego nie powinno mu grozić, przynajmniej miał taką nadzieję. Generalowa zbyt dba o własne bezpieczeństwo i reputację, a ich związek sama nazwała z francuska *l'amitié sexuelle*. Natka nie stać na wyższy czynsz niż dwieście złotych miesięcznie. Zwłaszcza od kiedy jest bez pracy. I żyje tylko z forsy przynoszonej przez Ludwika, z funduszu, który podobno Państwo Podziemne ma dla Żydów.

Setki razy na Marszałkowskiej 120 wbiegał po schodach i na trzecim piętrze otwierał wysokie drzwi z napisem TRASA. Ale tym razem już tu nie pracował, a poza Uchańskim było jeszcze w biurze kilka osób. Maszyny do pisania nie stały już w korytarzu. Ciekawe, kto w końcu spędził z nimi Wigilię. Może Lenkowska, której uklonił się, wchodząc? Czy wydawało mu się, że na jego widok uśmiechnęła się znacząco?

Uchański wprowadził go do siebie, zamknął drzwi i wskazał ręką jego dawne krzesło przy pustym biurku. Czyli nie zatrudnili jeszcze nikogo.

– Panie Bolesławie – Uchański przeszedł do rzeczy ściszym tonem – chcę panu powiedzieć o takim zdarzeniu. Nie wiem, czy to pana zainteresuje, czy nie, ale uważam za wskazane pana poinformować.

Natek kiwnął głową.

– Trzeciego stycznia szef urządził dla nas, pracowników, zwyczajową lampkę wina. Było bardzo wesoło i całkiem przyjemnie.

Natek wyobraził sobie to pijaństwo i uśmiechnął się.

– W pewnym momencie „Stary” wypił nasze zdrowie i powiedział mniej więcej tak: „No, my wszyscy, jak tu jesteśmy, wiemy, kto, co i jak, bo przecież wszyscy się znamy jak własną kieszeń. Jak nie lepiej, bo ja przykładowo nigdy nie wiem, co mam w kieszeniach”. Był już niezłe wstawiony. „Ale kto jest ten pan Bolesław, to my nic nie wiemy”. Nic więcej nie powiedział. I nikt się na to nie odezwał. Jak pana to interesuje, to wiedz pan o tym, a jak nie, to zapomnij.

Natkowi spocily się ręce. Będzie musiał dyskretnie wytrzeć je w spodnie, zanim się pożegnają. Podziękował Uchańskiemu, że mu

o tym opowiedział. Od początku czuł, że to przyzwoity facet. Wystarczyło, że pierwszego dnia w firmie spojrzał w jego lekko skośne niebieskie oczy za okrągłymi okularami. A potem na ręce księgowego. Na końcu środkowego palca, tam gdzie zaczyna się paznokieć, Uchański miał wgłębienie i odgniotek od trzymania ołówka.

Rok wspólnej pracy tylko potwierdził pierwsze wrażenie.

Natek udawał, że ta historia go nie obeszła, że nie jest nią specjalnie zainteresowany. Szybko zmienił temat.

– „Stary” znalazł już kogoś na moje miejsce?

Uchański pokręcił głową.

– Takiego jak pan prędko nie znajdzie.

To dobrze – pomyślał Natek. Takiemu jak ja nie życzę, żeby pracował u „Starego”.

– No, czas goni. – Poklepał się po kolanach i wstał.

Teraz mógł podać rękę Uchańskiemu.

Na Marszałkowskiej, w tłumie wracających o tej porze z pracy, rozboleł go brzuch. Aż musiał się na chwilę zatrzymać. Co dalej? „Stary” wyraźnie na niego wskazał palcem. Co z tym zrobić? Ktoś wpadł na niego, pchnął go ramieniem i Natek ruszył dalej z prądem.

Szedł do konstancińskiej kolejki, ale przypomniał sobie, że obiecał Nuskowi komiks dla Jędrka. Chwilę się wahał, ale wrócił jeszcze po niego do domu.

Tym razem nie wystarczy, że napiją się we troje bimbrowa i urządzą zabawne przedstawienie. Sprawa jest poważna i trzeba ją jak najszybciej radykalnie przeciąć.

Zanim „Stary” naśle na niego Niemców, granatowych policjantów czy zaprzyjaźnionych szmalcowników. Wszystko jedno. Nawet jak go nie kropną na miejscu czy nie zaciągną na gestapo, to Bolesław Markowski będzie spalony.

W ciuchci do Jeziorny zrobiło mu się zimno w ręce. Przecisnął się bliżej kozy, na środek wagonu. Jechał z przysypiającymi na stojąco

szmuglerami, którzy po całym dniu pracy wracali z Warszawy z pustymi brezentowymi torbami.

Wiedział od Benka, że okoliczne miejscowości wyspecjalizowały się w określonych towarach, w które zaopatrują miasto. Szmuglerzy nadali im odpowiednie nazwy. Niektóre z nich zapamiętał. Karczewo to „Prosiakowo”, Jabłonna „Wódkowo”, a Rembertów „Fajkowo”.

Natek zazdrościł Benkowi naturalnego wtapiania się w otoczenie. Z hrabiną rozmawiał jak hrabia, spokojnym, lekko flegmatycznym i zblazowanym tonem, trzymał się przy tym prosto i zachowywał nienaganne maniery. Co właściwie łączyło tych dwoje? Natek do końca nie mógł zrozumieć. Może to, że ona nie miała dzieci, a on rodziców?

Zauważył, że Benek w łazience podbierał hrabinie kremy do twarzy. Czy to też element wtapiania się?

Kiedy Natek szedł z nim przez miasto, Benek odwracał się za kobietami, które mijali, gadał o ciuchach i interesach, które mogliby razem zrobić. Uśmiechał się do swojego odbicia w witrynach sklepowych.

Czy w ten sposób próbuje się do mnie upodobnić? – myślał Natek.

Ale wystarczyło, że znaleźli się na Kercelaku, a przy handlarzach i przekupniach Benek stawał się jednym z nich. Natkowi nie udało się złapać momentu, w którym to następowało. Jakby Benek włączał niewidzialny przycisk. Za bramą targowiska zmieniała się jego sylwetka i nawet sposób palenia. Lekko się garbił, odgarniał grzywkę za odstające łobuzersko ucho i trzymał papierosa wewnątrz dłoni, między palcem wskazującym a kciukiem. Mówił szybko i krótko. Powtarzał: nie ma problemu, i spluwał na ziemię.

Raz powiedział Natkowi, że został wymyślony na trudne czasy. Rzeczywiście wydawał się stworzony do okupacji. Jak Flash Gordon, bohater komiksu, który Natek trzymał pod pachą w kolejce, do walk na planecie Mongo.

Co zrobiłby na jego miejscu?

Natek jeszcze nie dojechał do Jeziorny, a już wiedział, że ma tylko jedno wyjście. Poczul ból na samą myśl.

Welka zgodziła się z nim i tylko lekko się uśmiechnęła. Miał mało czasu. Nie został u niej na noc. Będzie potrzebował pomocy Ludwika. To w końcu lekarz. Równie dokładny w podrabianiu dokumentów, co w swojej pracy chirurga w szpitalu Dzieciątka Jezus.

Tylko Natek za cholerę nie umiał wytłumaczyć mu tego przez telefon. Jak ma opisać tę modę, a raczej ostatni krzyk mody, który opanował teraz niektórych Żydów? Tak żeby Ludwik zrozumiał, a telefoniści nie.

– Ty, słuchaj, musimy coś jutro razem spreparować – kluczył.

Nie powie przecież, że Ludwik ma go zoperować, naciągnąć ten naskórek.

– Ale co?

– Nic takiego, lekka poprawka. Weź, co trzeba, z pracy.

Następnego popołudnia siedzieli już we dwóch u Natka na strychu. Ludwik stwierdził, że o żadnym operowaniu nie ma mowy. Zanim się wygoi, minie sporo czasu. A faktycznie trzeba działać szybko.

– Ściągaj spodnie – powiedział.

Natek zasłonił okno i krzesłem zablokował klamkę, na wypadek gdyby starej Kalinowskiej strzeliło do głowy szukać tu teraz swojego syna. Jak zareagowałyby na widok dwóch młodych mężczyzn pochylonych nad przyrodzeniem jednego z nich?

Ludwik wyjął ze swojej lekarskiej torby skalpel i jasnoróżową rolkę plastra. Odwinął kawałek przylepca i precyzyjnie pociął go na różnej wielkości paseczki. Przykleił je chwilowo do blatu stołu.

Brał każdy po kolei i starannie owijał wokół żołądź Natka. Natek przytrzymał je, żeby dobrze przylgnęły.

Kiedy skończyli, obejrzeni efekt. Plaster trzymał się, ale jego kolor był jaśniejszy od reszty przyrodzenia i obaj musieli przyznać, że cudowne to nie jest. Nie podobało się ani Ludwikowi, ani Natkowi. Niewiele to warte, ale przynajmniej lepsze niż nic. A to już coś.

Natek „mw” poczuł się z tym lepiej.

Ostrożnie założył majtki i spodnie. Zszedł na dół zadzwonić. Na schodach z każdym krokiem robiło mu się coraz bardziej niewygodnie.

Wykręcił numer Uchańskiego.

– „Stary” jest?

– Nie, ale zaraz będzie. Za godzinę ma spotkanie.

Natek ledwo wrócił na górę. Klej swędział go, a sztywny plaster wbijał się w żołądek.

– Długo tak nie wytrzymam – powiedział Ludwikowi.

I pomyślał: teraz albo nigdy. Wóz albo przewóz, jak mówi „Stary”.

Dla kurazu wypili przed wyjściem po kieliszku wódki.

Droga na przystanek i jazda tramwajem były męką.

Ustalili, że Ludwik poczeka na ulicy i gdyby Natek nie wrócił po kwadransie, powiadomi Welkę.

Znowu schody. Tym razem aż trzecie piętro. Natkowi ciężko było skupić się na czymś innym poza własnym krocem. Marzył, żeby już uwolnić się od tego cholernego „napletka”.

Z rozpędem wszedł do Trasy. Zobaczył zdziwione spojrzenie Lenkowskiej. Ukłonił się. Zgodnie ze swoim planem pukał do kolejnych drzwi. I je otwierał.

– O, cześć, Bolesław – słyszał.

– Proszę panów na chwilę – mówił.

Mignęła mu twarz Uchańskiego.

W jednym z pokoi musiało być otwarte okno, bo zrobił się przeciąg.

– Serwus, Bolesław!

– Proszę panów na chwilę – powtarzał. – Ale tylko panów.

Kiedy już wszyscy wyszli na korytarz, Natek powiedział:

– Panowie, proszę za mną.

Wrócił do sekretariatu Lenkowskiej.

Nie zdążyła zagrozić mu drogi do najważniejszych drzwi w biurze. Tych z napisem „Tadeusz Sienkiewicz”.

Natek nacisnął klamkę i wszedł do eleganckiego gabinetu.

Na całej ścianie wielka mapa Europy. Na biurku globus, zapalona zielona lampa, filiżanka po kawie.

– O, pan Bolesław. – „Stary” podniósł wzrok znad gazety.

Natek rozchylił płaszcz. Rozejrzał się, czy wszyscy wokół na pewno już się zebrali. Nie każdy odważył się wejść do gabinetu szefa. Niektórzy stali w drzwiach, ale też patrzyli.

Natek rozpiął rozporek, spuścił spodnie i majtki.

Konsternacja.

– Zadowolony pan teraz? – krzyknął do „Starego”.

Szef był tak zszokowany, że chyba nawet nie spojrzał w dół. Natek też nie. Bał się, tak słabo to było zrobione.

– Już pan widział?

Natek szybkim ruchem wciągnął spodnie i zapiął rozporek. Porządnie zabolowało. Aż łzy stanęły mu w oczach. Ale to może i lepiej dla ogólnego efektu.

Ludzie pękali ze śmiechu.

– Panie Bolesławie. – Szef wstał od biurka. – Co też panu wpadło do głowy?

– Już pan dobrze wie.

Natek odwrócił się na pięcie i wyszedł.

– Ale mu dał! – słyszał jeszcze na schodach. – Ale mu dał!

WELA

Wela się śmiała. Leżeli w łóżku, zapadali się w stary wilgotny siennik u niej w Jeziornie.

Jak dziecko prosiła, żeby Natek jeszcze raz opowiedział, co wydarzyło się w Trasie. Chciała znowu usłyszeć, jak pokleili plastrem, jak pojechali i jak Natek opuścił spodnie w gabinecie szefa. Po prawie

czterech latach wojny tak bardzo brakowało jej opowiadań ze szczęśliwym zakończeniem.

Bawiła się ręką Natka, oglądała jego długie palce z równo obciętymi paznokciami, przykładała do nich swoje. Przed chwilą ich ciała podobnie się dopasowywały.

Wela od dwóch lat nie miała okresu. Dlatego nie bała się, że może zajść w ciążę. To pewnie z nerwów – myślała. – Moje ciało wie, co robi.

– I co dalej?

– Wybiegłem na Marszałkowską. Pojechaliśmy z Ludwikiem na Żoliborz. Pomógł mi, jak sam powiedział, wrócić do mojego wyznania. Szybkim zdecydowanym ruchem. – Natek skrzywił się na samo wspomnienie. – Diabelnie bolało.

Zastanawiała się, jak go pocieszyć. Czy powiedzieć, że wyobraża go sobie jako rycerza, któremu po wygranej bitwie giermek zdejmuje zbroję? Czy raczej jako komiksowego superbohatera, który po udanej misji zrzuca swój kostium?

– Ważne, że nic nie zepsuł – uśmiechnęła się i ze współczującą miną pogłaskała prawdziwego bohatera całej akcji. – Mów dalej.

– Wieczorem opowiedziałem mojej gospodyni, jaka krzywda mnie spotkała. A ona powtórzyła to zaraz wszystkim koleżankom z pracy. Że o takie coś posądzono jej lokatora, że aż spodnie musiał spuszczać. Tak wyrobiłem sobie świetne alibi. Po trzech dniach dzwoni Uchański i opowiada, co „Stary” po moim wyjściu powiedział.

To był ulubiony fragment Weli.

– Ten Bolesław jest ambitny człowiek. On sobie nie da, panie, w kaszę dmuchać.

Ale na tym nie koniec. „Stary” zaprosił Bolesława na rozmowę. „Pogadać jak człowiek z człowiekiem”. Natek od Uchańskiego już wiedział, że nic mu nie grozi. „Stary” chce tylko załagodzić sytuację.

Następnego dnia jakby nigdy nic przyszedł do Trasy. W sekretariacie Lenkowska przywitała się z nim życzliwie jak kiedyś, jakby cztery dni temu nie próbowała swoim ciałem zagrozić wejścia

do gabinetu „Starego”. No, może tylko na jego widok lekko zaczerwieniła się pod grubą warstwą pudru.

Rozmowa z szefem była krótka, ale owocna:

– Panie Bolesławie drogi, zapomnijmy o tym całym *qui pro quo* – powiedział „Stary”. – Nie chce pan do nas wrócić?

– Nie.

– A ma pan legitymację?

– Przydałaby się.

– No widzi pan. To proszę do mnie przychodzić. Bez krępacji. – Sienkiewicz żartobliwie pogroził mu palcem.

– Jak „Stary” się już przekonał, że nie jestem Żydem – skończył opowiadać Natek – to teraz chce mi pomagać. Co miesiąc podbijać legitymację, że niby ja dalej u niego pracuję. Zgodziłem się oczywiście. Musiał się przestraszyć, że jestem z podziemia i że spotka go to, na co sobie dawno zasłużył.

Wela mogła tego słuchać w kółko, jak ulubionej bajki albo płyty, którą puszcza się ciągle na gramofonie. Mijały tygodnie, a nie znudziło się jej.

Często – mieszając kartoflanekę w stołówce czy myjąc na kolanach podłogę w willi wehrmachtowca – przypominała to sobie i uśmiechała się.

Myślała o tym, że z Natkiem muszą ukrywać się podwójnie. Nie tylko swoje pochodzenie, również małżeństwo. Natek kupił im przecież papiery na różne nazwiska. Ile to potrwa? Ile miesięcy? Lat? Czy na starość też mają chować się po krzakach, żeby złapać się za rękę albo pocałować?

Natek pocieszał ją, że Niemcy wożą już z frontu wschodniego mokrą bieliznę na ciężarówkach. To znak, że tam nie zdążą jej nawet wysuszyć, tak szybko się wycofują.

– Po Stalingradzie wszystko im się sypie – powiedział ostatnio. – I zaraz ich szlag trafi.

– Skąd wiesz? – spytała.

– Od Ludwika. – Przytulił ją. – Uszka do góry.

Oby tylko on wcześniej nie wpadł w Warszawie i nikt mu nie powiedział: spodnie w dół.

W Konstancinie Wela nie widziała szmalcowników. Kilka razy po pracy zaczepił ją tylko jeden chłopak. W jej wieku albo młodszy, jeszcze przed dwudziestką. Ładny, ciemny, z zielonymi oczami. Chodzi z tymi beztroskimi młodymi, co to w przerwach między siatkówką a tenisem bawią się w konspirację. Równie niegroźni dla Niemców, jak i dla niej. Tak sobie wyobrażała w szkole na lekcjach polskiego romantyków, filomatów i filaretów. Też nie musieli zarabiać na życie. Często spotykała ich na mostku między Konstancinem a Jeziorną. Opalali się, palili papierosy, czytali na głos książki, gwizdali i nucili *Natalię*, kiedy ich mijała.

*O Natalio, o Natalio,
bez pamięci cię uwielbia nasz batalion.*

*O Natalio, o Natalio,
pachniesz wiatrem, leśnym szumem i konwalią.*

*O Natalio, o Natalio,

to się musi skończyć raz –
wybierz wreszcie kogoś z nas,
o, potraktuj go na serio
i nad wdzięków twych imperium
zapanować komuś daj.*

Elegancy i starannie uczesani chłopcy z dobrych domów, a raczej eleganckich konstancińskich willi. Wela wie, że ten, który ją zaczepiał, jest trochę inny, skromniej ubrany, mieszka od niedawna w willi Irena. W liściku, który jej ostatnio dał razem z wierszem

i kwiatkiem, zaprosił ją do siebie. Nazywa się Karol Topornicki. Tak się przynajmniej podpisał.

Oczywiście nie poszła ani nie powiedziała o tym Natkowi, ale kilka razy pomyślała o tym chłopcu przed zaśnięciem.

Tym bardziej że w swoim wierszu *Miłość bez jutra* otwarcie i bezczelnie zapraszał ją do łóżka.

Mówi się, że kobietom na aryjskich papierach jest łatwiej niż mężczyznom. Żydówka, która nie ma dobrego wyglądu, może ufarbować włosy. Nikt jej w majtki nie potrzebuje zaglądać.

Jako staruszka przynajmniej nie będę musiała się farbować – pomyślała.

Ich koleżanka z Tarnowa, Irma, na wszelki wypadek chodzi po Warszawie bez okularów, bo polepszają widzenie, ale pogarszają wygląd. A ma krótki wzrok, minus sześć dioptrii. Na ulicy ciągle na kogoś wpada, na Niemców też.

Rozstępują się i mówią:

– *Bitte, Fräulein.*

Nie przyjdzie im do głowy, że w ten sposób się przed nimi ukrywa.

Ostatnio silne wrażenie na Welce zrobiła historia Franki. Dziewczyny z zamożnej tarnowskiej rodziny, niedoszłej pianistki, dawnej narzeczonej Benka Laubharta.

W przeciwieństwie do Irmy, mimo niezłego wyglądu, Franka bała się wychodzić z mieszkania. Aż w końcu po dwóch latach wyszła. Prosto na gestapo. Nie potrzebowała pomocy granatowych policjantów ani szmalcowników. Sama na siebie doniosła.

Wela kręciła głową, kiedy Benek to opowiadał. Ale bywały dni, że trochę Frankę rozumiała. Tę ulgę, że nie musisz się już ukrywać.

Tylko czy Franka naprawdę poszła sama na gestapo? – zastanawiała się czasem. Skąd Benek by o tym wiedział? Bo raczej po drodze nie wpadła go poinformować. Może kłamie, żeby przykryć wyspę w kryjówce, którą znalazł dla dawnej narzeczonej?

Wciąż słyszy się takie historie, że nikt by nie uwierzył, nawet gdyby przeczytał o nich w książce.

Jak ta o dwóch niemieckich żołnierzach, którzy na Puławskiej zginęli pod tramwajem Nur Für Deutsche. – Czytają ze zrozumieniem – uśmiechali się złośliwie warszawiacy.

Było dobrze po jedenastej wieczorem, godzina policyjna. Inne tramwaje o tej porze już nie jeżdżą. Zaraz zaroilo się od wehrmachtowców z karabinami. Pobudzili okolicznych mieszkańców, wywlekli z domów. Wydawało się, że w zemście rozstrzelają ich na miejscu. Ale najpierw kazali podnieść wagon, żeby wyciągnąć ciała. W kieszeni obu ofiar znaleziono listy. I po ich przeczytaniu puszczono ludzi wolno.

Wela znała tę historię oczywiście z agencji informacyjnej JPP. Już następnego dnia rano opowiadano sobie w Jeziornie: jedna pani powiedziała, że wczoraj w Warszawie na Puławskiej...

Do momentu puszczenia ludzi wolno wszystko się zgadzało i każdy opowiadał to samo, ale dalej – jakby samobójcy zostawili kilka różnych listów. W jednym napisali, że popełniają samobójstwo, bo właśnie się dowiedzieli, że ich rodziny zginęły w czasie bombardowania w Berlinie. W innym, że rzucają się pod tramwaj, bo dostali powołanie na front wschodni. W jeszcze innym, że to samobójstwo z miłości, bo nie zniosą rozłąki (tylko jeden z nich miał jechać na front).

A to, co ludzie gadają o obozach? Która wersja jest prawdziwa? Czy Żydów gazują i palą? Czy przerabiają na mydło, jak podawała wcześniej agencja JPP? Czy po prostu się tam pracuje, jak mówią Niemcy?

Nusek czasem coś jeszcze opowiadał o obozie janowskim, ale rzadko. Raz usłyszał w radiu jakąś melodię i przypomniał mu się komendant, Wela nie pamiętała już nazwiska, przedwojenny muzyk amator, który skompletował z więźniów, dawnych muzyków lwowskiej opery, orkiestrę i kazał im grać sobie co niedziela do obiadu. Przygrywali mu też w pracy: fokstroty do tortur i tanga do egzekucji.

Nusek zagwizdał *Tango śmierci*.

NUSEK

Był letni upalny dzień. Bo jaki miał niby być pierwszy sierpnia?

Wychodziłem z fabryki, zapaliłem papierosa i minąłem bramę z wartownikami, kiedy zawołała mnie pani Kadłubkowska. Stukot jej obcasów poznam nawet na żwirowej drodze.

Po co za mną goni? Przestraszyłem się, że coś się stało. Odruchowo zerknąłem na dwóch niemieckich wartowników. Co sobie pomyślą? Co w ich oczach może łączyć młodego robotnika i starą sekretarkę?

W czasie okupacji połowę czasu zabiera nam zastanawianie się, co inni o nas pomyślą. A oni często w ogóle o nas nie myślą, mają nas po prostu w dupie. Tak właśnie było z wartownikami, którzy wyglądali, jakby już tylko chcieli pójść do domu. W końcu ile można stać na słońcu w przepoconych mundurach?

Po ponad roku u Schulza wiedziałem, że pani Marii mogę na pewno zaufać. Nadal raz w miesiącu przekazywała dla mnie list od wuja proboszcza, który po drodze czytało pół fabryki. Nikt się specjalnie nie krępował. Za każdym razem dostawałem list ze śladami brudnych paluchów.

Z Kadłubkowską wiemy o sobie aż za dużo, i nie tylko o sobie. Opowiedziała mi, że u Schulza w gabinecie wisi na ścianie obraz z różami w wazonie. Jak ktoś ważny ma przyjechać, to on ten obraz odwraca. I tam z drugiej strony jest Hitler. A jak gość odjeżdża – z powrotem róże w wazonie.

– Panie Stasiu – byliśmy wciąż zbyt blisko fabryki, żeby mówiła do mnie na ty – wie pan co?

Pokręciłem głową.

– Będzie się pan śmiał.

Spojrzałem zdziwiony.

Pokazała mi ręką, że jeszcze nie tu, nie teraz, za chwilę mi powie.

Przez kilka metrów szliśmy obok siebie bez słowa. W kierunku rzeczki.

O co, do cholery, chodzi? Nie miałem dziś siły na takie zagadki. Nie pytajcie się, o której i jak wczoraj wróciłem od Kazika. Do tego łeb mi pękał po całym dniu w fabryce. Dalej słyszałem huk maszyn do szycia. Często zostaje mi w uszach do wieczora. Ubrania śmierdzą piwnicznym grzybem, a w uszach ten hałas.

Nie żebym się skarżył. Znam gorsze maszyny. Kilku moich kolegów z obozu skończyło w młynie do mielenia kości.

Nazywaliśmy go mielonka. Mówiliśmy, że poszli na mielone.

Usłyszałem plaśnięcie i spojrzałem na panią Marię. Trafila komara, który gryzł ją w kark.

– Stasiu, zaniósłam dziś Schulzowi stos legitymacji do potwierdzenia – powiedziała w końcu ściszym głosem.

Doszliśmy już nad Jeziorkę.

– Schulz zrobił się ostatnio nerwowy. Wyobraź sobie, że tych kilka legitymacji, co sam parę dni temu podpisał, to teraz odrzucił. Zaczy: odłożył na bok, żeby sprawdzić, czy nie fałszywe. A te od ciebie, z jego lipnym podpisem, przypieczętował od razu bez mrugnięcia okiem.

Wyjęła z torebki szarą kopertę z legitymacjami.

– Ten twój kolega to mistrz w swoim fachu – powiedziała. – Schulz bardziej wierzy w jego podpis niż w swój.

– Dziękuję, pani Mario. – Uśmiechnąłem się skromnie, jakby to o mnie mówiła. Kto wie?

Gramada to prawdziwy majster. Jak nawet napletek umiał Natkowi skutecznie zmajstrować. Ale tym się już nie chwaliłem.

Schowałem kopertę pod koszulę i pożegnaliśmy się.

Łeb mnie nadal napieprzał. Powoli wracałem chaszczami wzdłuż rzeczki do domu. W tempie kuśtykającego ojca Zośki, starego Kowalskiego, który często chodzi tu na ryby. Ciekawe, czy wypowiadał się z tego, co zrobił córce. Tej „służebnicy bożej”, jak mówią na kobiety w kościele. I co na to ksiądz? Nie mówiąc o Bogu.

W myślach wygarniałem im trzem po równo.

Gapilem się na ważki, jak lądują na wodzie. I zaraz lecą dalej, zostają po nich rozchodzące się kręgi. Kto, do cholery, te ważki, z tymi ich trzepoczącymi zielonymi skrzydełkami, stworzył? – próbowałem myśleć filozoficznie, jak Salek czy Hesio, ale ja raczej nie jestem do tego stworzony. Najchętniej bym się rozebrał i w majtkach wskoczył do Jeziorki. Tylko bałem się zostawić te legitymacje.

Wracałem okrężną drogą. Nie spieszyło mi się dziś ani do Zośki, ani do Bugi i jego bimbru. I jednego, i drugiego, a zwłaszcza trzeciego miałem ostatnio w nadmiarze. Poczulem ochotę na zimne piwo. Może wpaść do baru na stacji?

Ale samemu jakoś głupio.

Zaraz przypomniał mi się Lolek, mój serdeczny przyjaciel, z którym też tak łąziłem bez celu nad Wątokiem w Tarnowie i właśnie z flaszką w ręku.

– Nusek, ja tylko piwem mogę się napić – mówił często i bekał głośno na całą ulicę.

Jego matka, dozorczyń z sąsiedniego podwórka na Goldhammera, tylko wódką mogła się napić. Dawała Lolkowi pieniądze i wysyłała po pół litra na róg do sklepu pana Osterweila. A on za resztę kupował nam piwo. Mówił, że stara jest tak zalana, że się nie doliczy. Ale raz połapała się następnego dnia i zlała go miotłą po dupie.

Zostało po nich, po Lolku i jego matce, tyle co po tych ważkach na wodzie – próbowałem znowu pomyśleć jak moi starsi bracia.

A co z nami? Co zostało z naszej rodziny Stramerów?

Wyszedłem na główną drogę.

– Stasiek!

Zmrużyłem oczy. Co to za machający łapami punkcik na horyzoncie? Lolek biegnie w moją stronę? Rozmarzyłem się. Nie, to Wacek Kowalski, syn Józka. Nie pytajcie się. Zaraz zwolniłem kroku.

– Stasiu!

To Wacek biegł. Z daleka widać, że podniecony. Pewnie wraca prosto z lasu i chce mi wszystko opowiedzieć. Jak ostatnio ćwiczyli strzelanie z pistoletu do celu i jeden zamiast w butelkę trafił dowódcę w nogę. Po nocy musieli szukać doktora.

– Stasiu, chodź teraz z nami do NSZ! – Jeszcze nie dobiegł, a już zaczyna swoje.

– Co? – udaję, że nie usłyszałem.

– Jest powstanie w Warszawie! – Wacek ledwo łapał oddech.

Jakie znowu, do cholery, powstanie? Getta już dawno nie ma.

– No i? – spytałem.

– Krowa cię doi – rzucił powiedzonkiem w stylu swojego dziadka, starego Kowalskiego. – Chodź ze mną. Wszyscy idą.

To niech se idą – pomyślałem. – Na zdrowie.

A w głowie zahuczała mi mielonka. Ledwo przebijał się przez nią głos Wacka.

– Teraz twój czas, Stasiu. Wstąp do nas.

Może wpierw wstąpię do domu po pracy? Otarłem pot z czoła rękawem niebieskiej koszuli po mężu Zośki.

– Strach cię obleciał?

– Czyś ty na głowę upadł! – Spojrzałem ostro na Wacka, zanim zacząłem swoją śpiewkę. – Przecież ty wiesz, że nie mogę. Mówiłem ci już nieraz, że ja jestem w czym innym. I czekam na rozkaz.

Słabo mi dziś szło. Nawet siebie nie przekonałem, nie mówiąc o Wacku.

– Rób, co chcesz, Stachu – powiedział i odwrócił się. – Mnie ojczyzna wzywa. Idę do powstania.

– To znaczy gdzie? – złapałem go za ramię, dobrze wiedzieć na wszelki wypadek. – Do Warszawy?

– Zgrupowanie jest w... – zawahał się.

Dopiero co chciał mnie ze sobą zabrać, a teraz boi się mi powiedzieć?

– W Mirkowie. W fabryce papieru.

Puściłem go. I poszedł. A nawet pobiegł w stronę tego Mirkowa.

Minąłem dom Kowalskich. Chciałem uprzedzić Welkę, że coś się szykuje.

Żona i córka kowala siedziały na ganku. Obie w takich samych zielonych sukienkach. Pewnie z jednego kawałka materiału wyniesionego z fabryki. Albo raczej beli. Od Kadłubkowskiej wiem, że

ciągle giną. Wynieść w kieszeni śrubkę, śrubokręt czy nawet lutownicę, to rozumiem. Ale belę materiału? To wyższa szkoła jazdy.

– Uszanowanie – ukłoniłem się.

Żona kowala ledwo mi skinęła głową. I obie popatrzyły chyba z wyrzutem. Te też na mnie obrażone?

– Janka jest?

Pokręciły głowami, jakby były na meczu tenisowym w Konstancinie. W tę i z powrotem. W tę i z powrotem.

Gdzie ona może być? Spojrzałem na zegarek, który znalazłem w getcie. Prawie szósta. Dziś wtorek, Welka nie sprząta po pracy w żadnej willi, powinna już wrócić do domu.

Może od kowala więcej się dowiem. Zajrzałem przez okno do kuźni w drewnianej przybudówce. Piec zgaszony. Narzędzia wiszą na ścianie. Pusto.

– Pan Marecki poszedł do Mirkowa? – spytałem.

– A co miał nie iść – odpowiedziała jego żona. – Jak sąsiedzi po niego przyszli. Wziął chlebak na ramię i tyle go widziałam.

Może Welka chciała uprzedzić mnie o powstaniu. Szybko się pożegnałem. Pewnie siedzi teraz u Zośki i czeka na mnie.

W fabryce jej dzisiaj nie widziałem.

Jak tylko wszedłem na podwórko, dzieci zaraz przybiegły. Pierwszy Jędrus, za nim Elżunia na tych swoich chudych nóżkach. Przytuliły się do mnie. Słyszały rozmowy dorosłych? Czy czuły, że coś się święci?

Józek też poszedł do powstania. No, ten przynajmniej mnie nie namawiał. Ale nie poszedł razem z synem. Bo Józek był w AK, a Wacek w NSZ.

Welki tu dziś nie było. Nie musiałem nawet pytać. Inaczej Zośka zrobiłaby mi scenę zazdrości. A tak czekały mnie tylko pretensje.

– Wszyscy poszli walczyć – powiedziała, jak wszedłem do kuchni.

Stała tyłem przy oknie, a jak się odwróciła, to popatrzyła na mnie jak żona i córka kowala razem wzięte.

Jak na tchórza.

Powtarzała słowo w słowo mądrości, które Wacek od miesiący znosił z lasu do domu. Nie wiedziałem, że jest aż pod takim wpływem tego gówniarza.

Opowiedziałem jej tę samą bajeczkę, co jemu, i na dowód, że też jestem w konspiracji, wyciągnąłem z za koszuli lipne legitymacje od Kadłubkowskiej.

Zośka była pewna, że wygramy to powstanie. Niemcy uciekną gdzie pieprz rośnie. Wacek sam widział, jak obdarci wracali ze Wschodu. A ich dowódcy wynieśli się już ze swoich willi w Konstancinie.

Dawno nie widziałem jej tak szczęśliwej i podnieconej. Cieszyła się z powstania jak Elżunia z lalki, którą przywiozłem z getta.

W nocy trochę jej przeszło. Nie pytajcie się. Komu by nie przeszło? Takie łuny szły znad Warszawy i tak waliło, że wzięliśmy płaczące dzieci i schowaliśmy się wszyscy w piwnicy.

Nad ranem Wacek i Józek byli już w domu. Wacek ranny w rękę. Niemcy w Klarysewie z wysokiego budynku strzelali seriami do idących polami powstańców. Wacek przeżył tylko dlatego, że schował się w stogu siana. Dla niego skończyło się powstanie. Nie mówił już więcej, że mam gdzieś wstępować.

Józek wrócił cały i zdrowy. Był tylko blady i z przekrwionymi oczami. Kiedy szliśmy do pracy, opowiadał, że mieli jeden karabin na dziesięciu i ich oddział na razie rozpuszczono do domów.

Po drodze zajrzałem do kowala. Jakby nigdy nic pracował w kuźni. Też miał przekrwione oczy, jak Józek.

Brakowało tylko Weli. Od wczoraj się nie pokazała.

WELA

Wela po pracy w stołówce wracała do Jeziorny. Na mostku czekał na nią Karol. Zobaczyła go już z daleka. Tym razem był bez kolegów – dwóch braci, z którymi zazwyczaj go spotykała.

Przygotowała odpowiednią minę, której jeszcze nie mógł zobaczyć. Jak śmie pokazać się jej po tym bezczelnym erotyku? Czy

coś w tym stylu.

Tak naprawdę wypatrywała go od kilku dni. Zastanawiała się, czy się nie obraził, że wtedy nie przyszła. Dzięki niemu i ich grze mogła zająć czymś myśli i znowu poczuć się jak przed wojną. Jak dziewczyna.

I jeszcze ta pogoda. Mocne słońce.

Co Karol teraz wymyśli? Widać, że to wrażliwy chłopak. Odważny na papierze. Kiedy zagaduje Wełę, mówi cicho i niewyraźnie.

Może zaprosi ją do kina za wiaduktem kolejowym? Nie, tam grają same niemieckie filmy. A jemu tylko na czole brakuje kotwicy Polski Walczącej.

Patrzyła dumnym spojrzeniem przed siebie. Zauważyła jednak, że Karol ma na ramieniu chlebak.

Przypomniała sobie zabawę w spojrzenia, o której opowiadała jej starsza siostra Rena. Grała z koleżankami o to, która w drodze ze szkoły zbierze więcej chłopięcych i męskich spojrzeń. Poczuli się przez chwilę piękna jak Rena w Tarnowie.

– Chciałem się tylko pożegnać. – Karol stanął jej na drodze. – Jadę do Warszawy. Na dłużej.

– Na ile? – Dopiero teraz spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się lekko ironicznie samymi kącikami ust. – Pięć lat?

Pomyślała, że gdyby nie jasnozielone oczy, też można by go wziąć za Żyda.

– Jest powstanie w Warszawie – powiedział.

No więc to wymyślił. Kwiaty i wiersze nie zadziałały. Chce ją poderwać na powstanie. W pierwszej chwili nawet spróbowała go sobie wyobrazić jako powstańca styczniowego czy listopadowego. Z wąsami, w długim do ziemi kożuchu i z szablą u boku. W śniegu, błocie albo w strugach deszczu – tak to zapamiętała z podręcznika do historii. Pogoda zawsze najlepiej oddawała znój, beznadzieję i zapowiadała klęskę tych powstań.

Ale to nie pasowało do tego chłopca i upalnego lata 1944 roku.

Chociaż może tak właśnie powinien wyglądać powstaniec sierpniowy? Opalony, w słonecznych okularach, koszuli z podwiniętymi rękawami i w krótkich spodniach.

Powstanie. Mógł się postarać i wymyślić coś bardziej przekonującego. Po co komu teraz powstanie? Przecież według agencji JPP wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że Armia Czerwona jest coraz bliżej. Niemcy i volksdeutsche pakują już manatki. Przez Warszawę dzień i noc ciągną ze Wschodu ich wozy z całym dobytkiem. Natek widział nawet w Alejach Jerozolimskich, jak jeden koń ciągnął wóz z trzema krowami.

W Konstancinie to samo. Willa Julisin na Królewskiej Górze, gdzie mieszkał generał gubernator dystryktu warszawskiego, Fischer, stoi teraz pusta. Zniknęli nawet pilnujący ją dzień i noc wartownicy. Żołnierze zniknęli też przed Słonecznej, w której Leist, starosta Warszawy, urządził przyjęcia w ogrodzie i na werandzie. Czasem bawili się do rana i Wela w drodze do pracy słyszała pijackie ryki.

Rosamunde, schenk mir dein Herz und sag ja

Rosamunde, frag doch nicht erst die Mama.

Wehrmachtowiec, u którego Wela sprzątała i gotowała, wyjechał w ostatnią sobotę bez uprzedzenia. Oficjalnie na ćwiczenia wojskowe. Ale po co zabierałby ze sobą ciężarówkę pełną palisandrowych mebli?

Mówi się, że fabrykę Schulza też mogą zamknąć.

Te myśli, wszystkie naraz, przeleciały teraz Weli przez głowę. I na chwilę jakby zasłoniły jej świat, zapomniała o Karolu.

Nagle znowu zobaczyła z bliska jego opaloną chłopięcą twarz. Brwi, rzęsy, kropki zarostu, pieprzyki na policzku. Poczuli na karku jego rękę i w tej samej chwili usta tuż przy swoich. Nie zdążyła pomyśleć, co robi. Przestraszyła się i chyba odruchowo ugryzła go w nos.

Karol odskoczył. Miał łzy w oczach i zasłaniał twarz jak dziecko.

– Przepraszam – powiedział.

Teraz to on unikał jej wzroku.

Tak się kończą powstania – pomyślała Wela.

– Pokaż – podeszła do niego.

Odsłonił nos.

– Jak wygląda? – zapytał.

Miał krew na rękę i na nosie. Wela przyjrzała się śladom własnych zębów. Karol na pewno zapamięta je lepiej niż niejeden pocałunek.

– Będiesz żył – powiedziała. – Ale tylko pod warunkiem, że nie zrobisz tego więcej. – I dodała niepotrzebnie (poczuła to od razu): – Mam męża.

Po co to mówiła? Jakby chciała się usprawiedliwić. Po latach ukrywania sama się wsypała. I to przed chłopcem, który o nic jej nie pytał.

Karol od razu sprawdził, czy Wela ma na palcu obrączkę.

Najwyżej powie mu, że wymyśliła męża, żeby go spławić.

Na mostku minęło ich trzech robotników z fabryki. Popatrzyli na chłopaka, jakby wzrokiem pytali, czy ma jakiś problem. A jeden z nich spojrział dłużej na Welę. To był Józek, brat Zośki, u której mieszka Nusek.

Robotnicy szli szybkim krokiem, jak rano do pracy. Ale przecież byli po fajrancie.

Nic nie powiedzieli ani się nie zatrzymali.

– Naprawdę myślałeś, że uwierzę w powstanie? – spytała szybko Wela, żeby zmienić temat.

Karol nie odpowiedział. Otworzył swój chlebak. Zajrzała do środka i między egzemplarzem „Sztuki i Narodu” a latarką zobaczyła owinięty w gazetę pistolet.

NUSEK

Wreszcie śpię, ile chcę. Od miesiąca nie muszę wstawać do fabryki ani budzić Zośki, żeby wróciła do dzieci. Fabrykę zamknęli, a od

Zośki się wyniosłem.

Miałem już dość tego jej gadania, że te Żydy, że „ta twoja Janka to była Żydówka”, że powstanie warszawskie upadło przez Żydów. Szlag mnie trafił. Jak ja własnej siostry nie widziałem, od kiedy poszła do tego powstania! Raz okrężną drogą dostałem wiadomość, że jest pielęgniarką w szpitalu polowym. I tyle. Może ją tam zabili? Co wieczór widziałem, jak nad Warszawą najpierw zrzucają z samolotów race oświetlające teren, a potem lecą bomby.

– Wiesz co, Zosiu? – mówię. – Ja to wszystko pierdolę. Ja się wyprowadzam.

– To spierdalaj! – Wacek wszedł wtedy do kuchni.

Gówniarz musiał podsłuchiwać w sieni.

Pierwszy raz w życiu go posłuchałem. Nie chciałem wchodzić mu w drogę, od kiedy ojciec znowu poszedł do powstania i przepadł, Wacek jeszcze gorszy się zrobił. Łazi za mną po domu, bawi się tym swoim pistoletem i powtarza: Stasiu, wypadki chodzą po ludziach. Zośka nie powiedziała nic, tym razem nie błagała, żebym został. Nie próbowała, jak ostatnio, zatrzymać mnie siłą ani płaczem.

Miałem rzeczy spakowane do torby. Już wtedy bym się wyniósł, gdyby nie przybiegł Jędrzek.

– Wujku. Przed domem jest armata!

Wyjrzałem przez okno. I aż przetarłem oczy. Faktycznie przy furtce stała armata. Kazałem Jędrkowi nie wychodzić z domu. Sam też zostałem i poleciałem szybko do skrytki.

Kiedy wyszedłem następnego dnia, armaty już nie było.

We wrześniu nie pachniało już chlebem z piekarni na końcu ulicy. Gestapo zabiło piekarza. Często przyjeżdżali do Jeziorny wyłapywać powstańców z Warszawy. Te czarne mundury, wszyscy się ich bali bardziej od zielonych. Piekarz zobaczył gestapowców i na ich widok zaczął uciekać. Zastrzelili go i pojechali do jego domu. W piwnicy gestapowiec kopnął worek z cebulą i wypadł z niego pistolet. Żonę piekarza też zastrzelili.

W nocy z kowalem Mareckim i Kazikiem włożyliśmy ich ciała do trumien i pochowaliśmy jak ludzi.

Na pożegnanie dałem Jędrkowi mały śrubokręt.

– Zawsze miej go w kieszeni.

A Elżuni paczkę kakao Sucharda.

– Masz mi dużo jeść.

Z nikim więcej się nie pożegnałem. Nie chciałem też iść na górę do starego Kowalskiego.

Dzieci odprowadziły mnie do płotu. I patrzyły, jak idę te trzysta metrów, żeby wprowadzić się do kowala Mareckiego, do dawnego pokoju Weli.

Już wcześniej byłem z nim dogadany. Potrzebował pomocy przy lampach karbidowych, które wieczorami produkował. Mówił, że wziął się do tej roboty, bo jest spokojny tylko, jak coś robi.

– Jeden leży, pije i pali – tłumaczył, wyginając blachę. – A ja muszę czymś łapy zająć.

Ostatnio wszędzie coraz gorzej z prądem, więc interes mu się niespodziewanie rozkręcił.

Jak mówił:

– Trza czymś świecić. Karbidówka jest zawsze.

Zaproponował, że jak będę mu pomagał, za darmo mogę u niego mieszkać.

Mało brakowało, a wyniósłbym się jeszcze wcześniej, i to dalej.

Jak już pakowaliśmy fabrykę, Schulz dostał cynk od żołnierzy, że w ruinach Warszawy ostał się sklep Meinla z towarem.

Hans zaraz tam pojechał po kawę, kakao i herbatę. Wrócił z tym i wziął mnie na bok.

– Pojedź z nami do Niemiec – mówi. – Gadałem już z szefem. Zgodził się.

– Ja nie mogę.

– Na pewno przeżyjesz, jak z nami pojedziesz.

Przez chwilę się zawahałem. Skąd on mógł to wiedzieć?

– Hans, ja tu mam rodzinę – powiedziałem.

I co on na to?

– Zabierz siostrę ze sobą.

Dobrze słyszeliście. Siostrę! Wiedział od samego początku? Czy mu pani Kadłubkowska wygadała?

– Ona ma męża – już otwarcie z nim gadałem. – Oni nie pojedą. Ja też nie.

Hans, pani Kadłubkowska i Schulz pojechali. Zabrali ze sobą trzy paki pełne forsy, tych ich marek, gówna już wartych. Mnie zostawili po paczce prawdziwej kawy, prawdziwej herbaty i prawdziwego kakao.

Tak się skończyła fabryka, teraz łążą tam pewnie jedynie koty. Niemcy tylko ich z niej nie wywieźli.

I zaczęło się pędzenie z Kazikiem na całego. W tydzień na bimbry zarabiałem więcej niż przez miesiąc w fabryce. Co drugi dzień rowerami jechaliśmy nad Wisłę, żeby młócić zboże.

Kolejny raz przejechaliśmy obok węgierskiego oddziału. Niemcy ich tu ściągnęli tuż przed powstaniem. Po jaką cholere? Nie wiem. Węgierscy żołnierze jak zawsze przyjemnie nas powitali, dobrze się im kojarzyliśmy, z bimbrem.

Ja też ich lubiłem. Przypominali mi Węgra, który na placu Sobieskiego w Tarnowie sprzedawał gorące kasztany. Marzenie mojego dzieciństwa, które dzięki Rudkowi się spełniło. Załatwił nam wszystkim kasztany, pamiętacie? Tyle że jak z nimi przybiegł, były już zimne. Pamiętam jeszcze ten słodki smak. Ciekawe, jakie są na gorąco.

Zdążyliśmy z Kazikiem dojechać na pole i ustawić rowery siodełkami do dołu. Nawet nie rozłożyliśmy prześcieradła. Zaczęła się rąbanina. Jak Rusczy rąbali z drugiego brzegu, to możecie sobie wyobrazić.

Rowery od razu upadły na ziemię. My też.

Godzinę później, jak wracaliśmy, to z całego tego węgierskiego obozowiska nic nie zostało. Konie zabite, ludzie zabici. Jedna zabita

masa.

WELA

Weli przypomniało się, jak w dzieciństwie zniknęła jej kotka Milka. Najbardziej z rodzeństwa była do niej przywiązana, najbardziej się o nią bała i najbardziej płakała. Wyobraźnia podpowiadała jej wtedy najgorsze obrazy, ale żaden nie równał się z tym, co widziała teraz. A mówi się, że dzieci mają większą wyobraźnię niż dorośli. Wojna pokazuje, że chyba jednak nie.

Końskie kotlety to był największy przysmak powstania. Od początku sierpnia zjedzono już wszystkie konie w Warszawie.

Jak ktoś miał psa albo kota (Wela widziała kilku powstańców, którzy wzięli je ze sobą, pewnie nie mieli z kim zostawić), to też musiał uważać na wygłodniałych kolegów.

Milka miała szczęście. Po kilku dniach wróciła na Goldhammera z przetartym do krwi futerkiem pod szyją. Gdyby zgubiła się w Warszawie w czasie powstania, trafiłaby prosto do garnka.

Wela słyszała, że gdzieś działa masarnia wyrabiająca kiełbaski z psów i kotów. Za każdego oddanego psa albo kota można tam dostać kilka wędzonych kiełbasek lub paczkę papierosów.

Czy powstanie skierowane jest też przeciw zwierzętom? – Wela myślała znowu jak wtedy na Goldhammera, znowu jak dziewczynka. – Kotom wszystko jedno, kto wyzwoli Warszawę, czy strzelamy my, czy oni. Rezultat ten sam.

Niemieckie działa niszczyły dom po domu. Gołębie wzbijały się w powietrze. A po chwili znowu szukały dzióbkami w gruzach czegoś do zjedzenia między ludzkimi ciałami, rozbitym szkłem i połamanymi meblami. Raz widziała, jak rzuciły się na martwego, przeoczonego pewnie przez ludzi gołębia.

Nad trupami latały roje much.

Ale i tak najwięcej jest chyba koników polnych. Dużych, jasnozielonych i skocznych. Codziennie przynajmniej jeden wpadał Weli do kawy. Niektórzy mówią, że to szarańcza, biblijna plaga. Najgłośniejsze słychać je w nocy, kiedy Wela nie może zasnąć. Ich cykanie, zagłuszane wybuchami i strzelaniną, to sekretny dźwięk

tego powstania. Kojarzy jej się z tykaniem wielu zegarków naraz, jak u zegarmistrza.

Wela wyobrażała sobie, co by było, gdyby została z Karolem dłużej niż na jedną noc.

Trochę jak jej ojciec, Nathan Stramer, który przez całe życie zastanawiał się, co by było, gdyby został w Ameryce. Pewnie wciąż by żył i tylko wyobrażał sobie, co by było, gdyby wrócił do Polski. Teraz ona też miała swoje równoległe życie.

Szczęśliwy człowiek to ten, który rodzi się i umiera w tym samym miejscu – usłyszała kiedyś w synagodze. Co by na to powiedział ojciec? Ilu z rozstrzelanych na rynku tarnowskich Żydów by się z tym zgodziło?

Chyba nie przypadkiem o nim pomyślała. W energii i intensywności Karola było coś dobrze znanego. Z taką pasją opowiadał o powstaniu jak ojciec o otwarciu kawiarni U Stramerów. I też świeciły mu się oczy.

Dlaczego wtedy na mostku, między Konstancinem a Jeziorną, dała się namówić na wyjazd z nim do Warszawy i udział w powstaniu? Wela wracała do tego wiele razy. A dlaczego jej matka zgodziła się prowadzić kawiarnię? Obie uwierzyły, że tym razem na pewno się uda.

Karol mówił, że to kwestia dni, góra tygodni. Dowództwo jest dogadane z Armią Czerwoną i z naszymi aliantami, Anglikami i Amerykanami. Spadochroniarze generała Sosabowskiego tylko czekają na znak i zaraz tu wylądują. Wszyscy razem z Armią Czerwoną ruszymy na Berlin.

Czy może przekonały ją wyrzuty sumienia, że ugryzła go w nos?

Na początku, na trzęsącej się pace ciężarówki, mówiła sobie, że dzięki Karolowi dostanie się szybciej do Warszawy, do Natka. A potem w nocy: Natek ma swoją generałową, to ja mogę mieć swojego powstańca.

Rano obudziła się pierwsza. Zaraz po przyjeździe Karol chciał dostać się na Stare Miasto, ale to było zbyt niebezpieczne. Znajomy dozorca z Dobrej dał mu klucz do piwnicy. Spali na zostawionym tam materacu. W świetle piwnicznego okienka Karol z zamkniętymi

oczami wyglądał jak dziecko. Aż trudno było uwierzyć, że tak chrapie. Po cichu pozbierała swoje ubrania. Przypomniało jej się, jak w Tarnowie starsza siostra Rena uczyła ją, żeby na rozbieranej randce zawsze zostawiała na sobie halkę. Rozbierana randka w wilgotnej piwnicy. Nie tak to sobie wtedy wyobrażała.

Wela szła z Powiśla na Żoliborz. Chciała dojść do domu generałowej. Kawalek drogi. Miasto było jeszcze całe. Ludzie dopiero zaczęli rozbierać chodniki i znosić kwadratowe płyty na barykady. Znosili też na plecach worki pełne nie wiadomo czego, beczki po kapuście, szafy i inne graty. Wela minęła mężczyzn ubranych jak do kościoła, którzy kopali rowy. Na górze kobiety w sukienkach w kwiaty przygotowywały im kanapki i lemoniadę.

Panowała świąteczna atmosfera, jakby szykowano wielki piknik.

Gdyby dzieci nie rozklejały plakatów z czaszką w hełmie i napisem „Jeden pocisk, jeden Niemiec”, a nastolatkom z biało-czerwonymi opaskami na rękawach nie wystawały spod letnich płaszczy lufy karabinów, można by pomyśleć, że to dzień wolny od okupacji. Wakacje od wojny. Jakby już ją wygrali, bo wszędzie na budynkach wywieszano polskie flagi.

Pod oknami stał grubas z akordeonem i śpiewał.

*Tę piosenkę, tę jedyną
Śpiewam dla ciebie, dziewczyno.*

Wela zatrzymała się.

*Może także jest w rozterce
Zakochane twoje serce?*

Drugi raz dziś pomyślała o Renie. To ona powiedziała kiedyś, że piosenki czasem tak idiotycznie pasują do życia.

Może potajemnie kochasz

I po nocach tęsknisz, szlochasz?

Grubas spojrział jej w oczy, ale to już nie było o niej. Ruszyła dalej.

Jak wszyscy, których mijala, cieszyła się z powstania. Ale z innego powodu. Czowała, że ono uwalnia ją od odpowiedzialności, od pojedynczych decyzji, podejmuje je za nią.

Krótko mówiąc: zdrada w czasie powstania się nie liczy. Przynajmniej tego rodzaju zdrada.

Teraz Wela myślała tylko o jednym: czy Natek się nie domyśli? Czy coś po niej pozna? Czy będzie uciekała wzrokiem, kiedy mu powie, że dopiero dziś rano przyjechała?

Nigdy dotąd nie musiała niczego ukrywać przed Natkiem.

A czy w ogóle będą musieli się jeszcze ukrywać? Czy może przestać się bać, że ktoś wciągnie ją do bramy i zagrozi:

– Jak nie zapłacisz, weźmiemy cię na mydło.

– Janka!

Poznała ten lekko szorstki kobiecy głos i odwróciła się. Aśka Tecko. Szła z dwoma wiadrami, które niosła w chudych, żylastych rękach. Postawiła je na chodniku i uściskały się.

– Co tu robisz? – zadały jednocześnie to samo pytanie.

– Niosę chłopakom śniadanie. Na pozycje – pierwsza powiedziała Aśka, z lwowskim akcentem. – Zjesz?

Nie czekając na reakcję Weli, nałożyła jej chochlą płatki owsiane do metalowej miski wyjętej z mniejszego wiadra.

Były gorące. Wela wzięła pierwszą łyżkę i poczuła kropelki potu pod nosem.

Jak dobrze, że spotkała Aśkę. Inaczej dalej by szła w przeciwną stronę, niż powinna. Aśka słyszała, że Natek jest w Śródmieściu, na Wilczej. Wczoraj wieczorem wpadła na Ludwika, który razem z innymi powstańcami na Marszałkowskiej przewracał tramwaj na

barykadę. Powiedział, że zajęli ponemieckie lokum w kamienicy na Wilczej przy placu Trzech Krzyży.

Wela ruszyła w tamtą stronę.

Było coś nierealnego w tym, że szła przez miasto, gdzie nie było Niemców. Nie znała takiej Warszawy. I było coś podniecającego w tym upale, w ubraniach, które przyklejały się do ciała. A może po prostu przypominała jej się noc z Karolem?

Patrzyła, jak ludzie znoszą do piwnic łóżka polowe, pościel, stoliki, jedzenie.

Przechodząc obok jednej z bram, zauważyła na podwórku wesołe zbiegowisko. Z czego się śmieją? Musiała się przecisnąć przez tłum i stanąć na palcach, żeby zobaczyć. Cztery ogolone na łyso kobiety w podartych koszulach nocnych kopały dół. Obok na ziemi leżały trzy ciała zabitych powstańców. Co chwila ktoś podbiegał do kobiet, coś wrzeszczał albo je opluwał. Weli wydawało się, że w rozbawionym tłumie mignął jej szmalcownik, który raz zaczepił ją na Elektoralnej. Teraz trzynastoletni najwyżej chłopak na pajęczych nogach i z białoczerwoną opaską na ramieniu wydzierał się:

– *Guten Morgen!* Butem w mordę!

I każdą z kobiet po kolei kopał w tyłek.

Weli te kobiety skojarzyły się z maltretowanymi Żydówkami z getta, które widziała z okien fabryki śrub i nitów.

Pół godziny później była na Wilczej. W zdobytej dzień wcześniej trzypiętrowej kamienicy rzeczywiście stacjonował oddział powstańców. Na podwórku dziewczynki grały w klasy i śpiewały:

Ja ci buzi dam,

Ty mi buzi dasz,

Ja cię nie wydam,

Ty mnie nie wydasz.

Na klatce schodowej ta sama piknikowa atmosfera co na ulicy, tylko przyjemny chłód. Drzwi do mieszkań otwarte. Wela zaglądała do każdego z nich. Pierwszy raz widziała te eleganckie wielopokojowe mieszkania na Wilczej nie z zewnątrz. Szukała Natka. W salonie na pierwszym piętrze zorganizowano punkt sanitarny. Dwie pielęgniarki opatrywały na stole mężczyznę rannego w brzuch. W służbowce siedział chłopak z karabinem na ramieniu i czytał komiks. Ten sam, który już gdzieś widziała. *Błysk Gordon i królowa Błękitnej Magii*. W kuchni układano na parapecie worki z piaskiem. Otworzyła małe drzwi do garderoby i prawie weszła na chłopaka z dziewczyną. Całowali się na rozrzuconych na podłodze ubraniach.

Jakby zobaczyła siebie i Karola sprzed kilku godzin.

– Pukać nie umiesz? – usłyszała chłopaka.

Dziewczyna była trochę do niej podobna. Na oko Żydówka. Zakryła się cała jakimś płaszczem.

– Czego się gapisz?! – Chłopak zrobił ruch, jakby miał wstać. – Wynocha!

Dopiero na ostatnim piętrze Wela znalazła w jadalni nie tylko Natka, z którym pocałowała się pierwszy raz otwarcie przy ludziach od czasu przyjazdu ze Lwowa, ale też i resztę tarnowian, Ludwika, Gizę, a nawet Lotkę, która niedawno przyjechała do Warszawy.

Wela znowu miała wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę.

Wokół wszystko jeszcze było na swoim miejscu, nawet rodzinne fotografie z górami w tle na gzymisie kominka i talerze, które stały tu pewnie od wczorajszej kolacji.

Niemożliwe, żeby Niemcy nie chcieli po to wrócić – taką miała pierwszą myśl.

Lotka leżała na zielonej kanapie z nogami na oparciu. Czuła się tu jak u siebie. Nic dziwnego. Tarnowskie mieszkanie jej rodziców nie było wcale mniejsze ani mniej eleganckie. Nie to co pokój z kuchnią na parterze, w którym żyli Stramerowie.

Przypomniało jej się, co Hesio mówił w domu o Lotce:

– Piękna i urocza. Można się zakochać.

Sam sobie to przepowiedział i sam siebie posłuchał.

Wela widziała ich córeczkę ostatnio we Lwowie. Nos i usta miała po Hesi, zupełnie stramerowe.

Dziewczyny w Tarnowie zazdrościły Lotce nie tylko urody i powodzenia, ale też temperamentu i spontaniczności. Dalej taka była, nie zmieniły jej ostatnie miesiące ukrywania się na plebanii u dawnego szkolnego przyjaciela Hesia.

Ten przyjaciel załatwił dla małej Lidki lipne świadectwo chrztu i miejsce w ochronce u zakonnic.

Kiedy Lotka o nim opowiadała, uśmiechała się tajemniczo. A może Weli tylko się tak zdawało, bo sama na myśl o księdzu Flądrze uśmiechała się w środku.

Lotka pokazała pocztówkę ze zdjęciem córki. Słodka trzylatka mimo stramerowego nosa i ust miała dobry wygląd. Szkoda, że dziadkowie nie mogą jej zobaczyć. Aryjskość dziewczynki dodatkowo poświadczały stojące za nią dwie ponure siostry zakonne. To pewnie jedna z nich napisała dorosłym pismem na odwrocie pod znaczkiem pocztowym z Hitlerem:

Mamusiu Najdroższa,

*jak ja się cieszę, że żyjesz. Codziennie za Mamusię mówię paciorek.
Kocham Mamusię i niech Mamusia do mnie przyjedzie.*

Mamusię mocno całuję

Lidzia

Słowo „Mamusia” rozbawiło Welę. Mimo że powtarzane tyle razy, wciąż nie pasowało jej do Lotki. Ale czy „ksiądz” pasował do Flądry?

Ludwik wciągnął całe tarnowskie towarzystwo do Armii Ludowej. Brakowało tylko tego jednego, na którego chyba najbardziej liczył. Benek Laubhart zaraz po tym, jak dowiedział się o powstaniu, wsiadł w pociąg do Krakowa. Na pewno nie kierował się strachem. To nie pasowało do jego luzu i brawury.

– Kroi się niecierpiący zwłoki interes – powiedział Ludwikowi.

– Chyba niecierpiący zwłok – żartowano.

Kraków miał swoją utartą reputację. Mówiono, że jedyne możliwe powstanie w Krakowie to powstanie krakowian przeciw warszawiakom.

Te pierwsze dni w powstaniu Wela najlepiej zapamiętała. Następne zlały się ze sobą.

W sierpniu wiele razy próbowała się dowiedzieć, co stało się z Karolem Topornickim. Szukała go wśród rannych przywożonych do szpitala AK numer 104, w którym wylądowała jako pielęgniarka.

Ktoś powiedział, że „Topór” zginął w dobrym momencie. Na samym początku, kiedy jeszcze wydawało się, że wygramy. W kamienicy, którą Niemcy wysadzili na Żoliborzu. Pewnie kilka dni po ich wspólnej nocy.

Innym razem słyszała, jak chłopak, któremu odłamek urwał nogę, opowiadał, że jakiś Karol po pijaku założył się z kolegami, że wejdzie na barykadę na Starówce i zaśpiewa *Jeszcze Polska nie zginęła*.

– Rodzicom powiedzieliśmy, że zginął jak bohater. A on nie zdążył nawet dojść do *póki my żyjemy*. Od razu go trafili i poleciał do tyłu. Wygrał zakład, ale przegrał życie.

Potem Wela słyszała tę historię jeszcze kilka razy. Za każdym razem o kimś innym.

Podobnie jak tę o półprzytomnym ciężko rannym w brzuch chłopcu. Koledzy nieśli go na noszach do szpitala. Zobaczył, że z naprzeciwka idzie dziewczyna, w której kochał się jeszcze w liceum. Zawstydzony spróbował zrobić ruch ręką, żeby zasłonić genitalia. Wypadły mu z brzucha na ziemię jelita. I umarł.

We wrześniu Wela nie miała już czasu, żeby myśleć o Karolu. Przybywało rannych, ochłodziło się i zmienił się ton rozmów.

W Warszawie nie było prądu. Ale w szpitalu szybko znaleźli sposób na własną „elektrownię”. Podłączyli dynamo rowerowe do małych żarówek. W czasie operacji zawsze ktoś siedział na postawionym na stojaku rowerze i pedałowal. Kiedy operował Gramada, obok „prąd robił” Natek.

Wela przysłuchiwała się chorym w pomieszczeniu pooperacyjnym, gdzie opiekowała się pacjentami.

– Wiadomo, że nie wygramy. Ale przegrać też nie możemy – powtarzali w rozmowach zagłuszanych przez zbliżające się wybuchy.

Coraz częściej przeklinano rząd londyński, „tych londyńskich skurwysynów, którzy nas w to wpakowali”.

– Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. – Wskazywali na drugi brzeg rzeki, gdzie stała Armia Czerwona, i czytali wiersz z powstańczej gazetki:

*Czekamy na ciebie,
czerwona zarazo,
żebyś wybawiła nas
od czarnej śmierci.*

Wela myślała, że gdyby wśród rannych nie było fryzjera Rolanda, któremu amputowano prawą rękę i prawą nogę, ale pozostawiono nienaruszone poczucie humoru, o niczym innym by nie rozmawiano. Atmosfera byłaby tylko grobowa. Pacjenci ciągle prosili Rolanda, żeby coś zabawnego opowiedział, ożywił „trumienkę”, jak nazywali swój oddział.

Najlepiej o „Dziadku”.

Piętnaście lat temu na placu apelowym do ustawionych rzędem poborowych podchodził po kolei sam Marszałek Piłsudski.

– Boisz się mnie? – pytał każdego.

Stojący na baczność żołnierze posłusznie kiwali głowami. Aż Marszałek doszedł do Rolanda.

– Nie boję się – powiedział.

Piłsudski zatrzymał się. I popatrzył mu w oczy. Roland nie spuścił wzroku.

– A odważysz się pociągnąć „Dziadka” za wąsy? – zapytał.

Cały plac zamarł.

– Co było robić – opowiadał Roland ze swojego łóżka pod oknem.

Uniósł lewą rękę – pokazał teraz wszystkim na sali, jak mu wtedy drżała – i pociągnął w powietrzu za niewidzialne wąsy.

– Dla tego smarkacza – Piłsudski zwrócił się do dowódcy pułku – będzie nagroda. Za odwagę.

I poszedł dalej. A następnego dnia wieczorem dowódca wezwał Rolanda do siebie i wręczył mu srebrny zegarek z wygrawerowanym napisem:

Za odwagę.

Marszałek Józef Piłsudski

Wszyscy na sali śmiali się, niektórzy też płakali, tak ich od śmiechu bolały szwy, ale nikt chyba w tę anegdotę nie uwierzył.

No bo gdzie zegarek?

Chociaż przynajmniej dzięki Rolandowi mogli znowu pogadać o Piłsudskim. Ten temat łączył wszystkich jak pogoda. I ożywiało niezależnie od tego, w jakim byli stanie. Każdy miał o „Dziadku” coś do powiedzenia. Dobrego, złego, nieważne, na koniec zgadzali się, że Piłsudski był ostatnim prawdziwym przywódcą. Cokolwiek o nim gadać. Bo czy Hitler albo Stalin daliby się pociągnąć za wąsy?

Wszyscy przyzwyczaili się do „wściekłych krów”, niemieckich pocisków, których ryk przy wystrzale słychać było na kilka kilometrów, i przerywali rozmowy tylko na chwilę oczekiwania: w nas czy nie w nas?

Wierzono już chyba wyłącznie w cud. I Wela też wierzyła w to, że coś się stanie. W ostatniej chwili Anglicy porozumieją się ze Stalinem i nas stąd wyciągną.

Jeden jedyny Roland nie miał złudzeń. Dzień przed kapitulacją powstania, której nikt w szpitalu jeszcze się nie spodziewał, zawołał do siebie Welę.

Kiedy podeszła, złapał ją za rękę.

– Dziecko, wymień to na flaszkę.

Wela poczuła coś zimnego. Otworzyła dłoń i zobaczyła srebrny zegarek.

III

RENA

Nie widziała jeszcze chyba takiego Rudka. Załamane, a może nawet złamane? Jej starszy brat był zgarbiony, mówił cicho i niewyraźnie. Przyszedł do niej wieczorem, po pracy w szkole, żeby uszczelnić okna i drzwi.

Zawsze coś siostrze przynosi. Teraz też po drodze zahaczył o bazar i dostała owiniętą w „Prawdę” zamrożoną kostkę mleka. Mniej więcej dwa kilo.

Sprzedawcy kroją je nożami z większych brył.

Rena przy odpakowywaniu zerknęła na pierwszą stronę, gazeta była z poprzedniego tygodnia (30 września 1943), mignęło jej słowo „Polsza”. Przeczytała kilka linijek o „rządzie” londyńskim i jego prowokacyjnej, ordynarnej współpracy z hitlerowcami.

Dopiero październik, ale w Stalińsku zima już na całego, dlatego Rudek nie zdjął nawet waciaka.

A Rena wciąż była w pokrytym brezentem żółtawym futrze i szarych wołokowych walonkach – niedawno otrzymała talon na zakup w sklepie obu części garderoby i niechętnie się z nimi rozstawała. Niestraszna już jej była zima. Cały komplet za sześćset rubli, na bazarze zapłaciłaby za to samo co najmniej sześć tysięcy.

Jutro z przedsiębiorstwa drogowego, w którym pracuje, ma jeszcze przyjść szklarz i wymienić pękniętą szybę. Nie ma daleko, bo Rena mieszka w przyfabrycznym budynku dla pracowników.

Dawniej – w Tarnowie czy w Krakowie – ale też całkiem niedawno – we Lwowie – Rudek był głośny, wszędzie go było pełno. Czy już taki nie będzie? – zastanawiała się Rena.

Patrzyła, jak jej brat siada przy stole tak, jakby nie chciał zajmować sobą miejsca.

Dawniej Rudek znajdował słowa, żeby ją pocieszyć. Jak dwa lata temu we Lwowie, kiedy straciła dziecko. Przypomniał jej, że ich

mama też straciła pierwszego syna, Kubę, a potem przecież urodziła jeszcze szóstkę Stramerów.

Teraz to Rena chciała jakoś pocieszyć Rudka. Ale jak pocieszyć i wesprzeć tego, który zawsze wspierał i pocieszał innych?

Zacząła mu opowiadać o oddaniu nowego odcinka drogowego, za który była odpowiedzialna.

– Terminu dotrzyaliśmy.

Rudek pokiwał głową w czapce uszance.

– Za co robotnicy i ja otrzymaliśmy wysokie premie.

Kiedyś w Tarnowie powtarzał, że tak jak nie chodzi do synagogi, tak nie chodzi na Górę Świętego Marcina na „komunistyczne modły”.

– A wy sobie wierzcie, w co chcecie – mówił rodzeństwu. – Nie musicie mnie prosić o pozwolenie.

Przypomniał jej się dowcip, który wtedy opowiedział. Ciekawe, czy on go jeszcze pamięta?

Przychodzi młody Żyd do rabina.

– Rebe, czy ja mogę zgolić brodę?

– Nie, nie możesz.

– A przecież rebe sam zgolił sobie brodę.

– No, zgoliłem, ale nikogo o to nie pytałem.

Na pytania, w co w takim razie on sam wierzy, Rudek uśmiechał się i odpowiadał rodzeństwu, że „w siebie i w was”.

A teraz? Milczy. Ma wszystkiego dosyć i w nic nie wierzy? Czy boi się własnej siostry? Że doniesie?

Ostatnio trzech nauczycieli z jego szkoły – geografa, biologa i historyka – zesłano do łagru. Za paserstwo. Mieli po pracy sprzedawać na bazarze kradzione towary. Ale Rudek nigdy ich tam nie widział. Równie dobrze ktoś mógł donieść, że są japońskimi szpionami. W pokoju nauczycielskim teraz wszyscy unikają się nawet wzrokiem. A kiedy wchodzi *wojenruk*, od przysposobienia wojskowego i gimnastyki, milkną.

Uczniowie na lekcjach nigdy nie są tak cicho.

– Co tam w szkole? – pyta Rena.

– Normalnie – mówi Rudek. – Po staremu.

I na jej wciąż pytające spojrzenie dodaje:

– Czyli gorzej niż kiepsko.

Rena kręci głową. Mógłby przynajmniej raz odpowiedzieć jak ich ojciec w Tarnowie.

– Jest dobrze, ale nie beznadziejnie.

Ona ostatnio często to sobie powtarzała. I że jak nie jest źle, to jest dobrze. Tak łatwo się nie podda. Pozbierała się po śmierci Władzia i po rozstaniu z Mieczysławem. Otarła łzy, zakasała rękawy, podniosła się i właściwie ustosunkowała do nowej pracy. I proszę, jaką charakterystykę wystawił jej dziś sekretarz organizacji i przewodniczący komitetu związkowego w ich zakładzie:

Towarzyszka Stramer Rena w 1941 przyjechała dobrowolnie do Stalińska (Syberia). Zaczęła od pozycji laborantki, później starszej laborantki, obecnie pracuje na stanowisku kierowniczkii laboratorium. Cieszy się szacunkiem robotników. W okresie jej pracy organizacja związkowa oddziału Dalstroj objęła 100% pracowników. Towarzyszka jest aktywną uczestniczką zajęć politycznych mających na celu studiowanie książki towarzysza Stalina „O wielkiej wojnie ojczyźnianej Związku Sowieckiego” oraz historii WKP(b). Jest ponadto członkiem komitetu związkowego, przewodniczącą komisji kulturalnej, sekcji imprezowej oraz redaktorem gazetki ściennej.

Rena wysła tę podstemplowaną opinię do Hesia do Moskwy z dopiskiem: *Henryku, nie przyda Wam się czasem w nowej polskiej armii taka dzielna towarzyszka?*

Rudek mógłby wziąć z niej przykład. Trochę bardziej się przyłożyć i zaangażować, zamiast narzekać. Choćby dla własnego spokoju.

Dobrze, że przynajmniej nie buntuje się, jak na początku, kiedy ciągle powtarzał, że wylądowali i utknęli na tym cholernym końcu

świata. To był refren każdej ich rozmowy. A gdzie jest początek świata? – miała ochotę zapytać, ale bała się go rozdrażnić. Bała się jego głośnej reakcji. W Stalińsku ściany mają uszy.

Powiedział jej już przecież, że wszystko go tu denerwuje. Nawet obiady w szkolnej stołówce. Wciąż barszcz czerwony z ziemniakami i kawałek duszonego mięsa z kaszą jaglaną.

– Od roku codziennie dają to samo. A na stole ta sama śmierdząca starą szmatą cerata.

Nie odpowiedziała: Ciesz się, że masz co jeść.

Rudek pisał wtedy jeszcze często do Hesia do Moskwy, żeby ich stąd wyciągnął. Też był wściekły na brata, ale umiał pohamować pióro. Pisał eleganckim stylem, było nie było, filologa klasycznego:

Nie wątpię, że gdybyś się wziął do tej sprawy tak, jak należy, to na pewno będzie ona pomyślnie załatwiona. Zgodnie z Twoją obietnicą. Pamiętaj – Dicere non est facere. Dlatego też ponownie Cię proszę, byś o nas nie zapomniał i uczynił wszystko, co w Twojej mocy, abyśmy mogli wkrótce do Ciebie dołączyć.

Ale Hesio nie odpisał.

Wojna wywróciła hierarchię rodzinną. Ten Hesio, który razem z braćmi w Tarnowie jak cień naśladował we wszystkim starszego brata, teraz nawet nie odpowiadał mu na listy.

Renę też na samą myśl o tym brała złość.

Ten sam Hesio, któremu Rudek przed wojną przez syna sędziego załatwił łagodny wyrok za komunizowanie! Jak się wkrótce okazało, niepotrzebnie, bo Hesio uciekł strażnikowi przed rozprawą. Od tego zresztą zaczęła się jego rewolucyjna legenda. On jest nieprzewidywalny. To się akurat, niestety, nie zmieniło.

Podobnie jak jego spóźnienia, które przykrywał urokiem.

Już w Tarnowie notorycznie wpadał na zebrania piętnaście–dwadzieścia minut po czasie, co – jak wiadomo – „nic nie znaczy wobec wieczności”.

Tę „całą wieczność” czekali na odpowiedź z Moskwy.

Ale do kogo innego mają, do cholery, pisać, żeby się stąd wyrwać, jak nie do rodzonego brata, majora Henryka Webera, który organizuje w Moskwie polską armię? W ostatnim liście, z 17 maja, dzielił się z rodzeństwem „radosną nowiną” i cytował słowa Stalina:

„Rząd Radziecki postanowił zadośćuczynić prośbie Związku Patriotów Polskich w sprawie utworzenia na terytorium ZSRR polskiej dywizji im. Tadeusza Kościuszki”.

Opisał, jak całymi nocami pracują nad tym w mieszkaniu Wandy Wasilewskiej, w wysokim bloku nad rzeką Moskwą.

Istny szal. Pracujemy jak w transie. Trzeba wszystko wymyślać od początku. Od szkiców polskiego munduru dla fabryk odzieżowych, przez miejsce formowania armii, po plany mobilizacji polskiej ludności z terenów całego Związku Radzieckiego.

Ten ostatni punkt dawał Renie i Rudkowi nadzieję.

– Mogę i wstąpić do armii – powiedział Rudek. – Byle się stąd wydostać.

Od razu odpisali bratu, że oboje z Reną zgłaszają się na ochotnika i *pałają chęcią, by ramię w ramię z Czerwoną Armią pogonić przeklętych hitlerowców.*

Liczyli na natychmiastową odpowiedź i przepustkę na wyjazd. Potem zaczęli przekonywać się nawzajem, że może ich list przepadł gdzieś po drodze. To w końcu ponad trzy tysiące pięćset kilometrów. Ale czy mogły też przepaść cztery następne? A może Hesio zmienił adres? Albo wyjechał już z Moskwy?

Odezwał się dopiero na początku września. Ani słowa o ściągnięciu ich do armii, w ogóle ani słowa. Przesłał tylko trzy książki: *Jak hartowała się stal Ostrowskiego, Matka Gorkiego, Zorany ugór Szołochowa.*

Przynajmniej jakiś znak życia.

Czy każdy z nas, z rodzeństwa Stramerów, jest taki, jak się urodził? Czy charakter to los? – zastanawiała się Rena. – Czy jednak byt kształtuje świadomość, jak sama do znudzenia powtarzała na zakładowych zebraniach?

Odpowiedzi nie musiała szukać daleko. Najbardziej przekonujący dowód siedzi teraz smętnie przy jej stole.

Rena naląła Rudkowi i sobie po kieliszku wódki.

– *Mazeł tow* – powiedział Rudek. – Zdrowie Stramerów.

– *Zdorowje!* – Stuknęła się z bratem.

W Tarnowie rodzice pili co najwyżej raz w tygodniu, od święta, czerwone wino. Odwrotnie niż jej Mieczysław, który chyba tylko od święta był trzeźwy, co często kończyło się tym, że Rena w nocy dopijała resztki z dna butelki, żeby rano znowu po nią nie sięgnął. Nawet do sądu szedł napity, bo „po kielichu mam najlepsze przemówienia”.

Tu w Stalińsku mówią, że tylko tak się można rozgrzać. Wódka jest najlepsza na mróz.

Na zebraniach agitatorzy opowiadają, że jak Napoleon napadł na Rosję, to też szedł w głąb kraju, zdobył nawet i spalił Moskwę, ale potem i tak przegrał. Z Hitlerem będzie tak samo. Rosja jest wielka, naród bitny, mróz nam pomoże.

Rena piła prawie co wieczór, jeden–dwa kieliszki. Więcej, kiedy wpadali znajomi Polacy. Piotrek przynosił patefon, Janek płyty. Nawet Rudek się ożywił, kiedy brał w ramiona Lizę i ćwiczyli kroki. Po pijaku uczyli się tańczyć, wpadali na siebie, przewracali, lądowali na tapczanie.

Rena przedtem tańczyła głównie z własnym odbiciem w lustrze. (Nigdy z Mieczysławem, który się wstydził). I jeszcze trzymając ich małego Władzia na rękach. To właśnie sobie przypominała, kiedy tańczyła kolejno z Jankiem i Piotrkiem.

Jej najpiękniejsze wspomnienia.

Kończyli często po dwunastej w nocy. Sąsiad z dołu walił szczotką w sufit, a goście byli tak pijani, że z trudem trafiali w drzwi. Potem Renie zdarzało się – jak dawniej z Mieczysławem – dopijać resztki tego, co zostało w butelkach.

Czasem Piotrek jeszcze wracał, zawsze pod pretekstem, że czegoś zapomniał. Patefonu, czapki, rękawiczek. Jeśli nie miała na to ochoty, podawała mu rzeczy, które specjalnie zostawił – żeby nie miał już po co wracać.

Raz, jak wszyscy sobie poszli i była pewna, że zostanie sama, dalej miała ochotę tańczyć. Oparła głowę o framugę drzwi, złapała z obu stron za klamkę i tak się bujała, tak tańczyła.

Myślała o *Czekaj na mnie*. Dziewczyny w laboratorium tyle opowiadały o tym filmie – że jest na czasie i jakby właśnie o nich – że Rena poszła do kina.

To była opowieść o dwóch przyjaciółkach, których mężowie poszli na front, jak się w Stalińsku mówi – do miasorubki, czyli maszynki do mielenia mięsa.

Pierwsza zapomina o mężu, druga czeka. Mąż pierwszej wraca, dowiaduje się o jej zdradzie, idzie na pewną śmierć i ginie. Jego żona rozpacza, że zawsze go kochała. Ta scena rozjuszyła publiczność w zmarzniętej, zadymionej sali. Niektórzy wyzywali płaczącą na ekranie aktorkę od kurew, ale Rena ją rozumiała i też miała łzy w oczach.

Druga kobieta – oczywista – czeka i czeka, i wreszcie doczekuje się powrotu swojego drogiego męża.

W laboratorium ogólna sympatia była oczywiście po jej stronie. Nikt otwarcie nie współczuł pierwszej. A przecież była młoda, piękna i wesoła. Tylu starających się, wspaniałych mężczyzn krążyło wokół niej. Na początku była nieugięta, ale po kilku miesiącach bez żadnych wieści od męża złamała się.

Rena też na wszelki wypadek nie mówiła, co sama czuje. Bo co sobie jeszcze o niej pomyśla? I powiedzą.

Jej zdaniem w filmie brakowało trzeciej kobiety. Takiej jak Maria z laboratorium, starsza laborantka. Też czekała i czekała, aż jej mąż Grisza wróci z miasorubki. I w zeszłym tygodniu dostała powiestkę,

że Grigorij Władimirowicz Gromow poległ bohaterską śmiercią za ojczyznę.

Takich kobiet nie tylko w Stalińsku jest chyba najwięcej.

Czy Rena tęskniła za Mieczysławem? Na pewno nie za tym pijakiem, który nie chciał wyjechać razem z nią i z Rudkiem ze Lwowa, kiedy wchodzili tam już Niemcy. Ale na pewno tęskniła za przystojnym adwokatem, jednym z pierwszych klientów rodzinnej kawiarni U Stramerów w Tarnowie.

Przyniosła mu wtedy wodę do stolika.

Tyle że tamtego pierwszego Mieczysława już dawno nie było. Podziękował za wodę, założył kapelusz i wyszedł. Tylko Rena wciąż w myślach podawała mu tę wodę.

Ta droga z kuchni do stolika przy oknie, z tacą w ręku, na której drżała pełna szklanka, zmieniła jej życie. Sześć kroków po skrzypiącej podłodze pociągnęło za sobą prawie dziesięć następnych wspólnych lat.

Odtwarzała je sobie często w głowie. Trzy kroki do przodu i trzy do tyłu. Tam i z powrotem. Dziesięć lat tam i z powrotem.

To był piękny letni dzień.

Po wyjściu mecenasa Zawadowskiego wróciła do kuchni. Patrzyła na Rywkę przy garach, przygotowującą flaki i gęsie pipki, a potem przez okno na Nathana, który grzał się w słońcu przed kawiarnią, pod szyldem z własnym nazwiskiem. Pewny, że wreszcie po tylu latach znalazł się na właściwym miejscu.

A Rena z kolei była pewna, że kobiecie nic gorszego nie może się w życiu trafić niż ciężka praca w kuchni i mąż szef opalający się w tym czasie.

Tamtego lata rzeczywiście wydawało się im, że świat nie ma ważniejszych spraw i większych problemów niż kawiarnia U Stramerów.

RUDEK

Rena patrzyła przez pękniętą szybę w oknie na śnieżne zasy, przez które przedzierał się ludzie. Na podobne do siebie białe domy i białe

ulice.

Dopiero po chwili zauważyła odbicie kuchni i Rudka, który po wódce spał na siedząco, zwiesiwszy głowę w czapce uszance.

Spojrzała na zegarek. Jej brat za godzinę ma ostatni tramwaj, który zawiezie go pod szkołę. Niech jeszcze chwilę odpocznie. Mieszka od niedawna w pomieszczeniu gospodarczym przy szkolnej szatni i kotłowni. Wstawili mu tam łóżko polowe z pierzyną.

– Nie muszę się już przykrywać na noc szafą – opowiadał.

Rudkowi śnił się teraz Tarnów. Poszedł do rodziców na Goldhammera 20. Pukał i wołał:

– Mamo! Tato! Róża!

W końcu kopnięciem wyważył drzwi. Ale w środku nie było nikogo.

Wyskoczył przez okno na podwórko, minął komórkę na węgiel i poszedł w stronę rynku. Wszystkie kamienice z secesyjnymi zdobieniami stały na swoim miejscu. Tak jak w 1939 roku, kiedy widział je ostatni raz.

Patrzył na elegancko ubranych ludzi. A może byli ubrani zwyczajnie, tylko w Stalińsku odwykł od widoku mężczyzn w letnich trzyczęściowych garniturach, w koszulach z miękkimi kołnierzykami i w wypastowanych półbutach, a kobiet w sukniach w kwiaty, w kapeluszach i na obcasach.

W Stalińsku nosiło się szare workowate ubrania, przypominające plandeki wojskowych ciężarówek, które przejeżdżały przez miasto. Miały chronić przed zawieruchą, wiatrem, śniegiem.

Sam ubrany był jak przed zaśnięciem. Tak jak przyszedł do Reny. Na cebulkę. Koszula, sweter, waciaczek i czapka uszanka. Najcieplej ze wszystkich na ulicy Wałowej w Tarnowie.

Z Wałowej skręcił w Krakowską. Sklepy i kawiarnie działały normalnie. Były pełne jak dawniej. Rudek zaglądał do środka, jakby kogoś szukał. W swoim czasie znał w Tarnowie wszystkich, których należało znać. Gościł w mieszkaniu wiceburmistrza, bo z jego synem się przyjaźnił. I był po imieniu z gangsterami z Grabówki.

Tę starą dzielnicę żydowską zawsze zapelniali chałacciarze. Teraz nie widział tu ani żydowskich sklepów, ani ulicznych handlarzy, ani nawet żebraków.

Gdzie oni wszyscy są? Gdzieś na pewno.

Tak kiedyś odpowiadał na denerwujące pytania najmłodszego brata, Nuska.

– Rudziu, co robisz?

– Coś na pewno.

– Gdzie idziesz?

– Gdzieś na pewno.

Teraz też tak było.

Na placu Rybnym, gdzie przed wojną zbierali się żydowscy tragarze i ich herszt Anszel Koszcz, zobaczył bramę z napisem MUZEUM.

To tutaj szedł.

Drogę zagroził mu strażnik.

– Bilet poproszę.

– Nie mam – odpowiedział Rudek.

– Trzydzieści rubli.

Rudek sięgnął do kieszeni waciaka po portfel i dał mu czerwońca.

Strażnik odsunął się i Rudek zobaczył schody do piwnicy. Z biletem w ręku ostrożnie zszedł na dół. Oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. O mało nie potknął się o nogi handlarza starzyznę, który rozłożył swoje towary w podziemnym korytarzu.

Teraz poczuł dawną Grabówkę. Żebak z siwą brodą szarpnął go za nogawkę.

– Puszczaj, człowieku!

Rudek wyrwał się i zaraz zszedł z drogi niosącemu kredens Anszelowi Koszczowi. Przepuścił też gazeciarzy, którzy biegli z „Tygodnikiem Żydowskim”. Zobaczył grupkę chłopców prowadzonych przez mełameda do chederu. Mełamed szarpał ich za

uszy, jak Rudka w dzieciństwie. Niereligijni Żydzi patrzyli na nich z niesmakiem, jedząc sznytki z szynką w ogródku restauracyjnym hotelu Soldinger.

Czy oni też byli tylko zwiedzającymi?

Wszystkie żydowskie sklepy, restauracje i kawiarnie działały tu jak przed wojną. W żadnej witrynie ani na żadnym ramieniu nie zauważył żółtej gwiazdy.

Ta sama co zawsze banda kieszonkowców ruszyła za pijanym właścicielem kantoru, który wytoczył się z baru.

Czy to też na użytek zwiedzających podziemne muzeum? Czy naprawdę zaraz go pobiją i obrobiją na użytek własny?

Rudek z daleka zobaczył syna wiceburmistrza w smokingu, który ojciec przywiózł mu z Paryża na trzydzieste urodziny (Rudek był na tych urodzinach w hotelu City). Pomachał mu, ale Daniel go nie zauważył. Może też był żywym eksponatem? Jak inni znajomi, którzy nie reagowali na jego pozdrowienia.

Kolega ze szkoły, Romek Brandstaetter, szedł z zeszytem w rękę i powtarzał, że boi się kary, bo zapomniał odrobić lekcje. Fryzjerka Antosia stała zamyślona za firanką zakładu. Fotograf Chaskiel Bronstein nawet tu biegał z aparatem na szyi.

Rudek ucieszył się. Skoro wszyscy tu są, to na pewno znajdzie też swoją rodzinę. Ale gdzie ich szukać? Widział już na końcu korytarza szyld: U Stramerów, i łysinę stojącego pod nim ojca, kiedy Rena trąciła go łokciem i wrócił do Stalińska.

– Wstawaj – powiedziała. – Musisz iść.

W pierwszym odruchu chciał jej to wszystko opowiedzieć. Ale najpierw sięgnął do waciaka po portfel. Trzydzieści rubli było na swoim miejscu. Na zdziwione spojrzenie Reny (bo kto niby miałby go okraść, kiedy spał? Rodzona siostra?), która zarzuciła mu ostatnio, że w Związku Sowieckim ogarnęła go mania prześladowcza, odpowiedział:

– Mam na bilet.

Jestem trzydzieści rubli do przodu – pomyślał.

Rena patrzyła przez okno, jak zgarbiony idzie zaśnieżonym chodnikiem na przystanek. Ślady jego wołokowych walonek momentalnie przykrywał śnieg. Nikt nie odśnieża chodników, kiedy pada, bo po co? Dozorcy czekają, aż przestanie, i dopiero wtedy wychodzą z łopatami.

Rena obserwowała go przez szybę do chwili, kiedy przyjechał tramwaj i Rudek wszedł.

A pół roku później Hesio Stramer, czyli major Henryk Weber, ściągnął ich do polskiej armii.

HESIO

Nic nie zapowiadało, że tego dnia się zakocha. Nikt by tego nie wymyślił w żadnej książce czy filmie, do tego wojennym.

Nie tu i nie teraz.

Hesio mógłby dać słowo, że o tym nawet nie myślał.

Wrócił do Polski w mundurze Pierwszej Armii jako major Henryk Weber. Nie było go tu przez pięć lat. W tym czasie żył – we Lwowie, w Moskwie, w Sielcach – z wieloma kobietami.

Dłuższe i krótsze historie. Ze zdecydowaną przewagą tych drugich.

Od wczoraj z praskiego brzegu patrzył, jak pali się Warszawa. Płomienie najlepiej było widać w nocy. Miasto wyglądało jak gigantyczne ognisko. Nad ranem widział głównie gęsty dym. *Spowite w dymach miasto* – tak opisze ten widok w „Żołnierzu Wolności”. Wciąż słyszał walenie moździerzy i terkoty karabinów maszynowych, które niosły się po Wiśle.

Przyzwyczał się do prymitywnych komentarzy towarzyszy z armii: „donżuan z pol-wychu”, „pies na baby”, „jebaka”, „żadnej nie przepuści”. To było i tak najłagodniejsze, czego dowiedział się na swój temat. Nienawidził tych żenujących określeń.

Dym szczypał go w oczy i dusił w gardle, ale jak wszyscy żołnierze wokół nie mógł oderwać wzroku od palącego się miasta. Mieszkał tu przed wojną i pamiętał, jak narzekano, że Warszawa jest brzydka, ciasna, śmierdząca. Powtarzano: wstyd. Jako przyjezdny, chłopak

z prowincji, nie widział tego i nie czuł, ale przytakiwał warszawskim światowcom: tak ma wyglądać stolica europejskiego państwa?

No to już nie wygląda.

Na „męskie” komplementy towarzyszy Hesio reagował wymuszonym, krzywym uśmiechem i kiwaniem głową. W wojsku jak wszędzie lepiej się zgadzać, zwłaszcza z zawistnymi przełożonymi.

Każdy jego związek na początku wydawał się wyjątkowy, a kończył zwyczajnie. Najpierw zakochiwał się i fantazjował o romansie, po to żeby po kilku tygodniach, czasem miesiącach bycia razem zacząć równie intensywnie fantazjować o rozstaniu.

To, co najbardziej pociągało go na początku, pod koniec było nie do wytrzymania. Ta druga, końcowa faza często nakładała się na pierwszą, ale oczywiście już z inną kobietą. Martwił się, że jego życie miłosne już zawsze będzie tak wyglądało. Że nie wydostanie się z błędnego koła.

Widział pod Lenino żołnierzy, którzy biegli do ataku z niewytłumaczalną wiarą w zwycięstwo. Zapamiętał zwłaszcza jednego, którego bohaterstwo opisał w „Żołnierzu Wolności”. Dostał w rękę, wstał i biegł dalej. Dostał w bok, wstał i biegł dalej. Wybuch odrzucił go na trzy metry. Wstał, poprawił hełm i dalej...

Hesiovi jego życie miłosne, a raczej erotyczne, coraz bardziej przypominało taki irracjonalny bitewny szal.

On też tak biegł. Jak na trzydziestosześcioletka nieźle wyglądał i instynkt gnał go do przodu, ale ile można?

Po kolejnych rozstaniach zostawał z niewygodną myślą, że to nie z kobietami, ale z nim jest coś nie tak.

Przed czym uciekam? Przed strachem? Przed śmiercią?

Szukał dla siebie usprawiedliwienia, ale przecież przed wojną było tak samo. Jako „zawodowy rewolucjonista” ciągle był splekany i podrywał dziewczyny na kolekcję biletów tramwajowych. Zapraszał je do pokoiku, który wynajmował na Grochowskiej, na jej oglądanie. Na tyle go było stać. Do czasu, aż poznał bogatą wdowę i przeprowadził się do Śródmieścia.

Towarzyszom nie podał swojego nowego adresu. Wstydził się.

Wczoraj, patrząc na Warszawę w płomieniach, przypomniał sobie, jak w zimie co wieczór palili w kominku w salonie. Ciekawe, co u niej? Czy coś zostało z jej wytwornego mieszkania w alei Róż?

Można je było ocalić, podobnie jak całe miasto.

Kilku żołnierzy wczoraj nie wytrzymało i skoczyło do Wisły. Popłynęli wpraw, żeby pomóc powstańcom. I to mimo piętnastominutowych pogadek, które co rano wygłaszał dla całego oddziału. Powtarzał, że wybuch powstania nie był uzgodniony ze Związkiem Radzieckim. I że tak naprawdę powstanie jest skierowane przeciwko Rosjanom, a nie przeciwko Niemcom, którzy są już w odwrocie.

Jak widać, nie posłuchali go.

– Rząd londyński kazał warszawiakom chwycić za broń, bo nie chciał, żeby Armia Czerwona wyzwoliła Warszawę. I rząd londyński ponosi za to odpowiedzialność. – Major Henryk Weber pokazywał na dymiące po drugiej stronie rzeki zgliszcza. – Politykierstwo Londynu kosztowało życie tysięcy Polaków. I zniszczyło naszą stolicę niemieckimi rękami.

A powstańcy? – zastanawiał się Hesio. To tylko marionetki. Pewnie dzisiaj, gdyby mogli, cofnęliby czas.

Dywizja ma teraz rozkaz: czekać.

– Do kiedy? Do ich usranej śmierci? – pytają go co odważniejsi i też pokazują na drugi brzeg.

Wiadomo, że żołnierz nieużywany się psuje. Po dywizji krąży tysiące dowcipów. Obłączą ich jak wszy. Usłyszał przypadkiem jeden dziś rano, kiedy szedł na śniadanie. Może specjalnie przy nim powiedzieli go głośniej?

Stoi dwóch facetów. Podchodzi trzeci. Pierwszy z nim chwilę rozmawia, potem trzeci odchodzi. Wtedy drugi pyta:

– Kto to był?

– Rabinowicz.

– To widzę, ale jakie nazwisko?

W Związku Radzieckim antysemityzm był zakazany ustawowo, ale co są warte ustawy, Hesio przekonał się na własnej skórze. Jak nawet rodzzonego brata i siostry przez prawie rok nie mógł ściągnąć do armii. Wstydział się im napisać, o co chodzi, że w kraju robotników i chłopów też stosuje się kryteria rasowe.

Ilu ludzi tłukło się po kilka tygodni pociągami do Sielc nad Oką, żeby zaciągnąć się do polskiej armii. A potem rozpaczało na stacji kolejowej, że przez nazwisko ich nie przyjęto.

Hesio sam po cichu doradził jednej dziewczynie, którą poznał na dworcu, żeby wróciła następnego dnia wieczorem i przedstawiła się jako Kowalska. Zadziałało. Spotykał się z nią później, kiedy była już w kompanii fizylierek.

Nie napisał też Rudkowi i Renie, że w polskiej armii najbardziej pożądanymi żołnierzami są „fryce”. Byli wehrmachtowcy wzięci przez Armię Czerwoną do niewoli. Doskonale wyszkoleni. Rozważni, odporni na stres. Głównie Ślązacy, nie muszą ukrywać pochodzenia, w ich przypadku wystarczy, że rozumieją po polsku. To jedyne kryterium.

Resztę Polaków ściągnięto w większości z łagrów. Po tym, co tam przeszli, nie było pewne, kto jest ich prawdziwym wrogiem. Czy bardziej nienawidzą Ruskich, czy Niemców? Raz po szkoleniu dla świeżo przybyłych do Sielc usłyszał:

– Jak już dostanę karabin, to tych Ruskich skurwysynów powystrzelam.

Hesio dał znać komu trzeba i więcej go nie zobaczył.

Niektórzy nawet bez szkolenia trafili prosto pod Lenino. Wczoraj jeszcze w łachmanach, dziś w mundurze i z karabinem w rękę. Zdezorientowani, zagubieni na polu bitwy. Do tego Niemcy nadawali w ich kierunku z wielkich głośników *Mazurka Dąbrowskiego*. Hesio z okopów widział przez lornetkę takich, którzy na widok nieprzyjaciela ze strachu od razu podnosili ręce. To była masakra. Jedna trzecia Dywizji Kościuszkowskiej tam zginęła, resztę Wanda Wasilewska uratowała jednym telefonem.

Sama opowiedziała o tym Hesiowi.

– Czego się czepiacie? – Stalina zdziwiły jej pretensje. – Zawsze tylu ginie.

– Dobrze, ale tych nie macie kim zastąpić – odpowiedziała. – Nie macie już więcej Polaków w Sojuszu.

I Stalin rozkazał ich wycofać. A po Lenino nawet zaczął Polaków oszczędzać, żeby mu starczyli na dłużej. Do walki trafiali rzadko i raczej przypadkowo.

Hesio od początku miał wrażenie, że nikt w tej armii nie był zadowolony. Wyczuwał nieufność dowództwa do żołnierzy i wrogość żołnierzy do dowództwa. Załagodzić tę sytuację miały obowiązkowe msze polowe i ściągnięty specjalnie do armii ksiądz Kubsz, który nie tylko redagował katolicki dodatek „Bóg i Ojczyzna” do „Żołnierza Wolności”, ale okazał się też świetnym dentystą.

Do tego dochodziły napięcia między samymi komunistami. Ocalali z czystek kapepowcy nie mogli zrozumieć, dlaczego *Międzynarodówka* nie jest już hymnem ZSRR. Nie podobał im się popierany przez młodszych, pragmatycznych towarzyszy odwrót Stalina od internacjonalizmu. Młodzi przekonywali, że tylko tak uda się wygrać wojnę, którą nazwano przecież „ojczyźnianą”. Hesio uważał, że jedni i drudzy mają swoje racje, i zgadzał się z tymi, z którymi akurat rozmawiał.

Sam skład Pierwszej Armii, w której oni wszyscy byli na siebie skazani, zmienił się w mieszankę wybuchową.

Czy tak ma wyglądać przyszła Polska? Na pewno nie tylko Hesio zadawał sobie to pytanie.

W rytmie tych napięć i wzajemnych donosów szli śladem nacierającej Armii Czerwonej, mijając po drodze dziesiątki trupów, które za sobą zostawiała. Głównie niemieckich, bo swoich rosyjskie służby pogrzebowe od razu usuwały, a ich rodzinom przesyłały „powiestki” z niezmienną formułką i wskazaniem miejsca pochówku.

Hesioowi opatrzył się widok zwłok. Były częścią krajobrazu, jak drzewa, a raczej lasy.

Jedne tylko wracały mu w snach. Skulony trzylatek z kulą w czole. Znaleźli go na linii frontu pod Magnuszewem i w milczeniu

pochowali.

Gdyby miał dziecko, byłoby pewnie w tym wieku. Ale czy miał? Syna czy córkę? Nie wiedział. Nie wiedział nawet, co stało się z Lotką. Co zdecydowała? To była jego szkolna miłość jeszcze z Tarnowa. Nie tylko w łóżku przewyższała go pomysłowością i temperamentem. We Lwowie znowu się związali i znowu go rzuciła. Ale tym razem była w ciąży. Pewnego dnia po prostu powiedziała, że zakochała się w innym i że wyjeżdża. I żeby się tym – dotknęła brzucha – nie martwił.

Na drodze ich dywizji trafiały się czasem niemieckie niedobitki i Hesio razem z innymi oficerami pilnował, żeby ich nie zabijano. Wiadomo, że zabić jeńca na wojnie to marnotrawstwo. Niemieccy jeńcy są cenni, bo to „języki” – mają informacje o swojej armii, od razu przekazuje się ich radzieckim służbom informacyjnym. Ale chęć zemsty bywała silniejsza i nie zawsze się udawało.

Kilka dni temu sam widział, jak dwóch żołnierzy złapało w lesie własowca. Nie dość, że faszysta, to jeszcze Ruski. Wszystko, czego żołnierze najbardziej nienawidzili. Hesio wolał nie interweniować. Dla tych chłopaków przecież pułkownik Henryk Weber też nie był do końca „swój”.

– Oszczędźcie mnie, towarzysze – błagał własowiec po rosyjsku.

– Wilk w lesie to twój towarzysz! – Młody sierżant strzelił mu prosto w oko.

Hesio tylko raz prawie został ranny. I to nie przez Niemców czy leśne bandy.

To było w maju. Przez trzy tygodnie stacjonowali pod pewnym miasteczkiem. Żołnierze chodzili do wsi na nabożeństwa. Hesio i Wiktor, który był jego przełożonym i głównym wykładowcą pułku, mieli za zadanie dopilnować, żeby nie zdezerterowali po drodze.

Stosunki z miejscowymi od początku były przyjazne i szybko stały się wódczano-bimbrowe. Dzięki pułkownikowi Parnikowi, inżynierowi chemikowi, który miał ze sobą odpowiedni sprzęt, na wypadek gdyby Niemcy zaatakowali ich gazami bojowymi. Parnik skonstruował na tyłach chaty, gdzie stacjonował, małą destylarnię. Cała wieś przychodziła tam z własnym, śmierdzącym bimbrem

z buraków cukrowych, a on przerabiał go na normalny, zdatny do picia alkohol.

Chyba dlatego chłopci zaprosili ich na wesele. Tyle że Hesio nie zdążył nawet wypić za zdrowie młodej pary. Wiktor wcisnął się na miejsce obok niego na długiej drewnianej ławie, ale zapomniał, że ma w tylnej kieszeni mundurowych spodni pistolet. Tetetka wypadła mu na ziemię. Ta ładna i nowoczesna półautomatyczna broń ma jedną poważną wadę. Gównem wart bezpiecznik. Wystarczy, że o coś uderzy, i mimo zabezpieczenia strzela. Na weselu huknęło kilka centymetrów od Hesia. Kiedy otworzył oczy, Wiktor zwijał się już na ziemi.

Kula przestrzeliła mu jądro.

Wiktor przed wojną był jednym z tych warszawskich światowców, narzekających na swoje miasto. Mimo że działał w partii, pozował na angielskiego lorda. Palił fajkę, na tweedową marynarkę zarzucał prochowiec, a wchodząc na zebranie, lubił wtrącać po angielsku:

– Serwus, towarzysze, *how do you do?*

Hesia ten zwyczaj szczególnie drażnił, bo przypominał mu ojca, Nathana Stramera, który od czasu powrotu z Nowego Jorku do Tarnowa ciągle rzucał coś niezrozumiałego po amerykańsku.

Wiktor akurat nigdy nie był w Anglii i tak naprawdę miał na imię Izaak. Przed wojną łączyło go z wojskiem tyle, co Hesia, utrzymywał się z tłumaczenia angielskich książek dla dzieci.

W armii jako główny wykładowca pułku znacznie częściej niż po angielsku mówił po rosyjsku, zwłaszcza w codziennych rozmowach z towarzyszami z NKWD.

Z dawnych czasów zostało mu tylko palenie fajki.

Hesio odwiedzał cierpiącego przełożonego w szpitalu polowym. Przynosił dobry turecki tytoń z dodatkowych racji dla oficerów (za każdym razem można było wybrać między tytoniem a pudełeczkiem czekoladek „Miszka kosołapyj”). I próbował poprawić Wiktorowi humor, ale nic nie mógł na to poradzić, że ciągle wracało mu przedwojenne wspomnienie.

Spotkał Wiktora przypadkiem nad Wisłą. Był upalny dzień. Wiktor z fajką w zębach leżał na kocu i oparty na łokciu czytał oprawiony dla niepoznaki w pierwszą stronę „Małego Dziennika” gruby tom Marksa. Miał na sobie zielone kąpielówki, które Hesio dobrze zapamiętał. Flegmatycznym, już wtedy nieznoszącym sprzeciwu tonem zaczął tłumaczyć mu, że *Kapitał* to Biblia dwudziestego wieku, a Hesio, lekko znudzony, kątem oka zauważył, że z nogawki kąpielówek Wiktora wystawało jądro.

Teraz też, na samo wspomnienie, musiał przygryźć wargi, żeby się nie uśmiechnąć.

To on wciągnął Hesia do Związku Patriotów Polskich i poznał w Moskwie z Wandą Wasilewską.

Dlaczego Stalin jej jedynej słuchał spośród Polaków? Była to zagadka, którą wszyscy próbowali rozgryźć. Dlatego że była córką przedwojennego polskiego ministra spraw zagranicznych? Znaną i tłumaczoną na rosyjski pisarką?

A może... Hesio ze strachu odgonił tę myśl.

Ale wróciła. Uparcie wracała. Nie można się było od niej opędzić jak od much, które łaziły po żarciu. Rozejrzał się po ławach pełnych żołnierzy, jakby któryś z nich mógł zobaczyć, co mu łazi po głowie... Wszyscy, łącznie z Wiktorem, który doszedł już do siebie, byli zajęci śniadaniem. Chleb, smalec, margaryna i konserwa rybna.

Wanda przecież raz opowiadała mu o kochanku, który chciał, żeby w łóżku mówiła, a nawet krzyczała do niego „wodzu!”.

Nie. Nie. To nie mógł być on. Po Moskwie krążyły plotki o potańcówkach, które Stalin urządza w swojej dacy. Mówiono, że zaprasza tylko mężczyzn, najważniejszych ministrów albo generałów. Zaczyna się o dziesiątej wieczorem od wykwintnej kolacji. Pieczeń z niedźwiedzia, najlepsze alkohole. Po deserze gospodarz wstaje od stołu i siada do patefonu, a pijanym gościom każe dobrać się w pary.

– Tańczcie – rozkazuje.

Nastawia na zmianę płyty z gruzińskimi pieśniami ludowymi i z wiedeńskimi walcami. Pije i patrzy, jak ci faceci ze sobą tańczą.

Pewnie go to podnieca – myślał Hesio.

Na froncie przestał się temu dziwić. Widział już, jak niektórzy żołnierze ocierali się o siebie w okopach i całowali. Niby na żarty, niby po alkoholu. Rozumiał ich, trzeba jakoś rozładować napięcie.

Hesio niedawno przyśniło się nawet, że Stalin kazał mu tańczyć i całować się z własnym ojcem.

Potrafił odciąć się od wspomnień. Rzadko myślał o rodzicach, których zostawili w Tarnowie. A o ojcu prawie nigdy. Co miałby wspominać? Jak stary wrzeszczał i lał go amerykańskim pasem najmocniej z całego rodzeństwa?

Przypomniało mu się, jak pokazał mamie ślady po biciu i przez łzy powiedział, że nie kocha już ojca.

– Trzeba go kochać – odpowiedziała łagodnie. – Bije was nie dlatego, że jest silny. Tylko słaby.

Zrozumiał wtedy, że poza domem Nathan Stramer jest nikim i nic mu nie wychodzi. Dlatego kiedy wraca do rodziny, musi rządzić i zmienia się w domowego tyrana.

Matka niepotrzebnie litowała się nad nim. Zrobiło mu się jej żal.

– Prawdziwa święta – powiedział raz o niej Salek.

Leżeli we wspólnym łóżku przed zaśnięciem i Hesio rozdrażnił sentencjonalny ton starszego brata.

– A czym się różni prawdziwa od nieprawdziwej? – zapytał.

– Tym, że nie wie, że jest święta – wyjaśnił spokojnie Salek. – Dobranoc.

Hesio często myślał, że wciąż jest tym, kim był w dzieciństwie, i jednocześnie nie jest. Tak jak świat wciąż jest tym, czym był przed wojną, i jednocześnie nie jest.

Teraz było mu żal obojga rodziców.

Ojciec opowiadał im czasem o wielkiej wojnie. Ale takich rzeczy jak Hesio na pewno nie przeżył.

Powtarzał, że ciągle musieli czekać i nudzić się w okopach.

Czy za jego czasów żołnierze też ze strachu srali i szczali pod siebie?

Hesio zapamiętał, jak ojciec z wyższością mówił o tych, którzy na froncie „gryzmolili coś” w swoich notatnikach. Albo czytali książki jak Ludwik, jego kolega z Wiednia.

Za co ojciec tak nienawidził książek? Co takiego mu zrobiły, że aż zakazywał czytać swoim dzieciom? Nie zdawał sobie sprawy, że nic nie mogło jego i Salka bardziej do nich zachęcić.

Zresztą może i miał rację – pomyślał Hesio. W końcu gdyby nie pewna książka innego tyrana, tej wojny mogłoby w ogóle nie być.

Jak by wyglądał świat bez *Mein Kampf*?

Hesio był jednym z pierwszych, którzy weszli do obozu w Majdanku przez bramę staranowaną przez czołg Armii Czerwonej. Godzinę po wyzwoleniu. Wcześniej wciąż czytał w radzieckiej prasie o niemieckich obozach, ale nie wyobrażał sobie czegoś aż takiego.

To było jak chory sen.

Wieże strażnicze, budki wartownicze, baraki i place apelowe z szubienicami na środku, komory gazowe i krematoria.

Żywe szkielety w pasiakach leżały na ziemi, płakały i zebrały o kawałek chleba. Niektóre w czerwonych kałużach ekskrementów.

Hesio w ich martwych twarzach szukał Rywki i Nathana Stramerów.

Jedna naga kobieta biegała wokół żołnierzy, zaczepiała ich i śpiewała:

Ilu ilu hocijonu

Hocijonu mimicrajim

Hocijonu mimicrajim

Dajejnu

Dostała ataku szału ze szczęścia na widok wyzwolicieli.

Jego też złapała za rękę.

– Tu radio Majdanek! – krzyknęła, pokazując na górę trupów. – Zaraz wystąpi dla państwa tercet Krematoriumboys.

Nie chciał tego słuchać, nie chciał na to patrzeć.

Znowu poczuł się jak Hersz-Cwi Stramer, żydowski chłopak z Tarnowa, jakby mundur pułkownika, który teraz nosił, przestał go tu chronić.

Chwycił się za brzuch. Żołądek podszedł mu do gardła, nie mógł złapać tchu. Skupił się całym sobą na szukaniu rodziców (Mamo! Tato! – waliło mu w głowie), a kiedy oprzytomniał, od razu wybiegł z obozu.

Już za bramą wyrzygał konserwę wieprzową.

– Panie pułkowniku! – usłyszał.

Hesio przez chwilę nie rozumiał, kto i co do niego mówi. Był znowu na Pradze w wojskowej kuchni polowej.

To starszy sierżant Moszkowicz, gestykulując, gadał coś o kasynie oficerskim, które chce rozkręcić.

– A rozkręcajcie. – Hesio machinalnie kiwnął głową. – Na zdrowie, towarzyszu.

O takich jak Moszkowicz mówiło się w Tarnowie, że mają kiepełe. Pewnie i na środku pustyni rozkręciłby oficerskie kasyno.

– Jeszcze jedna sprawa – kontynuował sierżant. – W nocy znowu przypląnęły dwie pizdy z powstania. Chcą przekazać wiadomość. Może lepiej, jak pan pułkownik z nimi pogada, zanim pójda do Ruskich?

Hesio znowu kiwnął głową.

Słyszał go, ale słowa docierały do niego z opóźnieniem i nie wszystkie, jakby część z nich się zgubiła.

– Skąd przypląnęły? – zapytał.

Moszkowicz spojrział na niego dziwnie ciepło i porozumiewawczo. Nachylił się bardziej, żeby wyczuć, czy pułkownik od rana chodzi już

podcięty. Każdemu się zdarza. Kto nie wychylił setki przed śniadaniem, niech pierwszy rzuci kamieniem.

Mimo to dowódcy każą czasem na apelach chuchać stojącym na baczność żołnierzom. Ale nie wyciągają większych konsekwencji – Polak Polakowi krzywdy nie robi. Stalin postawił na czele kompanii, batalionów i pułków Rosjan polskiego pochodzenia. Większość z nich była polska tylko z nazwiska. Potomkowie zesłańców syberyjskich czy uczestników rewolucji październikowej mocno kaleczyli język swoich przodków. Żołnierze nazywali ich za plecami „pełniącymi obowiązki Polaków”, a częściej po prostu „p.o. Polaków”.

– Panie pułkowniku – powiedział Moszkowicz. – Musiały przyplłynąć z Powiśla albo Żoliborza. Tylko tam powstańcy mają jeszcze dostęp do Wisły.

– Wpław czy łódka? – zapytał Hesio już przytomniej i prosto w nos Moszkowicza, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości starszego sierżanta.

Teraz Moszkowicz przez moment zawahał się nad odpowiedzią. Na ile może sobie w stosunku do Webera pozwolić? Przecież wszyscy znają jego reputację pierwszego jebaki Pierwszej Armii.

W tym czasie Hesio dopił słodką kawę – pół na pół zbożową i prawdziwą.

Na śniadanie nie miał już ochoty.

– Niestety, łódka, panie pułkowniku. – Moszkowicz uśmiechnął się i oblesnie oblizał. – Ale i tak warto rzucić okiem.

W takich chwilach przypominał Hesiowi Flądre – przyjaciela z dzieciństwa, który został księdzem.

Tak czy inaczej, coraz bardziej irytowała go unizona bezczelność sierżanta. Każdy w armii musiał mu coś zawdzięczać. Taki miał pomysł na życie. I Hesio w cichości ducha przyznawał, że w sumie nie było to takie głupie.

Wstał od stołu, lekko zakręciło mu się w głowie, ale ruszył wyprostowany za Moszkowiczem.

Zawsze tak chodził w mundurze. Na trzytygodniowym kursie dla oficerów polityczno-wychowawczych w Sielcach nauczył się, że

wyprostowana postawa to pierwszy krok do zdobycia autorytetu u podwładnych.

Przeszli przez salę pełną żołnierzy. Niektórzy mieli opatrunki na głowach, ręce na temblakach. Poważniej ranni leżeli w szpitalu polowym. Jeszcze w zeszłym tygodniu w tych ławach siedzieli Niemcy – przez chwilę to zobaczył – te same twarze, ten sam gwar, tylko inne mundury.

Okupanci uciekali z Pragi przed Armią Czerwoną w takim pośpiechu, że prawie nic ze sobą nie wzięli. Odpowiedzialny za aprowizację Moszkowicz pierwszy wszedł do kuchni w budynku kolejowym na Kijowskiej. Kiedy pół godziny później Hesio go tam znalazł, sierżant kręcił głową i lamentował nad szufladami sztućców z Solingen.

– Szkoda rąk do gadania. Pierwszorzędna jakość. – Mrużył oczy, bo światło żarówki odbijało się od noży, które oglądał z każdej strony. – Jaka szkoda. Wszędzie te swastyki, psia ich mać! Nie wypada tego dawać naszym, co?

Hesio i Moszkowicz wyszli teraz na dwór.

Moszkowicz pokazał mu dwie dziewczyny, które stały pod sztabem, i mrugnął porozumiewawczo. Wyższa przyciskała coś do piersi. Jakieś zawiniątko. Z bliska Hesio zauważył, że wystaje z niego pyszczek. Poznał go od razu. To samo ludzkie spojrzenie, ten sam wilgotny czarny nos i te same lekko opadnięte brązowe uszka. Przysięgłby, że to Pusio. Pies ich żydowskiej sąsiadki z Tarnowa. Nawet ręce dziewczyny trzymały go tak dziwnie kurczowo jak ręce starej Pusiowej, kiedy przenosiła swój największy skarb, ukochanego jamnika, przez kałuże na Goldhammera. Uszyła mu na zimę niebieski bezrękawnik. Płakała, kiedy dzieci na podwórku wołały za nią, że Pusio liże ją między nogami.

Jamnik spojrzał Hesiowi w oczy, jakby też go poznał.

Czy pies Żyda też jest Żydem?

Hesio w pierwszym odruchu wyciągnął rękę, żeby pogłaskać psa.

– Panie pułkowniku! – powiedział Moszkowicz, który zaczął niepokoić się o Webera, bo od rana wydawał się jakiś nieobecny,

nawet nie tknął konserwy rybnej. – To te dwie damy, o których panu mówiłem.

Czy dusza psa może... Kiedyś w Tarnowie Hesio wziął ze stolika nocnego Lotki książkę o reinkarnacji. Droczył się wtedy z nią, wyśmiewał, że czyta takie bzdury.

Co się ze mną dzieje? – pomyślał teraz.

Cofnął rękę i spojrzał na dziewczynę.

Zamiast drobnej zgarbionej Pusiowej zobaczył wysoką piegowatą blondynkę z blizną na lewym policzku. Ta blizna przekreślała jej klasyczną urodę, ale była pociągająca, dodawała wyjątkowości.

Na szyi miała srebrny łańcuszek.

– Jesteśmy łączniczkami z Armii Ludowej. – Dziewczyna zameldowała się ostrym tonem, choć sam głos miała łagodny. – Przy płynęliśmy z wiadomością dla waszego dowództwa. To pilne. Brakuje nam broni, jedzenia, wszystkiego. Potrzebujemy waszej pomocy.

Mówiła to godnie, może nawet wyniośle, tylko pies popatrzył na niego ze szczerym błaganiem.

Ilu miała kochanków? Ile mogła mieć lat? Nie mniej niż dwadzieścia i nie więcej niż dwadzieścia pięć.

Te myśli były silniejsze od niego, zagłuszały nawet wybuchy po drugiej stronie Wisły.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Hesio nie mógł się już bardziej wyprostować, wyciągnął tylko szyję i uniósł się lekko na palcach. – Postaram się niezwłocznie powiadomić dowództwo i zorganizować spotkanie.

Jak ona ma na imię?

– Kogo zaanonsować generałowi pułkownikowi? – zapytał.

Wiedział, że jeśli Rokossowski w ogóle je przyjmie, to na prośbę o pomoc powstaniu w najlepszym razie obojętnie wzruszy pagonami.

– Łączniczkę Helenę. – Pokazała na niższą koleżankę, brunetkę w okularach. – I łączniczkę Ewę.

Jamnik zabawnie przekrzywił mordkę.

Hesio szybko podniósł wzrok, nie chciał, żeby pomyślała, że gapił się jej na piersi.

– A jego jak zaanonsować? – zapytał.

– To Cyryl – Ewa ostrożnie się uśmiechnęła, mrużąc niebieskie oczy.

Teraz mógł już psa pogłaskać.

– Cały drży – powiedział.

Niby niechący, ledwo zauważalnie, musnął jej palce.

Co te dziewczyny mogły rozumieć z polityki? Z kłopotu, jaki im zrobili tym swoim powstaniem?

Chciał splawić Moszkowicza, który nie przestawał się uśmiechać, jakby mówił: Znam się na ludziach. Wiedziałem, że pan pułkownik będzie zadowolony.

Wysłał go do kuchni po wodę i żarcie dla psa.

Ale Moszkowicz ociągał się – pewnie miał nadzieję, że się załapie przynajmniej na tę niższą, brunetkę w okularach.

– No żywo! – huknął pułkownik Weber. – Psa chcecie mieć na sumieniu?

Jeszcze w lipcu w niemal każdej instrukcji, którą jako oficer polityczno-wychowawczy dostawał ze sztabu generalnego, powtarzało się, że „Armia Krajowa stoi z bronią u nogi”. A jedyną siłą w kraju naprawdę walczącą przeciw niemieckim okupantom jest zorganizowana z inicjatywy komunistów Armia Ludowa. Z inicjatywy. Kazano to podkreślać. Dbano o zachowanie fasady narodowej.

A teraz? Przekaz się skomplikował, od kiedy Armia Ludowa poparła Armię Krajową w powstaniu.

Kilka godzin później pocieszał Ewę i Helenę po spotkaniu, które nie mogło przebiec inaczej, niż się spodziewał (i tak był zdziwiony, że Rokossowski obiecał zrzucić powstańcom suchary, kaszę i konserwy).

Przy okazji dowiedział się, ile ten jamnik Cyryl wycierpiał w powstaniu.

Łączniczka Ewa nigdzie bez niego się nie ruszała. Brała go ze sobą nawet na akcje. Zawsze miała psa schowanego pod kurtką. A raz w nocy musiała wyrwać Cyryla z rąk głodnych kolegów.

Hesio był dobry w pocieszaniu, ale też w zniechęcaniu i namawianiu.

Najpierw szybko je odwiódł od pomysłu powrotu łódką przed zmrokiem („Niemcy powystrzelają was jak kaczkę”). A potem z trudem namówił, żeby przeczekały u niego, aż się ściemni i będą mogły wrócić na lewy brzeg Wisły.

W końcu ruszyli we troje ze sztabu na Kijowskiej do jego kwatery prywatnej na Brzeskiej 15. Na chodnikach wciąż walał się gruz po walkach z zeszłego tygodnia. Łączniczki patrzyły pod nogi. Przyzwyczajone. Z przejeżdżających tramwajów nie zdjęto jeszcze tabliczek EIN U. AUSSWEG NUR FÜR DEUTSCHE. WEJŚCIE I WYJŚCIE TYLKO DLA NIEMCÓW.

Po drodze Helena cichym, zrezygnowanym głosem opowiadała, że po ich stronie od początku powstania zjedzono już wszystkie konie i psy.

Hesio kręcił głową, jakby nie mógł w to uwierzyć, i przy okazji łąpał na nogi i tyłki łączniczek. Po jego stronie, w Związku Radzieckim, w czasie oblężenia Leningradu ludzie poszli krok dalej i zjadali się nawzajem. Ale po co im o tym mówić?

Mijali pilnujących porządku podpitych czerwonoarmistów. Na Pradze wprowadzono godzinę milicyjną.

Ile czasu zajęłoby wyzwolenie i zaprowadzenie porządku po drugiej stronie Wisły? Łączniczki nie mogły o tym nie pomyśleć.

Tak blisko, a tak daleko.

Tym bardziej, że już na pewno zobaczyły nad wodą potężną radziecką artylerię, która z rzadka, leniwie ostrzeliwała przeciwny brzeg.

Skośnooki czerwonoarmista z karabinem na ramieniu głośno cmoknął na psa. Cyryl szczeknął. Hesio objął dziewczyny ramionami

i przyspieszyli kroku.

– Ile tysięcy ludzi jeszcze ma zginąć, żebyście zechcieli nam pomóc? – zapytała Ewa.

Rozumiał jej rozgoryczenie, nie mogła czuć się inaczej, na szczęście zasalutowało mu teraz pięciu żołnierzy z polskiej dywizji i mógł udać, że nie dosłyszał pytania.

– Idziecie patrolować brzeg? – zapytał żołnierzy.

– Nie, panie pułkowniku – odpowiedział najwyższy rangą, ale najniższy wzrostem. – Do punktu obserwacyjnego w willi Wedla.

Hesio w armii uważał na niskich – są niebezpieczni, ambitni, chcą się wybić.

– Przekażcie generałowi Berlingowi pozdrowienia od pułkownika Webera.

Spojrzeli na siebie zdziwieni. Wiadomo, że dowódca Pierwszej Armii nie lubi takich jak Weber, „ludzi bez prawdziwej ojczyzny”.

Fakt. To przez Berlinga Hesio nie mógł ściągnąć rodzeństwa do Sielc. Przez tego „antysemickiego skurwysyna” – jak nazywała go Wasilewska, która obiecała, że po wojnie zrówna w Polsce faszyzm z antysemityzmem. Ale nie o Berlinga przecież tu chodziło. Niech dziewczyny docenią, z jak ważną figurą obcuja.

Po cholerę miałyby wracać do powstania? Bez nich i tak zaraz upadnie. A nie jest pewne, czy nawet w nocy uda im się bezpiecznie przeprowić na drugą stronę, bo Niemcy oświetlają teren rakietami.

Ale jak je przekonać? Już słyszał ich odpowiedź, że nie ma mowy, są żołnierzami i wykonują rozkazy.

To powstanie jest beznadziejne – pomyślał – z każdego punktu widzenia.

W dziesięć minut doszli na Brzeską 15, do trzypiętrowej kamienicy z czerwonej cegły. Poza pojedynczymi dziurami po kulach na wysokości parteru i w bramie była cała.

Dlatego umieszczono go tu, w salonie z balkonem na drugim piętrze, u starszej kobiety, która po tym, jak w pozostałych dwóch pokojach ulokowano jeszcze po trzech żołnierzy, spała w kuchni.

Helena może i dałaby się namówić, żeby zostać. Ale co z Ewą? Ona nawet nie tknęła swojego kieliszka wódki, którą nalał im zaraz po tym, jak zamknął szklane drzwi do salonu.

– Za wolny, wyzwolony Paryż! – zaskoczył je toastem, stuknął się z Heleną i wypili na stojąco. – Mam brata we Francji.

Jeśli żyje. Od lat nie miał o Salku żadnych wiadomości.

Dopiero teraz usiedli przy okrągłym stoliku, on na zapadającym się starym fotelu, a one na kanapie. Cyryl ułożył się wygodnie na zgrabnych kolanach Ewy.

– Jak mówią Rosjanie... – Hesio wyciągnął w stronę Ewy paczkę zdobycznych niemieckich papierosów, które dostał od Moszkowicza – ...kto pije i pali, ten umiera zdrowy.

– My mówimy: kto pije i pali, ten nie ma robali... – zachichotała Helena, lekko zaczerwieniona, i sięgnęła po papierosa.

– Na jedno wychodzi. – Ewa skarciła ją wzrokiem i na papierosa pokręciła głową.

Nic jeszcze o niej nie wiedział poza tym, że nie ma nałogów, i to mu się podobało, dobre na początek.

Wyglądała na typ dziewczyny, która zawsze musi być najlepsza. Najlepsza w klasie, najlepsza na studiach, najlepsza w powstaniu.

A w łóżku?

Nie jest próżna, nie próbuje go w żaden sposób oczarować. Jaki jest jej słaby punkt? – zastanawiał się.

Starsza pani zapukała w szklane drzwi i przyniosła im na tacy herbatę. Ewa sięgnęła po wyszczerbioną filiżankę, miała długie palce i obgryzione paznokcie.

Czy naprawdę wierzyła, że na piękne oczy przekona Rokossowskiego do pomocy powstańcom? Bzdura – pomyślał Hesio. – Przecież dostała rozkaz.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta, ma jeszcze trochę czasu do zachodu słońca, kiedy mu te dwa Kopciuszki odpłyną.

Lubił takie wyzwania.

Starsza pani znowu zapukała i tym razem postawiła na dywanie emaliowaną miskę z wodą.

Cyryl spojrzał pytająco na Ewę, która kiwnęła głową. No oczywiście, że ona ma słaby punkt. Pies zeskoczył jej z kolan. Napił się i szybko wrócił na swoje miejsce.

A co, jeśli Cyryl to pamiątka, żywa pamiątka po chłopcu, który zginął w powstaniu? Wybuchł granat, rozerwało chłopaka albo umarł przywalony stropem – takie historie o roztrzaskanych głowach, poobcinanych nogach i rozoranych brzuchach opowiadała teraz Helena. A w tle niewdzięczni cywile wyzywający powstańców: Wy bandyci! Coście z nami zrobili?!

– Psa szkoda. Co on temu wszystkiemu winny? – Hesio pogłaskał Cyryla i znowu musnął rękę Ewy.

Jamnik wzdrygnął się na potężny huk, który usłyszeli przez otwarty balkon.

Później się okazało, że to Niemcy wysadzili ostatni most w Warszawie.

Helena sięgnęła po nietknięty kieliszek Ewy.

– Biedak – Hesio głaskał dalej – już i tak swoje przeszedł.

Ewa przytaknęła.

Czy będą oboje kiedyś wspominali ten dzień i każdy jego szczegół?

Trójkątne wzory na przetartym dywanie. Białą farbę łuszczącą się z drzwi balkonowych. Wiśniowe obicie fotela. Poobijaną miskę z wodą. Poprawiającą włosy Helenę, która przez chwilę myślała, że to ona wpadła pułkownikowi w oko. A potem samotnie wróciła na drugą stronę.

Czy to wszystko z czasem stanie się ważne? Czy raczej obie łączniczki wrócą na drugi brzeg, a ten dzień rozplynie się w wojennym bezsensie?

– Tu Cyrylowi nic nie grozi – powiedział Hesio. – Przy mnie byłby bezpieczny.

Ewa nie okazała zdziwienia.

Pewnie zastanawia się, co wybrać. Przyszłość z ukochanym psem u boku przystojnego pułkownika czy powrót do powstania? Ale każdy związek to loteria. Nigdy nie wiesz, czy dobrze obstawiłaś, kogo tak naprawdę wybrałaś. A co czeka Ewę po drugiej stronie Wisły? Los powstania to nie loteria, tylko stuprocentowa przegrana.

– Zostaw mi Pusia... To znaczy Cyryla – powiedział.

– Jak ładnie pan pułkownik go nazwał – uśmiechnęła się.

– Po wojnie odbierzesz.

Teraz spojrzała mniej pewnie. Zdezorientowana? Rozczarowana?

Podniosła rękę do ust, jakby chciała zacząć obgryzać paznokcie, ale tylko przejechała nią po bliźnie.

Dlaczego nie zaproponował, żeby też została? Nie zrobił tego, żeby nie mogła mu odmówić.

– Ciebie naturalnie nie będę namawiał – powiedział.

Hesio myślami był już dalej.

Jak mógłby spędzić z nią noc i tym samym ułatwić jej decyzję? Z kim pogadać, żeby Armia Czerwona odpaliła dziś po zmroku parę pocisków?

Chyba tylko Moszkowicz mógłby to załatwić.

NUSEK

Był styczeń, zimno jak jasna cholera. Tak zimno, że baby chodziły na skrót po mięso do Otwocka przez zamarznąłą Wisłę.

Dzieci jeździły na łyżwach po Jeziorce. Zrobiłem Alince, córce kowala, otwory we flekach, żeby zaczepić tam końcówki łyżew. Łyżwa przykręcana była dodatkowo do buta na kluczyk.

To był dzień... Nie, to była noc przed wyzwoleniem. Wieczorem Niemcy jeszcze na pożegnanie wysadzili most na Jeziorce.

Mareccy bali się o Alinkę. Po szkole jak zwykle poszła na łyżwy. Zaraz po wybuchu Marecki pobiegł jej szukać, ale nad rzeką nie było już nikogo. Wrócił roztrzęsiony. Z mojego pokoju słyszałem, jak kłóci się z żoną. Że to jej wina, te łyżwy. A ona powtarzała, że jego.

– Matko Boska, kto pozwala dziecku po nocy szwendać się nad wodą?!

I czekałem tylko, aż przypomnę sobie, czyj to był pomysł, żeby te łyżwy przymocować ich córce do butów. Przekręciłem klucz w drzwiach swojego pokoju. Pamiętałem dobrze słowa Wacka, że wypadki chodzą po ludziach.

Chciałem zasnąć, ale co zamykałem oczy, to widziałem dzieci z obozu janowskiego. Te, które leżały nieżywe między podwójnym oparkowaniem. I wśród nich Alinkę.

Sięgnąłem pod łóżko po flaszkę.

Nie pytajcie się, co się okazało. Alinka zmarzła na łyżwach i poszła się ogrzać do ciotki, która mieszkała niedaleko. Wypiły razem herbatę. Wracała już do domu, kiedy zauważyła, że nie ma rękawiczek. Musiały zostać na piecu u ciotki. W tym momencie most wyleciał w powietrze. Mimo huku Alinka wróciła po rękawiczki. Ciotka już jej nie wypuściła. Dopiero później, jak się uspokoiło, przyprowadziła dziewczynkę do domu.

– Tu wojna, wali się i pali – słyszałem, jak śmieje się Marecki za ścianą. – A naszej Alince tylko rękawiczki w głowie.

I dopiero wtedy zasnąłem. W nocy obudziło mnie ciche pukanie do drzwi.

Wstałem nieprzytomny.

– Kto tam?

Nikt nie odpowiedział. Przyśniło mi się pewnie. Wróciłem do ciepłego łóżka.

Ale po chwili znowu pukanie. Tym razem zapaliłem karbidówkę. Otwieram drzwi. A tam stoi wychudzony niemiecki żołnierz. Zapomnieli go ze sobą zabrać, czy co?

Mówi:

– *Brot, Brot.*

Tego jednego żałuję. Że cichcem poszedłem do kuchni i przyniosłem mu te dwie kromki. Po jaką cholere?! Trzeba było mu dać kopa w dupę na drogę, jak oni mnie kopali przez całą wojnę.

Przestraszyłem się tego Niemca? Czy zrobiło mi się go szkoda? Pewnie jedno i drugie. Na moje usprawiedliwienie mam to, co zwykle, czyli że byłem pijany.

Nikomu nie powiedziałem o tej nocnej wizycie. Kiedy niby miałbym to zrobić, jak historia tak przyspieszała i co chwila teraz sama pukwała do moich drzwi?

A raczej waliła.

Przez sen myślałem, że wehrmachtowiec wrócił i teraz dostanie to, na co sobie zasłużył.

Otworzyłem oczy, patrzę, a za oknem czołg. Z czerwoną gwiazdą.

Przetarłem oczy jak wtedy, kiedy u Zośki zobaczyłem przez okno armatę. Ale tym razem zadziałało – czołg zniknął. Tyle że słyszałem, jak gąsienice skrzypią na śniegu, a żołnierze dalej walili do drzwi.

Od razu zacząłem do nich po rusku:

– *Zdrawstwujtie, riebiata.*

Oni odpowiedzieli mi po polsku, że są głodni, od dwóch dni nic nie jedli. Tak się ucieszyłem, że to nasi, że zapomniałem, że jestem w samych gaciach, i tak wyskoczyłem do nich na śnieg.

Siedmiu chłopaków w moim wieku. Wyglądali nie lepiej niż ten Niemiec w nocy. A mundury – szkoda gadać. Brudne, podarte, za cienki materiał na zimę. Połowę guzików zgubili gdzieś po drodze. Skórzane paski, z których smętnie zwisały kabury i granaty, bardziej przetarte niż amerykański pas naszego ojca.

Specjalnie się przyjrzałem ich umundurowaniu, bo taka fuszerka nie przeszłaby u Schulza.

Pomyślałem, że na szczęście wojen nie wygrywają ci, którzy lepiej szyją.

– Chwila – mówię. I pobiegłem po Marecką, żeby zrobiła naszym wyzwolicielom jajecznicę.

Dlaczego nigdzie jej nie było? Kowala i ich córki też nie. Obszedłem cały dom. Zlazłem w końcu do piwnicy i tam ich znalazłem. Wciśniętych w sam róg, schowanych za belkę i worek z kartoflami.

– Pani Marecka! – zawołałem.

Wychyliła się zza worka i spojrzała przestraszona na moje gacie.

– Piersi obcinają? – spytała omdlałym tonem.

– Pani Marecka, to nasi – odpowiedziałem.

Zajęła się nimi. Nakarmiła flakami z krowich jelit, które wciąż czyściła i skrobała w kuchni. Marecki wyciągnął schowaną w kuźni polską flagę, rozwinął i zawiesił nad wejściem do domu.

W Jeziornie szybko się rozniosło, że to nasi, i każdy przyniósł, co miał najlepszego. Mleko, jaja, kiełbasę. A ja, jak wieczorem wróciłem od Bugi, to też postawiłem na stole, co trzeba, obok ich kanistra z wódką. Chłopaki mówili, że taki dziesięciolitrowy kanister to obowiązkowe wyposażenie każdego radzieckiego czołgu.

Poląłem im bimbru do szklanek, od razu wypiliśmy za Armię Czerwoną i za Dywizję Kościuszki. Kiwali głowami i klepali mnie po plecach, zadowoleni jak wcześniej Niemcy, Austriacy i Węgrzy. Bimber od Bugi łączy wszystkich, niezależnie od munduru. Wódka z kanistra nawet się do niego nie umywa.

Słuchaliśmy opowieści kaprała Sochy.

– Com ja widział, com przeżył!

Mówił o tajdze i tundrze, wiecznych ciemnościach i białych nocach, skośnookich kurwach i moskiewskim metrze.

W dusznej od dymu papierosowego kuchni u Mareckich powiało wielkim światem. Inni żołnierze mu nie przerywali. Znaczy, że Socha nie buja i że go poważają. Nawet radziecki komendant Iwanow słuchał dość życzliwie.

– Da, da, *polaki szli wpieryod iskluczitielno* – potwierdził. – *Priamo kak moriaki!*

Socha dumnie klepał się po orderze, po Krzyżu Walecznych, który dostał „za odwagę” pod Lenino. A ja myślałem o was. Czy Rudziu, Rena i Hesio też przeżyli podobne rzeczy na Wschodzie? I czy też mają takie medale?

Chciałem spytać, czy ktoś o was słyszał, ale jak? Skąd mam wiedzieć, jak się nazywacie czy nazywaliście.

Socha powiedział nam, co zrobi po wojnie. Miał wszystko zaplanowane. Wróci do siebie do Kopytowa („Starzy zobaczą, że wyszedłem na człowieka. Ale oczy zrobią!”), pójdzie do ukochanej Marylki („Patrz, order mam. Kapralem jestem”). Z czasem przejmie ojcowiznę.

A ja? On był przecież w moim wieku. Jakbym nie trafił we Lwowie do obozu, to teraz pewnie siedziałbym na jego miejscu przy piecu i też przechwalał się obracaniem Azjatek.

Ni stąd, ni z owąd przyjrzałem się uśmiechniętemu żołnierzowi z ciemnymi oczami, który od rana wydawał mi się znajomy. Niewysoki jak ja, w za dużej, założonej trochę na bakier rogatywce z orzełkiem. Cekaemista. Dopiero teraz po uśmiechu przypomniałem sobie: Heniek Cukier. To z nim we Lwowie stałem w kolejce do urzędu, żeby wrócić do Polski. Jeszcze przed obozem janowskim. Też było zimno jak cholera, zima stulecia, i też był w mundurze, ale jeszcze licealisty. Żeby się rozgrzać, udawał ustami jazzowe instrumenty.

Nagle otrzeźwiałem.

Co, jak on też mnie rozpoznał? Wydawało mi się, czy Heniek unikał mojego spojrzenia? Dobrego wyglądu to on nie miał. Popatrzyłem na Mareckich. Nic nie podejrzewają. I niech tak zostanie.

– Czas na mnie. – Podniosłem się od stołu.

Dwóch żołnierzy przegapiło już swoją porę i spało z głowami na blacie.

W sieni minąłem Alinkę, która z mamą przygotowywała żołnierzom sienniki. Pierwszy raz ją dziś widziałem. Zrozumiałem, że Mareccy starali się, żeby dziewczyna nie rzucała się żołnierzom w oczy.

Zasnąłem od razu, jak się położyłem. Jakby mi ktoś prąd wyłączył. Śniła mi się orkiestra jazzowa, taka, jakie grały przed wojną w najelegantszych tarnowskich hotelach. Z przodu na scenie Rena z Welą tańczyły przy mikrofonach. Tuż za nimi Rudek z trąbką, Salek ze skrzypcami i Hesio przy pianinie. A ja gdzie? Nie mogłem się znaleźć.

Znowu nie wzięliście mnie ze sobą? Taką miałem pierwszą myśl.

Ale po niej przyszła druga. Czy to znaczy, że oni wszyscy już nie żyją i grają mi z góry? Że ja jedyny ze Stramerów zostałem? Tym razem nie miałem do was pretensji, że mnie ze sobą nie zabraliście.

Kto teraz zagłusza muzykę? Co to za wrzaski? Rozejrzałem się, wciąż we śnie.

Kto i kogo wyzywa od najgorszych skurwysynów?

– Chuje wam wszystkim pourywan!

Na zmianę po polsku i po rusku.

– *Ja tiebie sdjełaju, pizdiec!*

Rozejrzałem się już z otwartymi oczami. To za ścianą, w kuchni wrzeszczał komendant. Pułkownik Iwanow. Wczoraj wieczorem był spokojny.

– *Socha, job twoju mać!*

Czego chce od tego naszego dzielnego chłopaka? Szybko wstałem.

– Chciałeś nas wszystkich zabić?!

Ubrałem się.

Zajrzałem do kuchni, w której żołnierze leżeli pokotem na siennikach. Jedyny Socha stał przed Iwanowem.

– Przepraszam, panie pułkowniku, my wczoraj tak zmęczeni byli. My poszli spać, jak stali. W butach.

– *Idiot!* – Iwanow zamachnął się na niego, ale nie uderzył.

A ja zrozumiałem, że ma rację.

Te buty z długą cholewą to małe piwo. Socha położył się wczoraj spać z trzema przyczepionymi do paska granatami. Teraz drżącymi rękami je odpinał.

– *Idi na chuj* – powiedział Iwanow.

I ja na wszelki wypadek też wyszedłem.

Jakby się Socha przez sen rzucał, nic by po nas nie zostało.

Doszedłem do drogi. Powietrze było mroźne. Umrzeć tak bez sensu. Po tym, jak tyle się przeżyło. Zapaliłem papierosa.

Znowu miałem szczęście.

Mogłem zginąć na samym początku wojny w Tarnowie, zaraz jak szkopy tam weszły. Utopić się w Bugu, jak wplaw z Rudkiem uciekaliśmy na Wschód. Mogli mnie zabić, jak był pogrom we Lwowie. Sto razy zastrzelić w obozie janowskim i sto pierwszy wtedy, jak z niego uciekałem do Warszawy. A teraz jeszcze ten idiot Socha.

To wszystko naraz zobaczyłem. Jak obrazki z mojego życia.

Dlaczego Nusek przeżył, a inni nie? Po co? Czy ktoś nad nim czuwał? Za dużo chyba się nasłuchałem tych kazań co niedziela.

Wyszło mocne słońce, ale dalej było piekielnie zimno. Szedłem przed siebie. Ostrożnie, bo wszystko oblodzone. Nie spieszyło mi się z powrotem do Mareckich.

Zauważyłem, że z naprzeciwka idzie Wacek z plecakiem. Ledwo się ze mną przywitał skinieniem głowy.

– Ty! – Złapałem go za ramię. – Uważaj. Szukają takich jak ty.

Chciałem go ostrzec, ze względu na Zośkę. Sam słyszałem, jak Iwanow rozpytywał wczoraj o miejscowe leśne bandy. Jak jeszcze Wacka zabiją, to kto, oprócz dzieci, Zośce zostanie? Tylko stary Kowalski.

– Kto? – zapytał.

– Wojsko polskie.

Machnął ręką.

– Ruscy – dodałem, bo chyba nie zrozumiał za pierwszym razem.

– Nie boję się ich – powiedział. – Mnie nic nie zrobią.

Wyrwał mi się i poszedł pewnym krokiem dalej.

Stąpasz po kruchym lodzie – pomyślałem.

Może zajrzę do Zośki? Jak wiem, że Wacka na pewno tam nie ma. Czasem wpadam do niej ostatnio. Z daleka zobaczyłem, że przed jej domem stoi wojskowy wóz. Willys.

Pewnie już Wacka szukają.

Na drogę wyszedł stary Kowalski, oparł się o płot i coś laską pokazywał dwóm wojskowym. Jeden z nich popatrzył na mnie, a ja na niego. Dzielilo nas ze dwieście metrów. Słońce odbijało się od śniegu i raziło mnie. Aż zmrużyłem oczy. Nie mogłem się pomylić. Nie pytajcie się. Przyłożyłem ręce do ust i krzyknąłem:

– Hesio!

A on do mnie:

– Nusek!

Rozumiecie? I goniliśmy prostą drogą do siebie. On w mundurze pułkownika, a ja w zwykłej kurtce. Ze trzy razy się poślizgnąłem i wyrznąłem na lodzie.

Tak mocno wpadłem na brata i tak się przytuliliśmy, że aż orderem z czerwoną gwiazdą podrapał mi twarz.

NUSEK – HESIO

Mój brat i jego kumpel, też pułkownik, Wiktor, obaj w mundurach i identycznych małych okrągłych okularach, zawieźli mnie do sztabu, na który mówili „pol-wych”. Nie wiem, jak długo jechaliśmy. Piętnaście minut czy godzinę. Wiem, że przez cały ten czas płakaliśmy z Hesiem, jak płakać mogą tylko bracia Stramerowie, którzy odnaleźli się po czterech latach wojny. Powiedział mi, że Rudek i Rena też żyją. O reszcie nic nie słyszał. Mijaliśmy trupy Niemców przy drodze. Takie czyściutkie, w białych kalesonach. Wszystkie już bez butów. Może mi się wydawało, że w rowie zobaczyłem tego skurczybyka, któremu w nocy dałem dwie kromki chleba.

Wysiedliśmy pod dwupiętrowym ceglanym budynkiem. Zauważyłem, że ten Wiktor to jakoś dziwnie chodził, pewnie faszyci go tak urządzili.

Co tu wcześniej było? Może szpital albo szkoła.

Mnie tam najbardziej zaimponował plac, na którym stały nie tylko willysy, ale i fordys, dodge'e i studebakery, z napędem na obie osie. Same amerykańskie maszyny, jak powiedział Hesio. Co za sprzęt!

Wzruszyłem się na widok tej Ameryki we Włochach pod Warszawą.

Naszemu ojcu dopiero by się tu spodobało. I wreszcie byłby dumny z Hesia, którego przecież najmocniej lał pasem z nas wszystkich.

Całe życie marzył o powrocie do Ameryki.

– USA przekazały ZSRR siedemset tysięcy pojazdów wojskowych! Razem z serwisem. Nawet puszki z żarciem mamy amerykańskie. – Hesio na dowód otworzył drzwi do zawalonej konserwami piwnicy. – Swinaja tuszonka z Chicago. Podarowali Armii Czerwonej ponad dwa miliardy tych konserw – rzucił od niechcienia, wychodząc z piwnicy.

Oprowadzał mnie po sztabie jak po swojej nowej willi. Ale ja w Konstancynie widziałem lepsze. Tak łatwo mi nie zaimponuje.

Nie spytałem, czy tylko mundury mają własne.

Mijani na korytarzu wojskowi pierwsi salutowali Hesiowi, który przedstawiał mnie im jako swojego brata Stasia. Każdemu po kolei bez wyjątku dziękowałem za to, że nas wyzwolił. Aż mnie ręka rozboleła od tych mocnych żołnierskich uścisków.

Nasz Hesio to tutaj ważna figura. Pułkownik Henryk Weber. Nieźle, nie? Jak na faceta, który przed wojną nawet nie był w wojsku. Trzyma się prosto, pasują mu ten mundur i te nowe okrągłe okulary. Co tu dużo gadać. Oficer polityczno-wychowawczy i redaktor naczelny dywizyjnej gazety nie mógłby wyglądać lepiej. Mimo że trochę wyłysiał na czubku głowy, czego prawie nie widać, bo sprytnie zaczesuje włosy na bok.

Poprowadził mnie do śmierdzącego farbą, zawalonego papierami pokoju. Na drzwiach przeczytałem napis: „ŻOŁNIERZ WOLNOŚCI”. REDAKCJA, a pod nim kartkę „Uwaga! Świeżo malowane!”.

Wziąłem do ręki egzemplarz gazety.

Ten „Żołnierz Wolności” to cztery strony, jakieś rysunki i zdjęcia, gęsty tekst.

– Doceń sam, jaki papier – powiedział Hesio. – Jaki dobry.

Potarłem palcami pierwszą stronę z wydrukowanym wielkimi literami nagłówkiem „Nadszedł czas krwawej pomsty” i pokiwałem głową z miną, że się na tym znam i doceniam. Przy okazji rzuciłem okiem na początek artykułu.

Nadszedł czas krwawej pomsty za łzy, pogorzeliska, cmentarze i domy udręczeń.

Niech wasze bagnety i wasze pociski uderzają spokojnie, ale pewnie, jak topór drwala. Naprzód do walki, żołnierze Pierwszej Dywizji!

No, lepsze to niż „ŻYDZI, WSZY, TYFUS PLAMISTY”.

– Specjalnie zadbaliśmy o papier, żeby nie miał za dużo smoły – mówił dalej Hesio. – Żeby żołnierze się nie potruili, bo cały nakład schodzi nam zawsze na pniu.

– Co? Jak to?

– Żołnierze tną gazety na małe kawałki, wsypują tytoń i kręcą papierosy. Wszyscy kurzą.

No to rozumiem! Teraz poznałem dawnego Hesia i spojrzałem na niego z prawdziwym, niekłamanym podziwem. Ta głowa nie służy do noszenia czapki, jak mówił nasz ojciec.

Byłby dobry interes nawet – pomyślałem po chwili – gdyby nie to, że niedopracowany, bo rozdają gazety za darmo.

Nie wiem dlaczego, ale miałem pewność, że to właśnie na moim miejscu powiedziałby nasz ojciec. Tak jak on najlepiej z całej rodziny mnie rozumiał, tak ja jego. Czasem wydaje mi się, że Nathan Stramer od środka podpowiada mi, co pomyśleć albo powiedzieć. Rozumiecie? Jakbym miał go w sobie, naszego ojca.

W sztabie dowódcy gadali po rusku, wychudzeni żołnierze nosili polskie orzełki na czapkach, a cały sprzęt, łącznie z telefonami, był amerykański.

Wieża Babel.

Ktoś coś rozumie z tej wojny? Poza tym, że wreszcie się kończy.

Usiedliśmy w kuchni. Zaraz na stół wjechała wódka i wtedy mój brat mnie po prostu nie poznał. Ale nie dlatego, że przez te cztery lata też trochę wyłysiałem i wybili mi zęby we Lwowie, czy że jestem Stanisławem Kuczyńskim, a nie Nuskiem Stramerem.

Oni pili w takich małych kieliszkach, pięćdziesiątkach. A ja im mówię:

– Co wy? Pijecie czy nie? Dawajcie tutaj całą szklanę tego.

I pokazałem im, jak się pije. Tego mnie ta wojna, do spółki z Kazikiem Bugą, nauczyła.

Od razu wszyscy przy stole inaczej popatrzyli na pułkownika Webera, jakby chcieli powiedzieć: widać, że swój chłop i że młodszy brat mu się udał.

Niewiele więcej z tego dnia pamiętam. Hesio nie musiał mnie przekonywać, żebym z nimi został, nie wracał już do Jeziorny. Znajdzie mi robotę, w armii zawsze potrzeba fachowców. I na pewno zostałem we Włochach na noc.

Następnego dnia musiałem wrócić do Mareckich po swoje rzeczy. Dużo tego nie było, kilka starych ciuchów, ale zawsze. Nic więcej nie miałem. No i z Zośką też się chciałem pożegnać. Ostatni raz pójść do łóżka. Do niej najbardziej mnie ciągnęło.

Wysiadłem z kolejki w Jeziornie. W głowie już sobie planuję: najpierw pójść do Mareckich, potem do Kazika, a na koniec wreszcie do Zośki. Z głównej drogi skręciłem w boczną. Kazik kiedyś mi pokazał ten skrót. Dwóch typów za mną skręciło. Co w tym dziwnego? Zawsze ludzie tędy chodzą. Nagle czuję takie dotknięcie, ukłucie w plecy.

– Nie odwracaj się. Idź prosto.

– Nie mogę iść prosto – mówię – bo tu zaraz skręcam do Mareckiego.

– Nigdzie nie skręcasz – docisnęli mi lufę do pleców. – Albo Marecki cię będzie zbierać. Z ziemi.

– Co wy? Jasna cholera!

– Nie gadaj. Uśmiechaj się. Rozmawiamy jak przyjaciele.

Wyprowadzili mnie tą ścieżką gdzieś pod las.

– Szukamy Wacka – mówią.

– Jakiego Wacka?

– Nie udawaj, bo w mordę dostaniesz. I zaraz sobie przypomnisz, kto to jest Wacek.

Myślę: to pewnie jego kumple z lasu. Wiedziałem już, jak z nimi gadać.

– Słuchajcie, nie rozmawiajcie ze mną jak gestapo – mówię. – Ja jestem Polakiem. Ja wam mogę wszystko powiedzieć, jak jest. Ale nie...

– No to powiedz, gdzie jest Wacek.

Czyli Rusczy pewnie go kropnęli. A uprzedzałem gówniarza.

– Nie wiem, gdzie jest Wacek. Nie widziałem go od paru dni. Nawet nie wiem, czy dalej z Zośką mieszka.

Patrzę na ośnieżone brzozy. Czy to ma być mój ostatni widok?

– Czy mieszka teraz w Warszawie? – pytają.

– Nie wiem, czy mieszka w Warszawie. Bo skąd ja mam wiedzieć? A Warszawa w ogóle jest do zamieszkania?

– No dobra... Odwróć się.

Co jest grane? Pozwalają mi się odwrócić, bo nie chcą strzelać w plecy?

Powoli się odwracam. Dwóch chłopaków. Gówniarze w wieku Wacka. Też pryszczaci na gębach. Nigdy wcześniej ich nie widziałem.

Ręce, w których trzymają pistolety, mają całe czerwone, odmrożone.

– Gdzie idziesz? – nawet nie wiem, który zapytał, bo patrzyłem na lufy.

Który pierwszy pociągnie za cyngiel?

A wiecie, jaką miałem ostatnią myśl? Znowu o naszym ojcu i o mnie. Że jak on byłem już w mojej Ameryce. I po cholere tu wróciłem?

- Do kowala Mareckiego – pokazałem ręką mniej więcej kierunek.
Czy znajdą mnie tu jutro zamarzniętego?
- Mieszkam u niego. Chodźcie, zobaczycie.
- No dobra. Ale Wacka szukamy.
- Zgubił się czy co? A wy kto?
- Jest wyrok śmierci na niego. Wsyłał nas.

IV

RÓŻA – BABUNIA

Babunia od pół roku nie zabierała jej ze sobą na Kleparz. Od kiedy Róża urosła (była już prawie wzrostu Babuni) i za bardzo zaczęła zwracać uwagę mężczyzn.

Na targu musiała nosić cały czas chustkę na głowie, bo nie dało się już w Krakowie dostać perhydrolu.

To nawet nie mężczyźni byli tak naprawdę problemem na Kleparzu, tylko zazdrosne koleżanki, które też dorosły. Pewnego dnia w lecie, kiedy spod chustki wylazły jej czarne włosy, Janka z Zochą zaczęły wołać:

– Jesteś Żydka!

– Dziecko. – Babunia przytuliła ją w domu wieczorem. – Co te małe kurwy chciały od ciebie?

Róża skrzywiła usta jak do płaczu.

– No co szczekały za tobą?

– Że jestem Żydka.

– Gdzie tam?! Głupstwa gadasz! – Babunia przycisnęła ją mocniej do siebie. – Przesłyszało ci się.

– To co krzyczały? – spytała Róża.

– Pewnie, że jesteś brzydka.

– To one są brzydkie – dodała po chwili Babunia. – Jesteś z nich najładniejsza, a one ci zazdroszczą.

Ale więcej nie wzięła jej ze sobą na Kleparz.

Dla Babuni była „skarbem”, „ósmym cudem świata”, „najpiękniejszą Różyczką”, „księżniczką”. Córki zarzucały jej, że kocha Różę bardziej od własnych dzieci i wnuków.

I Róża wiedziała, że to prawda. Czekając na powrót swojej opiekunki, modliła się do figurki Jezuska na krzyżu, która stała na półce obok komunijnego zdjęcia jednego z wnuków Babuni.

– Żeby Babunia nigdy nie umarła – prosiła.

Wystroiła tę kapliczkę sztucznymi kwiatami z bibułki, które nauczyła się robić na wsi.

Najbardziej lubiła czytać, ale Babuni rzadko udawało się przynieść jakąś książkę. Na dwunaste urodziny dostała zeszyt w linie (prezent od pani Norkowej) i ołówek (prezent od pani Dyniowej). Przez kilka dni pisała dziennik. Potem Babunia powiedziała, że to jednak niebezpieczne, i spaliły go.

Róża wypytywała, co nowego na Kleparzu. Ceny powariowały – o niczym innym się nie gada. A pani Norkowa i pani Dyniowa prosiły ją ucałować.

Ani słowa o tych małych dziwkach, które czekały, że „Maryśka śmierdzi czosnkiem” i „czuć ją Żydem na milę”. Ani o tym, jak Babunia skutecznie je uciszyła. Wystarczyło, że wzięła rzeźnicki nóż ze stoiska pani Norkowej i przyłożyła go, gdzie trzeba. Zaraz wszystko odszczekały.

Babunia zamiast o łapankach na mieście opowiadała Róży, jak w dzieciństwie skończyła trzy klasy szkoły i poszła paść gęsi.

– Kto to wymyślił: „głupia gęś”?! – śmiała się. – Są mądrzejsze od niejednego z nas.

Opowiadała, że jak dorosła, wyjechała do Krakowa i niewiele starsza od Róży służywała już po domach, głównie żydowskich.

W suterenie wciąż było zimno i wilgotno. Kiedy Róża zaczęła kaszleć i kichać, Babunia pojechała na wieś do zielarza. Nigdy nie chodziła do lekarzy. Róża lubiła te nazwy jak z bajki: miodunka, owoc głogu, liść pokrzywy. Ale smak miały tak gorzki, że wyzdrowiała szybciotko chyba tylko dlatego, żeby ich więcej nie pić.

Na jesieni Babunia tuż przed snem powiedziała Róży, że ciocia Wela i wujek Natek też ją całują.

Róża myślała, że się przesłyszała, podniosła głowę z poduszki i rzuciła się na Babunię z pytaniami. Jak się spotkali i odnaleźli? Dowiedziała się tylko, że Wela z Natkiem dotarli do Krakowa razem z innymi uciekinierami z powstania w Warszawie. Babunia dostała

wiadomość. Rano zajechała po nich fiakrem i zawiozła w bezpieczne miejsce, czyli do „nieważne gdzie”.

– Mówili coś o rodzicach i dziadkach?

Babunia pokręciła głową.

Tej nocy Róży przyśniło się, że jest znowu w getcie w Tarnowie. Wyszły z mamą zdobyć coś do jedzenia. Mama na ulicy poślizgnęła się na zamrożonej kałuży i uderzyła w kolano. W drodze do domu kulą, a Róża mocno trzymała ją za rękę, żeby znowu nie upadła. Potem topiły na patelni słoninę, a babcia i dziadek nie mogli tego wytrzymać. Nic im nie powiedzieli, ale otworzyli okna i wyszli z mieszkania.

Róża obudziła się z ulgą, że jest z Babunią.

Od prawie czterech lat.

Z sutereny na Płaszowskiej przenosiły się czasem do starszej córki Babuni na krakowskie Azory albo do młodszej, która wciąż mieszkała z mężem grabarzem w Borku Fałęckim.

W tym czasie Róża dorosła na tyle, że zrozumiała: Babunia tymi ogromnymi ilościami jedzenia, które przywoziła córkom w tobołkach, tak naprawdę przekupuje je, opłaca jej pobyt.

Nigdy u żadnej z córek nie zostawała dłużej niż dwa tygodnie.

Jak raz w Borku skrzywiła się na widok pomidorowej ze ściętą śmietaną, usłyszała:

– Inne żydowskie dziecko oddałoby za to życie.

A jak ucieszyła się na chleb posypany cukrem i wyrwało jej się:

– Ale rarytas!

Usłyszała:

– Nie mów tak. To po żydowsku.

Z Babunią mogła mówić, jak chciała. U nich była Żydówką.

Kiedy kłótni robiło się coraz więcej, Babunia pakowała ją i wracały do Krakowa, tak jak zawsze.

W drodze Babunia mamrotała do siebie:

– Modli się pod figurą, a ma diabła za skórą.

Najlepiej im było w suterenie na Płaszowskiej, bo tam były tylko we dwie.

W styczniu zrobiło się tak zimno, że Róża leżała w płaszczu i w butach, zaścielona pierzyną albo za łóżkiem, jak waliło i leciały szyby.

Babunia mówiła, że to idą Ruskie.

Gdzie miała się schować? Nie dało się tu bawić w chowanego. Nie było skrytki w ścianie, jak na Azorach, czy w podłodze, jak w Borku Fałęckim.

Nie było w ogóle podłogi. Jak padał deszcz i zalewało suterenę, Babunia nożem robiła dziurę w klepisku i tam ta woda spływała.

Róża, obierając za łóżkiem zmarznięte kartofle, obserwowała przez okienko „koniec wojny”, jak mówiła Babunia. Chuchała na czerwone, spuchnięte palce i patrzyła na wojskowe buty, które brnęły w śniegu. Czy to już ruskie, czy jeszcze niemieckie?

W myślach mówiła na ludzi „dwunogi”.

Patrzyła, jak pochyleni odkrawają mięso z czworonoga, martwego gniadego konia, który leżał po drugiej stronie ulicy.

Martwiła się, że kot przestał do niej zaglądać.

Raz zobaczyła sztywno idące cztery dwunogi. Śmiesznie wyglądały – jak dżdżownica. Po tym, jak ukucnęły, zorientowała się, że to niemieccy żołnierze, którzy we czterech z trudem nieśli jedno działo. Kiedy nikt (tak myśleli) nie patrzył, ostrożnie położyli je na ziemi i uciekli.

Od rana do nocy słychać było strzały i turkot wózków na kamiennym bruku. W mieście śmierdziało papierosami, bo paliła się fabryka monopolu tytoniowego.

Ludzie wynosili z płonących magazynów, co się dało. Cukier, masło, mąkę. Kawę, herbatę, konserwy. Wódkę, wina, koniaki. Biegali z wózkami, plecakami i torbami pełnymi towarów, których nie widzieli od miesiący. Ale na Różę największe wrażenie zrobiło

wielkie koło sera, które ktoś (po butach i palcie trudno było powiedzieć, kobieta czy mężczyzna?) toczył po śniegu jak oponę.

Babunia wróciła wieczorem do sutereny z ciepłymi majtkami, pończochami i skarpetami dla Róży.

– Załóż to.

Z panią Dyniową i panią Norkową odwiedziły niemiecki skład tekstylny na drugim piętrze domu na Mikołajskiej. Norkowa nożem otworzyła kłódkę.

Róża spojrzała niepewnie – czy to znaczy, że mamy wyjść?

Wcale tego nie chciała.

– Nie będziesz mi, dziecko, w taką pogodę z gołym tyłkiem latać.

Babunia, jak zawsze, miała już wszystko zaplanowane.

– Po północy przyjedzie Piotrek. Zabierze cię do pani Norkowej.

Róża pokręciła głową – dobrze nam tutaj, po co mamy się rozdzielać?

Ale z Babunią nie było dyskusji.

– Nad ranem przyjdę tam po ciebie i wrócimy tu razem, jakby nigdy nic, żeby wszyscy widzieli.

Wszyscy to była właścicielka domu i jej matka.

Rower ślizgał się na śniegu. Piotrek z trudem pedałowal. Róża przytuliła się do jego pleców, udawała, że jej zimno.

Z budynków znikły wszystkie swastyki, jakby nigdy ich nie było. Na ulicy Wielopole Piotrek pokazał jej rząd porzuconych niemieckich tankietek.

Przejechali przez Rynek. Gdyby Babunia mogła to zobaczyć! Rynek wyglądał jak z bajki. Co kilka kroków paliły się ogniska. Żołnierze w białych kozuchach z przewieszonymi przez ramię karabinami chodzili od jednego do drugiego. Nad ogniem suszyły się skarpety. Albo gotował wrzątek. Niektórzy śpiewali, inni grzali sobie ręce, pili herbatę.

Czy w ich oświetlonych przez płomienie twarzach znajdę tatę?

Szkoda, że nie mogła się im dłużej przyjrzeć. Piotrek tak szybko przejechał.

Pani Norkowa mieszkała zaraz przy Kleparzu. Na powitanie mocno wyczuła i przytuliła Różę, a może raczej się na niej oparła, bo z trudem trzymała się już na nogach. Pachniała wódką i papierosami. Róża przez uchylone drzwi do kuchni zobaczyła gestykulujące ręce z papierosami i usłyszała szczątki rozmowy:

– Poszczyściło się nam. Miasta nam nie rozpiardolili.

W czasie kiedy pani Norkowa, zataczając się, ścieliła jej w pokoju na podłodze przy piecu, w kuchni śpiewali na melodię kolędy:

Dzisiaj w Londynie wesoła nowina:

Tysiąc bombowców leci do Berlina.

Berlin się wali, Berlin się pali,

Hitler ze strachu w portki już wali...

Głośne śmiechy, okrzyki i brzęk szkła wybijały Różę ze snu.

– Zdrowie!

– Za nasze!

– Za klęskę szwabów!

– Za wolność i niepodległość!

Doliczyła się osiemnastu toastów i zasnęła.

Kilka dni później Babunia dowiedziała się, że doktor Brodner wrócił do Krakowa. Zdobyła jego adres. Może wie coś o Rudku, ojcu Róży?

Wyczesła włosy dziewczynki specjalnym gęstym grzebieniem, ubrała ją najlepiej jak mogła, w odświętną sukienkę po swojej wnuczce, i poszły.

Róża czuła się śmiesznie – wystrojona na białą, jakby szła do pierwszej komunii. I to o pięć lat spóźniona, stąd ta za ciasna sukienka.

Ludzie nie cieszyli się już na widok żołnierzy, jak w pierwszych dniach po wyzwoleniu. Raczej obchodzili tę swołocz szerokim łukiem, a zegarki zostawiali na wszelki słuczaj w domu. Kobiety, mijając czerwonoarmistów, garbiły się w workowatych płaszczach i flaczały, jakby ktoś spuścił z nich powietrze.

Od rana pod sowiecką komendą ustawiała się kolejka z zażaleniami.

Babunia, przechodząc obok wojskowych, przyciskała Różę mocniej do siebie.

Ona sama tego wszystkiego nie zauważała. Trzymała pod rękę Babunię i myślała tylko o jednym: co będzie, jak dojdą już na miejsce, zdejmie płaszcz i doktor Brodner zobaczy ją w tym śmiesznym przebraniu?

Co zrobi ten ważny pan, o którym Babunia tyle jej po drodze mówiła? Pewnie w życiu nie widział czegoś takiego. Mimo że „to doktor, no ale nie lekarz” – jak powiedziała Babunia. Ten wielki pan, któremu przed wojną nieznajomi kłaniali się na ulicy.

Babunia opowiadała teraz o jego córce Irenie.

– Pół Krakowa za nią latało – tak odpowiedziała na pytanie Róży, co to znaczy „smalić cholewki”. – Nic dziwnego, że zawróciła w głowie twojemu wujkowi Salkowi. A on jej, jak się poznała na nim. Ci młodzi tak się zakochali. Aż twój tata był o nią...

Babunia na chwilę urwała. A Róża zaczęła myśleć, że ta Irena na pewno nigdy nie dałaby się tak ubrać jak ona dzisiaj.

I nie usłyszała już, że Irena umarła przed wojną na gruźlicę.

Czy Babunia wie, że to, co eleganckie w Borku Fałęckim, na Płaszowskiej czy na Kleparzu, nie wygląda już tak wytwornie na Plantach? Może tego nie wiedzieć. Ale Róża, a zwłaszcza pan Brodner, dobrze o tym wiedzą.

Żeby się przekonać, wystarczy spojrzeć na kolorowe witraże w kwiaty i motyle na szerokiej klatce schodowej, na którą właśnie weszły.

Róża zapięła się na ostatni guzik pod szyją.

Może udawać, że jej zimno, i zostać w płaszczu w mieszkaniu.

A co, jeśli na domiar złego Babunia nie dość dokładnie ją wyczesła? Doktor Brodner każe im usiąść, a Róża zapomni się i nie daj Boże oprze głowę na krzesło albo fotelu.

I wszy przeskoczą.

Wolałyby już być w chustce. Chustka na Kleparzu ją ochroniła. Na spółkę z medalikiem z Matką Boską Częstochowską. A w tej sukience i z rozpuszczonymi włosami nie udałoby się jej ukryć.

Stały na drugim piętrze pod wysokimi rzeźbionymi drzwiami. Babunia zdjęła czapkę i poprawiła związane ciasno w kucyk siwe włosy.

Przeżegnała się i zapukała.

Otworzył wychudzony chłop w długiej białej koszuli, która zwisała mu aż do kolan. Miał siwe wąsy i siwe włosy.

– Dzień dobry, o co chodzi? – zapytał ostro.

Może pomyliły drzwi?

Róża pomyślała, że on też tu nie pasuje. Od razu widać, że jest ze wsi. Przynajmniej Babunia będzie wiedziała, jak z nim gadać. Ale nawet na niej ten strój musiał zrobić wrażenie, bo wciąż jeszcze się nie odezwała.

– Mówcie szybko, bo mam dużo pracy – powiedział.

Róży przypomniało się, że mama przed wojną miała podobną koszulę nocną. To pewnie służący Brodnera, który zaraz zaprowadzi je do gabinetu pana doktora.

Nie, jego koszula była jednak inna od koszuli mamy. Miała stójkę i guziki z boku po lewej stronie, idące wzdłuż haftowanego brzegu.

Jej pijąca pod pachami komunijna sukienka to przy tym szczyt elegancji.

Przed chwilą na ulicy myślała tylko o tej sukience, a teraz dziwaczna chłopska koszula przysłoniła jej wytworny jasny korytarz, którym przeszły do przestronnego salonu, tak że nawet nie słyszała rozmowy Babuni ze służącym.

Służący musiał zauważyć, na co się zagapiła.

– To typowa kosoworotka – wyjaśnił z uśmiechem. – Przywiozłem ją ze Związku Radzieckiego. Pisarz Tołstoj też w takiej chodził. I Gorki. To i Brodnerowi nie zaszkodzi. A czy ty, dziecko, umiesz pisać?

Nie odpowiedziała.

Podbródkiem, ustami i oczami powstrzymywała łzy. To przez Babunię! Gdyby przed chwilą w korytarzu nie zdjęła jej płaszcz, Róża nie wyglądałaby teraz jak dziewczynka, która nie umie pisać.

– Głucha? – spytał Brodner.

– Dziecko umie ładnie pisać, panie doktorze – odpowiedziała Babunia.

– To niech zaraz siada tu i pisze list do ojca – Brodner położył ręce na ramionach Róży i posadził ją przy biurku. – Że żyje. I niech poda wasz adres. Tylko szybko.

Podsunał jej papier i wsadził wieczne pióro do ręki.

Róża pochyliła się nad kartką, jak najdalej od miękkiego oparcia krzesła.

– Ja się zajmę resztą. Nic nie obiecuję, bo nie wiem, czy... – Brodner spojrzał na Babunię. – Sama pani rozumie.

„Kochany Tatusiu” – stalówka prawie zrobiła dziurę w papierze.

Róża nigdy nie pisała piórem, tylko ołówkiem od pani Dyniowej. Niebieskie litery wychodziły jej koślawe, jakby każda z nich chciała przyznać rację Brodnerowi, że dziecko nie umie pisać. Walczyła z nimi, siłą próbowała je prostować, list był pełen atramentowych śladów tej walki. Palce też miała już całe niebieskie.

Była tak zajęta pisaniem, że prawie nie słyszała rozmowy, która toczyła się nad jej głową. O tym, że Brodner za dwa tygodnie jedzie do Wrocławia na prezydenta miasta.

– Panie, ja jedno wiem – powiedziała Babunia. – Przed wojną, w czasie wojny i teraz polityka to zawsze, za przeproszeniem, kurwa-złodziej.

– Kochana pani Zegarlińska... – Róża usłyszała śmiech Brodniera. – Ma pani świętą rację, że tak było i jest. Ale trzeba pani wiedzieć, że tak już nie będzie.

I zaraz potem Róża zauważyła zdziwioną minę Babuni, kiedy zaczął jej opowiadać coś o socjalizmie i „republice brodnierowskiej”, którą wprowadzi we Wrocławiu. W zamian za pracę ludzie będą mieli wszystko za darmo: mieszkanie, jedzenie, ubrania.

– Zlikwiduję pieniądze. Nie będą już potrzebne.

Babunia wyglądała na rozbawioną, ale nic nie powiedziała, a może Róża nie dosłyszała jej słów?

Była zajęta swoimi.

Pod koniec listu o mało nie złamała stalówki, kiedy pisała, że tęskni do Mamusi i Tatusia, i też mało brakowało, a oparłaby się o krzesło. W ostatniej chwili Babunia pogłaskała ją po głowie.

Róża ostrożnie wstała. Podała gotowy list Brodnerowi, szybko schowała ręce za siebie i czekała, co pan doktor powie. Czy to wystarczy? Czy wystarczy, żeby przekonał się, że umie pisać?

Brodner zerknął na kartkę i zaczął rozglądać się po salonie. Róża szła za jego wzrokiem.

Maszyna do pisania na stole, telefon i gramofon na masywnej komodzie, szare teczki, którymi zawalony był parapet, wiszące na ścianie okrągłe lustro, gazeta „Żołnierz Wolności” na zielonej kanapie, ramka ze zdjęciem dziewczyny ze śmiejącymi się oczami na niskim stoliku, obok zdjęcia pełna szklana popielniczka i dwie książki rozłożone tak, jak jeszcze przed wojną mama uczyła ją, żeby nigdy książek nie rozkładać, grzbietami do góry, jedna z napisem Platon *Państwo*, druga Fourier.

Tytułu tej drugiej nie zobaczyła, bo był zasłonięty, przykryty tym, czego Brodner szukał.

I po chwili wrócił od stolika już z okularami na nosie. Samo ich szukanie zabrało mu więcej czasu niż przeczytanie i złożenie na pół, a potem na cztery listu Róży.

– No ładnie, ładnie napisałaś – powiedział, wkładając list do koperty. – Nie musisz chować rąk, dziecko. Nie ma się czego

wstydzić.

Róża spojrzała na Babunię, która przytaknęła doktorowi.

– Niedługo pójdziesz do szkoły – powiedział Brodner. – I zobaczysz. Zobaczysz, że wszystkie dzieci brudzą sobie ręce od pisania.

Brodner znowu popatrzył w stronę niskiego stolika, na którym przed chwilą znalazł okulary.

– Moja Irenka też zawsze tak wracała ze szkoły, z palcami poplamionymi atramentem.

Jak to się stało, że Róża dopiero teraz usłyszała to, co po drodze opowiadała jej Babunia? I zrozumiała, że tej Irenki ze zdjęcia już dawno nie ma.

Brodner odłożył okulary na stolik.

Tydzień później, kiedy wracały po całym dniu na Kleparzu (wciąż była tam Maryśką), Róża zobaczyła z daleka, że pod ich kamienicą na Płaszowskiej stoi wojskowe auto. W środku ktoś palił papierosy. Te żarzące się końcówki dobrze było widać w wieczornym mroku.

Kiedy doszły do bramy, papierosy wylądowały na śniegu.

– Róża? – jakaś kobieta wyskoczyła z samochodu. – To ty?

Była w mundurze z zielonym krawatem.

– To ona. – Kobieta odwróciła się do mężczyzny siedzącego na miejscu kierowcy i ogłosiła na całą ulicę: – Dziecko żyje!

Róża nie wiedziała, gdzie się schować.

– No pokaż mi się. Niech ci się przyjrzę. – Mężczyzna wysiadł i poprawił okrągłe okulary. – Jak ta brataniczka nam wyrosła!

Miał taki sam krawat i mundur jak kobieta, tylko więcej gwiazdek na ramionach.

Róża wtuliła się w Babunię.

– Poznajesz nas? – zapytał mężczyzna. – Ciocię Renę i stryja Hesia?

Wycalowali ją i obsłiniли, a potem to samo zrobili Babuni, która się od tego aż pobeczwała.

– Twój tatuś żyje – powiedziała kobieta. – Zawieziemy cię do niego. Nie cieszysz się?

Czemu są tacy hałaśliwi? Czego tak wrzeszczą? – Róża rozejrzała się po Płaszowskiej.

Wszyscy już i tak ich widzieli. Zgarbiony cień matki właścicielki kamienicy jak zwykle stał w oknie za firanką.

Oni się jej nie boją? Nie boją się, że ich wyda?

Czy oni są z jakiegoś innego świata?

Nie umieją być cicho?

Na schodach dalej krzyczeli do Babuni, jak to niedawno pod Warszawą odnaleźli Nuska.

– Ktoś słyszał, że przed powstaniem zadekował się u jakiejś kobiety w Jeziornie. Tylko nazwiska nie pamiętał. Coś wspólnego z drewnem. No to jeździliśmy po Jeziornie od chałupy do chałupy i pytaliśmy o panią Drewnowską. Ludzie kręcili głowami. To może Dębowska? Dąbrowska? Na pewno nie. Albo pani Szafowa? Aż jednemu się przypomniało. Wdowa po fryzjerze to pani Deskowa, Zofia Deska!

Czemu tak głośno się śmieją? Czemu tak ryczą?

A to był dopiero początek. Na dobre rozkręcili się, kiedy Babunia otworzyła drzwi do sutereny.

Ale najpierw przestali się śmiać i zamilkli.

– Boże drogi! – krzyknęła kobieta po chwili. – To biedne dziecko mieszkało w takiej cuchnącej norze!

Babunia przygarbiła się.

Było za późno, żeby Róża schowała się pod pierzyną albo rzuciła za łóżko. Zdążyła tylko opuścić głowę.

Na szczęście niedługo potem poszli. Może do doktora Brodnera?

W nocy Babunia już dawno chrapała, a Róża dalej miała otwarte oczy. Wcale nie z podniecenia i radości, że zobaczy jutro tatę.

Zamiast dziękować Bogu i Babuni, że żyję – powtarzała sobie – jeszcze psioczą na warunki.

W myślach wygarniała im, że nie są już jej rodziną. Jej prawdziwa rodzina to Babunia. I Róża na zawsze z nią zostanie. Nawet w tej cuchnącej norze.

Nigdzie się stąd nie ruszy.

Następnego dnia rano ciotka z wujkiem znowu przyjechali. Babunia jak zawsze szybko ją spakowała. Kiedy Róża wsiadała do samochodu, ciotka Rena zauważyła łańcuszek z Matką Boską Częstochowską. I spróbowała go zerwać.

Róża wyrwała się.

– Zostaw – powiedział wujek Hesio.

Ciotka spojrzała na niego znacząco. Róża dobrze знаła takie spojrzenia. W Borku Fałęckim rodzina podobnie patrzyła na Babunię, kiedy razem do nich przyjeżdżały. A teraz tam, gdzie jadą, mogą mieć kłopoty przez Matkę Boską Częstochowską?

Co to za miejsce?

RÓŻA – RENA – HESIO

Droga od Babuni do taty była długa, wyboista i pełna dziwnych rozmów.

Róża udawała, że ich nie słyszy.

Wbrew zachętom ciotki nie podziwiała przez szybę „naszej pięknej Wisły”. Od kiedy Babunia i jej ręka machająca jak samochodowa wycieraczka zrobiły się tak małe, że Róża przestała je widzieć, położyła się na tylnej kanapie z rękami pod głową i przymknęła oczy.

Czuła brzuch.

Coś jakby ćmiło ją w środku. Nie знаła takiego uczucia, bo nigdy wcześniej nie jechała samochodem. Na szczęście wujek jeszcze wczoraj uprzedził, że od jazdy może jej być niedobrze. Dlatego nie tknęła śniadania.

Spod przymkniętych powiek widziała zajmującego oba fotele dwugłowa w zielonym mundurze z czterema rękami, fragment kierownicy, widok spomiędzy przednich siedzeń na drogę i zachmurzone niebo.

Śledziła krople deszczu. Której uda się spłynąć najdalej po szybie, zanim zmiecie ją wycieraczka?

Po jakimś czasie ciotka i wujek przestali odwracać się do tyłu, żeby pytać, jak przeżyła okupację, kiedy ostatni raz widziała mamę i dziadków, czy rodzina Babuni na pewno nie zrobiła jej na wsi żadnej krzywdy. Zerkali na nią tylko, żeby sprawdzić, czy nadal śpi.

– Dobrze, że mała tego nie widzi – komentowali trupy na poboczu.

– Czemu nie chce z nami gadać? – spytała ciotka.

Wujek wzruszył gwiżdżkami na ramionach.

– Przeszła swoje – powiedział. – Może potrzebuje czasu?

Ciotka spojrzała do tyłu i ściszyła głos.

– Małe szanse, że jej mama przeżyła, co? Albo zabili ją w Tarnowie. Albo uciekła kominem w obozie. Dlaczego ta Babunia jej też nie wyprowadziła z getta? Nie mogę tego pojąć. Ani dlaczego wcześniej Rudziu nie zabrał ich ze sobą na Wschód? Powinien był to zrobić.

Różę rozboleł brzuch. Teraz już nie ćmiło, ale kręciło ją w środku.

Głupoty gadają!

W dupie byli i gówno widzieli, jak mówi pani Norkowa.

Róża chciała zatkać sobie uszy, ale wtedy wyszłoby, że nie spała i wszystko słyszała.

Jak się ucieka kominem? Dokąd?

Leżała w bezruchu, bezszelestnie, jak za łóżkiem w suterenie na Płaszowskiej.

Zatrzymali się przed szlabanem.

Żołnierz w szarej pelerynie, którą śmiesznie wydymał wiatr, ruszył w kierunku ich samochodu.

Wujek pokręcił korbką, szyba opuściła się i kilka kropel poleciało nawet na Różę. Ale nic nie dała po sobie poznać.

– Droga wolna, pułkowniku! – krzyknął żołnierz i Róża zobaczyła, jak szlaban się unosi.

Wujek szybko pokręcił korbką w drugą stronę. Przestało na nią padać i pojechali.

– A Lipska? – Róża usłyszała po chwili głos wujka. – Wiesz coś o niej?

– Kto? – ciotka odwróciła do niego swój ostry profil.

Róża dobrze wiedziała. Mimo że nie słyszała tego nazwiska od początku wojny. Ta twoja blond kurewka – jak mówiła matka do ojca.

– Nie pamiętasz? Ładna dziewczyna z piegami i zgrabnymi nogami. Z biura Rudka.

Ciotka pokręciła głową.

Czy to znaczy, że nie pamięta? Czy że Lipska jej też się nie podoba, jak mamie?

Twarz ciotki, której nie mogła zobaczyć, mówiła pewnie wszystko.

Wujek zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął.

– A co jej miało niby grozić w czasie okupacji? Że złamie obcas albo paznokieć? – zaśmiała się ciotka. – Takie jak ona dawały dupy szkopom. Miały się jak pączek w maśle.

Róża zauważyła, że wujek zacisnął mocniej rękę na kierownicy, ale się nie odezwał.

– Dawały dupy szkopom, którzy zamordowali nam rodziców – dodała ciotka.

Na Kleparzu też ciągle gadało się o dawaniu dupy. O tym, kto komu ją daje i za co. Widać tym głównie zajmują się dorośli. A przynajmniej to ich ulubiony temat.

Róży zrobiło się niedobrze. Może powinna była jednak coś zjeść?

Wyobraziła sobie paskudny smak ziół, które Babunia dała jej raz na żołądek. Na chwilę pomogło.

Przez kilka następnych kilometrów dwugłów patrzył tylko w milczeniu przed siebie i wydmuchiwał dym z dwóch papierosów naraz. Może to przez ten dym jej niedobrze?

Ciotka odezwała się już łagodniejszym tonem:

– Zobacz, wychodzi słońce.

Wujek wzruszył ramionami, jakby mówił: No i co z tego?

– Może będzie tęcza – powiedziała ciotka.

Róża ze swojego miejsca widziała tylko pojedyncze promienie, które z trudem przebijały się przez deszcz.

Czy ją stąd zobaczę? – zastanawiała się.

– Słyszałeś o Benku Laubharcie? – spytała ciotka, ale chyba bez większych nadziei na odpowiedź, bo prawie od razu zaczęła mówić dalej: – Szkoda chłopaka.

Róża skądś pamiętała to imię i nazwisko. Pewnie też jeszcze z domu rodziców.

– Welka mi mówiła, że przez całą okupację świetnie sobie radził w Warszawie. Handlował i kombinował. Zgrywał szlachciurę. Miał wąż i lipne papiery. A jak zaczęło się powstanie, to uciekł do Krakowa.

Wujek zerknął do tyłu (Róża szybko zacisnęła oczy tak mocno, że przez chwilę rzeczywiście nic nie widziała), zanim odpowiedział:

– Jego ci szkoda? To był dopiero kawał skurwysyna. Ja przy nim...

– Ty zawsze tylko o sobie – przerwała mu ciotka.

– Ale przystojny. Przyznaję. Pewnie w twoim typie.

– Tylko to jedno ci w głowie! – ciotka obruszyła się. – Świnia.

– Masz rację – wujek zachrumkał trzy razy.

Zupełnie jak warchlaki w chlewie w Borku, teraz znowu zaczną się ze sobą żreć – pomyślała Róża.

Przygryzła wargi, żeby się nie uśmiechnąć.

– Wiesz – powiedziała ciotka. – Dużo młodszy od ciebie już dawno dorośli.

– Ich strata – odpowiedział Hesio. – No i co dalej z tym twoim Benkiem?

Róża poczuła, że jej siedzenie zrobiło się wilgotne.

– Zaraz po przyjeździe do Krakowa aresztowali go jako Polaka. Za jakieś lewe interesy. Trafił do więzienia na Montelupich. Dalej wiadomo – ciotka rozłożyła ręce zupełnie jak dziadek Nathan w tarnowskim getcie.

Róży przypomniało się, jak powtarzał babci i mamie, że jeśli po tej wojnie zostanie jeden Żyd, to będą go obwozić w klatce i pokazywać. Czy to ją będą obwozić?

Dziwne. Coś musiało się wylać na siedzenie. Powoli wyjęła rękę spod głowy.

– Dzień przed ewakuacją szkopy rozstrzelały wszystkich więźniów – ciotka dokończyła historię o Benku.

Róża dotknęła spódnicy, która też była mokra. Spojrzała w dół na czerwone palce i aż krzyknęła.

– Co się stało? – obie głowy odwróciły się w tym samym momencie.

Róża schowała palce między kolana.

– Nic – pierwszy raz odezwała się w samochodzie i na wszelki wypadek usiadła.

Ciotka zerknęła na wujka, jakby mówiła:

– Obudziłeś ją tym swoim cholernym chrumkaniem.

Wujek spojrzał na Różę i złożył usta w dzióbek, jakby znowu chciał chrumknąć, ale wydał nowy dźwięk. Coś jak uderzenie końskich kopyt o bruk.

– Znasz to? – zapytał.

O co mu chodzi?

– Tata cię tego nie nauczył?

Teraz dołączyła ciotka:

– Jak późno wracaliśmy do domu, kłaskaliśmy na ulicy i mama wpuszczała nas przez okno. Spróbuj – zachęcała ciotka.

– To był nasz znak z dzieciństwa – powiedział wujek. – Znak rozpoznawczy Stramerów.

– Popatrzcie do przodu – zawołała Róża. – Jaka piękna tęcza!

Pół godziny później, kiedy dojechali do Jarosławia, nie było już po niej śladu. Ale krwi niestety było coraz więcej. Przejechali przez rynek i zatrzymali się w bocznej uliczce pod drzewem. Róża specjalnie wysiadła ostatnia, wciąż trzymając ręce między nogami.

Na co zachorowała? Czy to gruźlica? Czy inna śmiertelna choroba?

Czy umrę, jeszcze zanim zobaczę ojca?

To już lepsze niż mu się tak pokazać.

Przynajmniej nie będą mnie obwozić i pokazywać. Tylko Babuni jej było szkoda. Czy przeżyje śmierć swojej Różyczki?

Spojrzała na wujka i ciotkę, którzy czekali na nią już na ulicy.

Oboje się uśmiechnęli. A ciotka pokazała jej ręką z papierosem, żeby się pospieszyła.

Dopiero pożałują, że byli tacy niedobrzy dla Babuni. Miałam rację, że nie chciałam jechać – pomyślała.

– Jak ja nie lubię mieć racji! – mówiła często zrezygnowanym głosem pani Norkowa na wieść o kolejnych wojennych nieszczęściach, które przewidziała na Kleparzu.

Czy to samo powtórzy na moim pogrzebie?

Gdyby Róża została z Babunią, nie umierałaby teraz na środku jakiegoś obcego miasteczka. Może to kara za to, że ją zostawiła?

Róża wygramoliła się wreszcie z samochodu.

Szkoda, że już nie leje. Mogliby pomyśleć, że to przez deszcz tak zmokłam.

– Zrób coś – powiedział nagle wujek do ciotki. – Przecież widzisz.

Ciocia zabrała jej tobołek z samochodu, wzięła Różę za rękę i zaprowadziła do kamienicy, pod którą stało kilka takich samych wojskowych samochodów. Weszły do zimnej łazienki na półpiętrze. Zapachniało znajomo jak w suterenie na Płaszowskiej. To już lepiej. Ciotka zamknęła drzwi na haczyk.

Bez słowa ściągnęła z Róży sukienkę i majtki. Przeprała je w umywalce szarym mydłem i zimną wodą.

Róża nic nie mówiła i bała się spojrzeć na ranę. Zapatrzyła się na zieloną wojskową czapkę ciotki z brązowym daszkiem. Z góry wydawała się zgrabniejsza od tych wysokich niemieckich, które widywała na Kleparzu.

Ciotka podmyła ją mokrym ręcznikiem.

– Zaczekaj – powiedziała i wyszła.

A jak ktoś teraz wejdzie? Czy zamknąć drzwi na haczyk?

Trzęsa się z zimna. A może z gorączki? O co zapytać ciotkę, kiedy wróci?

– Czy umrę?

Czy raczej:

– Opatrzysz mnie?

Ciotka wróciła z kartonową apteczką i znowu przy niej uklękła.

– Pierwszy raz? – spytała.

Róża kiwnęła głową.

– Nie martw się – ciotka spojrzała do góry. – To będzie nasza tajemnica.

Róża miała świeżo założone majtki pełne waty. Ciotka już wstała i szukała teraz w jej tobołku innej spódnicy czy sukienki niż biała komunijna po wnuczce Babuni. Róża wiedziała, że innej tam nie ma.

Nie było wyboru i kilka minut później wyszła z łazienki już uczesana i ubrana na biało. Doktorowi Brodnerowi ta sukienka nie przeszkadzała, to może tacie też nie będzie?

Ciotka powiedziała, że ojciec czeka na nią w mieszkaniu na drugim piętrze. Dlaczego nie zszedł na dół, skoro wie, że ona już tu jest?

Z rozmów w samochodzie wyłapała, że ojciec też został oficerem. Nie umiała go sobie wyobrazić w mundurze. Jak wygląda?

Z każdym drewnianym schodkiem była bliżej odpowiedzi. Poczula radosne podniecenie, będzie żyć i zaraz zobaczy żywego tatę, miała ochotę pobiec na górę. Tata zaraz weźmie ją na rękę. Zaraz podniesie pod sam sufit. Zaraz posadzi sobie na barana jak przed wojną.

Nie, nie będzie biegła. Nie może się teraz potknąć i skręcić kostki. Musi patrzeć pod nogi, uważać na stare, podstępne schody.

Ciotka nacisnęła klamkę. Mieszkanie nie było tak eleganckie jak to u Brodnera. Tyle Róża zdążyła zauważyć w korytarzu.

Weszły do ciemnego pokoju – tylko pojedyncze smugi światła przebijały się przez grube zasłony, jak przed chwilą promienie słońca przez zaciągnięte deszczowymi chmurami niebo.

Najlepiej było tu widać jej białą sukienkę.

Dlaczego pokój jest pusty?

Róża spojrzała pytająco na ciotkę.

Dlaczego nie ma tu taty?

Jej oczy powoli przyzwyczajały się do mroku.

Po chwili usłyszała ciche pociąganie nosem dochodzące z rogu pokoju. Róża też tak pociągała nosem, kiedy nie chciała się rozplakać.

I dopiero teraz go zobaczyła. Siedział w fotelu pod regałem z książkami. Miał na sobie mundur i ciężkie wojskowe buty. Opierał głowę na rękach i trząsał się.

Róża pierwszy raz w życiu widziała mężczyznę, który płacze. Przestraszyła się i zrobiła krok do tyłu.

V

RÓŻA – RUDEK

W mieszkaniu taty w Jarosławiu najgorsze były tablice, które kazał przygotować pułkowemu malarzowi.

Naklejone na tekturę obrazki z dziewczynką o ciemnych włosach.

Miała wrażenie, że wiszą wszędzie. Że nagle ściany stały się lustrzane i że wszędzie się w nich odbijała. Jak w gabinecie luster w wesołym miasteczku, do którego tata zabrał ją przed wojną. Nie dało się przed nimi ukryć.

Wtedy przeraziła się karzełkowatego taty w odbiciu i też się popłakała. Ile mogła mieć lat? Pięć, sześć?

A dlaczego na żadnej ścianie nie ma portretu mamy?

Z obrazka nad jej łóżkiem patrzyła na nią przestraszona dziewczynka, a pod spodem był napis: TRZYMAJ SIĘ PROSTO!

W korytarzu ta sama dziewczynka pochylała się nad szczotką i napisem: TRZYMAJ SIĘ PROSTO I MÓW GŁOŚNO!

W kuchni nad stołem dziewczynka siedziała w szkolnej ławce. Podpis nakazywał: TRZYMAJ SIĘ PROSTO, MÓW GŁOŚNO I UCZ SIĘ PILNIE!

Dlaczego wszystko mam tu robić inaczej niż u Babuni? – myślała.

Tęskniła do ich sutereny.

Nienawidziła tych dziewczynek. Za każdym razem, kiedy na nie patrzyła, miała ochotę skulić się do ziemi, nigdy więcej nie odezwać i jeść tylko samą łyżką, jak na Płaszowskiej. A w myślach pluła na nie, wyzywała je od kurew i dusiła.

Zapamiętała słowa ojca: „To dziecko nie chodziło nigdy do szkoły. Nigdy nie słyszało o matematyce, biologii i geografii. Dobrze, że przynajmniej czyta i pisze”.

Nie wiedziała, do kogo mówił przez telefon.

Po śniadaniu tata codziennie siadał z nią do nauki, a potem zadawał jej wypracowania:

„Mój ulubiony bohater”, „Co się zmieniło w moim kraju po wyzwoleniu?”, „Co to znaczy: Nigdy więcej wojny?”.

Pisała, w czasie kiedy był w pracy.

Na pytanie, co robi, jak wychodzi, odpowiedział, że w sumie to samo co w domu – jest wykładowcą, tyle że pułkowym.

Cieszyła się, że nie każe jej pisać piórem. Na razie ma ćwiczyć ołówkiem. Próbowwała naśladować pismo ojca. Każda jego litera była równa, wyraźna, spokojna i pewna swojego miejsca na kartce.

Porucznik Rudolf Kwietowicz był inny niż Rudolf Stramer. Tak jak ten dom był inny niż ich rodzinny, który pachniał jedzeniem, bo Babunia albo mama codziennie gotowały. Tutaj tata nie brał jej na rękę, nie przytulał. Przy śniadaniu miała nawet wrażenie, że niechętnie na nią patrzy. Za to później godzinami nie odrywał wzroku od jej zeszytów – cierpliwie tłumaczył gramatykę, mnożenie, dzielenie, ułamki i inne tajemnicze sprawy, których nazw nie zapamiętała.

To był ulubiony moment dnia Róży, kiedy tata skupiał się tylko na tym.

– Skąd umiesz uczyć? – zapytała.

– Zarabiałem tak kiedyś na życie.

– Kiedy?

– Jak byłem w twoim wieku. W Tarnowie.

Chciała, żeby coś więcej opowiedział – kogo uczył, czego, ile brał za lekcje? Ale spojrzał na zegarek i powiedział, że musi już iść.

– I tak nie byłoby cię stać – rzucił już w drzwiach.

Oprócz dziewczynek na tablicach najgorsze dla Róży były wszy, telefon i jedzenie. Tata co rano wyczesywał jej włosy gęstym grzebieniem, który przywiozła od Babuni, ale wszy ciągle wracały. Bała się telefonu. Wzdrygała na jego metaliczny dzwonek.

– Odbierz – wołał ojciec z kuchni albo z łazienki.

Róża podnosiła ciężką słuchawkę.

– Z porucznikiem Kwietowiczem – słyszała trzeszczący głos.

– Zaraz poproszę – odpowiadała i za każdym razem odkładała słuchawkę z powrotem na widelki, mimo że tata tyle razy mówił, żeby tego nie robiła, bo rozłącza rozmowę.

Kiedy była sama w domu, nigdy nie podnosiła słuchawki.

Zapytała raz ojca, skąd nazwisko Kwietowicz.

– Znalazłem dokumenty zabitego żołnierza – powiedział.

A jak w takim razie ja się nazywam? Na pewno już nie Róża Stramer, jak przed wojną. Ani Marysia Zegarlińska, jak u Babuni.

– To ja będę Róża Kwietowicz?

Ojciec wzruszył ramionami.

– Zobaczymy. Jakie to ma znaczenie? Ważne, że żyjesz.

– Nie szkoda ci Stramera? – spytała innym razem przy kolacji.

Bo ciągle myślała o tym, co będzie, jak wróci mama. Jak ich znajdzie, jeśli będą mieli nowe nazwiska?

– Szkoda to jest umrzeć – powiedział.

Po południu Róża szła do oficerskiej stołówki, jedli razem obiad, w czasie którego znowu na nią nie patrzył, bo czytał jej wypracowanie.

Ona za to mogła mu się przyjrzeć. Był wciąż potężny, miał ramiona szerokie jak zapaśnik i dużą głowę. Kiedy tak siedział pochylony nad jej zeszytem, widziała, że ma na niej mniej włosów, a na czole więcej zmarszczek niż dawny Rudek Stramer.

Może dlatego jest taki smutny, że też czeka na mamę? Albo żałuje, że nie wziął ich ze sobą na Wschód?

Róża nigdy nie zaczynała jeść pierwsza. Nawet jak była bardzo głodna. Najpierw obserwowała, co tata zrobi z nożem i widelcem. U Babuni przecież nie mogła się tego nauczyć.

Ojciec ubrany po wojskowemu czuł się chyba jak ona w komunijnej sukience. Jakby był więźniem własnego munduru i nie mógł się z niego oswobodzić. Zapinał i rozpinął metalowe guziki. Narzekał, że bluza go pije pod pachami i że ma za krótkie rękawy. A na brzuchu z kolei jest za szeroka. I poprawiał sobie pasek.

– Jak nie urok, to sraczka – mówił.

Kiedy wieczorem wracał do domu, od razu zrzucił mundur i najchętniej chodził po mieszkaniu w koszuli i kalesonach.

Raz zapytał, czy Róża pamięta skórzany pasek, który który dziadek Nathan przywiózł jeszcze z Ameryki. Nie pamiętała.

– Tym lepiej – uśmiechnął się do siebie.

A czy on pamięta to?

– Pamiętasz to, tato?

I stanęła przed lustrem w przedpokoju, zasłoniła sobie włosami nos, usta i podbródek.

– Przestań znowu się wygłupiać! Nie rób tego!

Chciała, żeby to zobaczył.

– Wracaj do lekcji.

Chciała, żeby zobaczył, że górę twarzy – czarne oczy, mocne brwi i wysokie czoło – ma dokładnie takie jak mama.

Czy dlatego ciągle odwraca od niej wzrok?

Niech przynajmniej znowu rozplacze się jak pierwszego dnia, kiedy ostatni raz tak naprawdę ją przytulił.

Róża chciała, żeby w lustrze spojrział jej w oczy, żeby tata spojrział w oczy mamie.

VI

SALEK

Leżał w obcym kraju, w obcym mieście, w obcym łóżku.

Kaszlał i patrzył w sufit. Światło przebijające się przez drzewa za oknem co chwila układało się w coś nowego. Nie musiał nawet zakładać okularów. Teraz na suficie twarz Irki, jego nieżyjącej miłości z Krakowa, przeszła w obraz nielegalnego spotkania już w okupowanej Francji.

Nigdy nie wiadomo, co z naszych czasów zostanie i okaże się najważniejsze dla przyszłych pokoleń.

– A czy wiecie, że jedyne źródło potwierdzające istnienie Chrystusa to krótka notatka u rzymskiego historyka Flawiusza?

W tym czasie stał się przyczyną nowych zaburzeń niejaki Jezus, człowiek mądry, jeżeli w ogóle można go nazwać człowiekiem. Czynił bowiem rzeczy niezwykle i był nauczycielem ludzi, którzy z radością przyjmują prawdę. Zjednał sobie wielu Żydów, jak też i Greków. On to był Chrystusem. A gdy wskutek doniesienia najznakomitszych u nas mężów Piłat skazał go na śmierć krzyżową, jego dawni uczniowie nie przestali go miłować, bo trzeciego dnia ukazał się im znów jako żywy, co o nim, jak i wiele innych zdumiewających rzeczy przepowiedzieli boscy prorocy. I odtąd, aż po dzień dzisiejszy, istnieje społeczność chrześcijan, którzy od niego otrzymali tę nazwę.

Tak przekonywał do sabotażowych akcji zrezygnowanych chłopaków i dziewczyny z ruchu oporu, kiedy pytali, co zmieni jeden wykolejony pociąg czy granat wrzucony do fabryki, która szyje dla Niemców.

To górnicy z Nordu czy krawcy z Paryża? Nie był pewien. Rozmywali mu się przed oczami.

Chusteczka, którą Salek wytarł usta, była czerwona.

Przecież wojna dawno się skończyła, jest już 1946 rok.

To przez gruźlicę te chore wizje.

Słuchacze patrzą miło zaskoczeni, „pozytywnie rozczarowani” (*déçus en bien* – jak mówią Szwajcarzy). Nie tego się spodziewali po komuniście, po *un ancien d’Espagne*, po „dociekliwym towarzyszu”, jak go nazywają. Że trafi do nich poprzez wiarę.

Bo jak inaczej?

Teraz Chrystus znowu zszedł na ziemię. Wersja dla polskich górników. Dla żydowskich szewców i krawców: Mesjasz. Po ich minach widzi, że domyślają się, o kogo chodzi. Nie, nie nazywa się Stalin. Nie nazywa się Lenin. Nie przybrał tym razem ludzkiej postaci. Nazywa się Partia. Zawsze wielką literą.

Zebrani bezgłośnie biją mu brawo i siadają do stołu. To teraz jego rodzinny kuchenny stół na Goldhammera w Tarnowie. Jak zawsze niestabilny, lekko się kiwa, drewnienko spod nogi musiało znów się wysunąć. Są wszyscy, rodzice, bracia i siostry, których nie widział, od kiedy osiem lat temu po śmierci Irki pożegnał się z nimi i pojechał na wojnę w Hiszpanii.

Kochany Bracie!

Chciałabym Ci opisać wszystko, cośmy przeżyli w ciągu tego długiego czasu.

Najsmutniejsze, że nie ma już mojego synka Władzia. Nie przetrzymał – umarł we Lwowie kilka tygodni po urodzeniu. O rodzicach wiadomości żadnych. Z przeróżnych opowiadań o Tarnowie trudno żywić nadzieję, że zostali żywi. Ruth prawdopodobnie zginęła w Oświęcimiu, w obozie. Welusia z Nuskiem byli do powstania pod Warszawą. Pracowali. Obecnie nic o nich nie wiadomo.

Spędziliśmy z Rudkiem dwa lata w Związku Radzieckim w Stalińsku, w niełatwych wojennych warunkach. Hesio był w Moskwie.

A najradośniejsze to, że jesteśmy znowu w kraju, że dywizje nasze prą naprzód i dają się solidnie we znaki szwabom. Połowa naszego rodzeństwa tutaj, w wojsku. Henryk napisze Ci o sobie oddzielnie. Ma pułkownika. Rudek – artylerzysta – ma porucznika. Mój Zygmunt (fotografię załączam) – kapitan. Świetny chłopak. Ja – porucznik.

Tyle pokrótce. Jeśli Cię listy nasze i fotografie znajdą, napiszemy znowu.

Czekamy z niecierpliwością paru choćby słów od Ciebie. Wiadomość o Tobie, otrzymana przez najwyższą władzę ZSRR, że byłeś ważną figurą we francuskim ruchu oporu, wzruszyła nas wszystkich do łez. Napisz, co u Ciebie. Napisz o swoim zdrowiu. Słyszałam, że masz dzieciaka. Z kim?

Kochany! Grunt przetrzymać jeszcze trochę, a chyba spotkamy się wszyscy razem tutaj, w Polsce.

U nas teraz cudownie! Świadomość, że znowu jesteśmy w Kraju, że stworzymy nowy porządek – upaja wręcz. Trudności wściekłe – dużo draństwa zostawiła okupacja. Ale poradzimy sobie z nimi. Sojusznika mamy mocnego.

Bywaj – Najdroższy!

Całuję gorąco, serdecznie i mocno,

Twoja Rena

Ciężko mu się oddycha. Trudno uwierzyć, że już wszyscy razem nie usiądą na Goldhammera. Że nie ma rodziców.

I że język siostry zrobił się taki sztywny i suchy – pomyślał później. „Słyszałam, że masz dzieciaka”.

– Kiedy tu byłeś, to ty mówiłeś – usłyszał głos Hesia. – Od kiedy cię nie ma, to my mówimy o tobie.

Słowa młodszego brata są stwierdzeniem faktu, wyrazem podziwu czy pretensji? Pewnie wszystkim naraz.

Niektórym może się to wydać śmieszne, jak Lidii, ale Salek przydałby się Hesiowi, wie o tym.

Czuł się za niego odpowiedzialny. Nie dlatego, że dawno temu na Górze Świętego Marcina w Tarnowie poznał go z komunistami, przez co Hesito został jednym z najmłodszych więźniów politycznych w Polsce. Nie, nie chodzi o życie polityczne, ale miłosne młodszego brata.

Salek zawsze czuł się wyjątkowy – tak patrzyli na niego matka i starszy brat Rudek. Dwie najważniejsze pary oczu w rodzinie. Dlaczego nie zwracał uwagi na to, jak widzą resztę rodzeństwa? Żałuje tego teraz. Bo ta pierwsza, najważniejsza para brązowych oczu nie patrzyła już z takim podziwem na Hesia, którego urodziła po nim.

Może gdyby w porę to zauważył, mógłby coś zmienić? I Hesio nie musiałby tego podziwu i uwielbienia wciąż szukać w ramionach kolejnych kobiet.

– Psychologia *à quatre sous* – zaśmiała się Lidia, zobaczył teraz w swoim osobistym kinie jej gęste kręcone włosy.

Miała rację.

– Ale ja jestem chory i niewyspany – powiedział do siebie. – A Hesio w końcu wpakuje się w kłopoty, zobaczysz.

Salek ostatnio coraz częściej o tym myślał – wiedział dlaczego.

Lidia jest rzeczowa i ostra. Inteligentniejsza od niego, Salek musiał to przyznać. Przecież prawie nigdy nie gra w szachy, a błyskawicznie rozwiązuje każdą końcówkę szachową na ostatnich stronach gazet. Wszystkie te maty w dwóch, trzech lub czterech posunięciach. Ale jest też smutna bez powodu, żeby nie powiedzieć: depresyjna.

Poznali się w ruchu oporu, kiedy został ewakuowany z Paryża do Grenoble. Zaciekała go towarzyszka, o której mówiono „orzeł rewolucji” i „polska Róża Luksemburg”. Swoją drogą Lidia jest tak samo polska jak Luksemburg. I też okazała się dziewczyną z zamożnego burżuazyjnego domu, córką przemysłowca z Łodzi. Przyjechała studiować matematykę na Sorbonie, jej pracę doktorską ze statystyki o wyższości gospodarki socjalistycznej nad modelem kapitalistycznym przerwała wojna.

Nie przejęła się tym. Opowiedziała mu tylko dowcip z tamtych czasów.

Dlaczego przełamanie linii Maginota, która miała być zaporą nie do pokonania, zabrało Niemcom piętnaście minut? Bo przez pierwsze dziesięć się śmiali, a przez następne pięć po prostu weszli do Francji.

Salek, mimo (a może tym bardziej) że był z biedniejszej żydowskiej rodziny, dobrze znał to podejście.

Od trzech tysięcy lat na każdy cios odpowiadamy dowcipem – pomyślał. Śmiech daje nam złudną przewagę nad sytuacją i przeciwnikiem. Ale w rzeczywistości ta śmieszna broń sprawia tylko, że jesteśmy łatwiejszą ofiarą. Szybciej niż inni godzimy się z przegraną i jeszcze winę za nią bierzemy na siebie.

W czasie okupacji Lidia z kobiecym pistoletem w torebce jeździła na rowerze po Nordzie. Teraz też przejechała nad nim po suficie. Namawiała polskich emigrantów do udziału w ruchu oporu. Odwrotnie niż w Polsce kraj miało wyzwolić wewnętrzne powstanie, a nie zewnętrzna pomoc. Taki był plan Komunistycznej Partii Francji.

Salek miał świadomość, że nie jest równie dobrym mówcą jak Lidia, niepotrzebnie wdawał się w niezrozumiałe dla słuchaczy intelektualne wywody, jakby sam siebie próbował do czegoś przekonać, i zbaczał w stronę swojego ulubionego poety, Mickiewicza (lepiej wychodziły mu odezwy i artykuły do „Naszej Walki”).

– Czy wiecie, jak warszawska krytyka literacka przyjęła pierwsze tomiki poezji romantycznej przyszłego wieszca?

Słuchacze Salka na zebraniach obojętnie wzruszali ramionami, mało ich to obchodziło, w czasie wojny mieli większe problemy. Dopiero kiedy zaczął cytować z pamięci najważniejszego krytyka, wyrocznie literacką tamtej epoki, Kajetana Koźmiana (*Paskudztwo, wszystko bezecne, podłe, brudne, ciemne... Mickiewicz jest półgłówek, wypuszczony ze szpitala szalonych... Jego niesforny zapal rozdmuchały brudne litewskie pomywaczki*), niektórzy pytali, gdzie można przeczytać tego Mickiewicza.

Minęło ponad sto lat, a wciąż trudno było o bardziej zachęcającą recenzję.

Tutaj w Szwajcarii Salek recytował sobie najczęściej *Liryki lozańskie*.

*Polaty się łązy me czyste, rześiste
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i durną,
Na mój wiek męski, wiek klęski...*

Ile razy powtarzali sobie z Lidią, że są już doświadczeni, mają za sobą inne związki (ona była rozwódką), wiedzą, czego chcą od życia, co jest w nim najważniejsze. Mogą więc być nawzajem pewni siebie i spokojni o to, co ich łączy. Ale na początku raczej zabrakło im doświadczenia, bo Lidia szybko zaszła w ciążę.

Pobrali się w wolnej strefie, w Grenoble. Świadków wzięli z ulicy.

Salek krzyknął, kiedy w szpitalu po raz pierwszy zobaczył ich dziecko:

– Nusek!

Lidia nie słyszała wcześniej, żeby krzyczał. Rzadko reagował spontanicznie i jeszcze rzadziej podnosił głos. Potem jej wytłumaczył, że chłopiec był identyczny jak najmłodszy z braci Stramerów i też zaraz po urodzeniu zrobił się żółty, miał żółtaczkę.

Tego dnia Salek, jako Paul Dubois, powinien był przewieźć na rowerze plecak z trzema „chusteczkami” (pistolety), dwoma „kwiatami” (granaty) i „groszkiem” (materiały wybuchowe w puszkach) pod Grenoble.

Ale z rana zaczęły się bóle porodowe i pojechali do znajomej kliniki, której ordynator był w Résistance. Załatwiał lekarstwa i operował rannych „terrorystów”, jak nazywała ich niemiecka propaganda.

Salek zobaczył ordynatora przed kliniką. Właśnie wchodził do pracy.

– Gdzie jest rue de la Liberté? – zapytał go.

– Wciąż w budowie – odpowiedział umówionym hasłem ordynator.

Salek zadzwonił z jego gabinetu do kierownictwa, wytłumaczył, dlaczego nie mógł odwiedzić dziś „cioci Claire”.

Powód uznano za niewystarczający.

– Przecież Lidia rodzi, a nie ty – usłyszał.

Zobaczył teraz nad sobą twarze Manukiana, Gronowskiego i groźną twarz Holbana. Byli tak twardzi jak akcent, z którym mówili po francusku. Walczyli o kraj, który nie był ich.

Pod koniec wojny Partia odwróciła się od nich, ci z paryskiej grupy zostali bez pieniędzy, lokali i kontaktów. Stali się łatwym celem dla Niemców. Przecież po wkroczeniu aliantów nie mogło okazać się, że francuski ruch oporu składał się głównie z obcokrajowców.

Po wyzwoleniu nie byli już potrzebni i Komunistyczna Partia Francji odesłała pozostałych przy życiu do ich ojczyzn, żeby wprowadzali tam socjalizm. Niektórzy z nich powtarzali rozgoryczeni, że we Francji zostali ci, którzy w czasie okupacji krzyczyli bez akcentu: *Vive Pétain!*

– Jak ci się podoba nasz synek? – spytała Lidia.

– Jest interesujący – powiedział już spokojniejszym tonem.

W Grenoble było coraz więcej łapanek, każdy z ich siatki miał historię o tym, jak cudem się z niej wywinął. Uznali z Lidia, że bezpieczniej będzie oddać dziecko do przyjaciółki Lidii, na wieś koło Bergerac.

Sami też niedługo potem się rozdzielili. Po wiadomości, którą dostali w tubce pasty do zębów od ich przyjaciela Mo („UCIEKAJCIE! WPADEŁ CHRISTIAN”).

Wszyscy znają zasady. Christian też wiedział na pewno, że pierwsze dwadzieścia cztery godziny po aresztowaniu trzeba wytrzymać, nie wolno sypać. To czas, żeby pozostali z jego grupy się ulotnili.

Przed urodzeniem dziecka Salek z Lidia przez kilka miesięcy żyli razem z Mo i jego żoną Denise w jednym domu. Tworzyli coś na kształt komuny. Wspólnie gotowali i pracowali, żeby się utrzymać. Lidia robiła na drutach ciepłe swetry z angory, Salek fotografował dzieci w parkach i sprzedawał te portrety ich rodzicom, a Mo

z Denise szyli skórzane paski do spodni. Wspólnie też działali w ruchu oporu. Mo był w stanie podrobić każdy dokument, robił to z tą samą doskonałością, z którą przed wojną kopiował obrazy mistrzów malarstwa, zamawiane u niego przez różnych szemranych „kolekcjonerów”.

W czasie okupacji wyspecjalizował się też w dorabianiu torbom i walizkom dodatkowego dna. Żartował, że stał się nieufny. Że to jego choroba zawodowa. Że we wszystkim szuka teraz drugiego dna.

Mo często pomagał Salkowi w ciemni, w którą na noc zamieniali ciasną wspólną łazienkę. Nie potrzebował okularów, żeby idealnie nastawić ostrość pod powiększalnikiem. Salek lubił rozmawiać z nim o fotografii i malarstwie, o zasadach kompozycji, o szarościach i kontrastach. A właściwie pokornie słuchał wykładów Mo, na przykład o jego ulubionym obrazie Seurata *Un dimanche après-midi à l'île de la Grande Jatte*.

W ciemności opisywał mu odcienie światła padające na trawę i każdą z postaci, łącznie z siedzącą tyłem pod drzewem kobietą, która, zdaniem Mo, była pierwszym w historii malarstwa przykładem abstrakcji.

Jego wyobraźnia i talent robiły na Salku wrażenie i jednocześnie uświadamiały mu jego własne granice.

Podobnie czuł się kiedyś przy innym uzdolnionym przyjacielu, z którym najpierw siedział w więzieniu w Łomży, a potem pojechał do Hiszpanii. Gdyby „Justyn” nie zginął nad Ebro, dziś pewnie byłby rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, z którego przed wojną usunięto go za komunizm.

Po tym, jak Salek zacytował prorocze słowa Stalina, że „Związek Radziecki stanie się grobem faszyzmu”, Mo w niecałe dziesięć minut naszkicował rozlepiany potem w całej Francji plakat ze szkieletem Napoleona, który na tle flagi ZSRR zwraca się do Hitlera: *C'est là que je me suis cassé la gueule*.

Żaden urzędnik nigdy nie zakwestionował papierów od Mo, za to jego samego złapano pół roku później w Lyonie za jazdę na skradzionym rowerze. Pewnie zapomniał przemalować ramę albo niechcący wsiadł na nie swój.

Był tak skupiony na pracy jak roztrzepany poza nią. Potrafił wyjść na dwór w dwóch różnych butach, a w domu zostawić odkręcony kran.

Salek słyszał, że w dniu jego rozprawy uzbrojeni członkowie ruchu oporu zajęli pozycje przed sądem, ale akcja odbicia okazała się niepotrzebna. Oskarżonego skazano tylko za kradzież, a czas spędzony w areszcie zaliczono na poczet wyroku. I Mo wyszedł wolny.

Salek zdał sobie sprawę, że podobnie jak przy Mo czy kiedyś przy „Justynie”, czuł się czasem przy Lidii.

Wolałby, żeby ich syn był mniej interesujący i mniej podobny do Nuska.

Moja ukochana, dziś dostałem „Wasz” list z poniedziałku. Skąd u małego taka pasja do elektrycznych maszyn? W każdym liście rysuje mi jedną. Może trzeba podtrzymać w nim to zainteresowanie odpowiednimi zabawkami? Ostatni list daje mi obraz skoku, jaki zrobił od czasu, jakem go pożegnał. Jest aż zbyt dorosły. Cieszę się naturalnie z jego rozwoju, ale mi też trochę żal tego bębna, który pytał, jakie jego tata ma włosy i czy sam je sobie wybrał. A tuż przed wyjazdem do Szwajcarii, widząc mnie z trudem stojącego na nogach, krzyczał: t’as guéri, papa! Ba, jak piszesz, będą z nim nowe radości.

Zawiał wiatr. I twarz dziecka na suficie szybko dorosła i zmieniła się w najstarszego z braci Stramerów.

Salek przyłożył rękę do czoła, było gorące.

Chciał, żeby jego syn był podobny do Rudka.

Przypomniał sobie, jak na studiach w Krakowie wymyślił odpowiedź na antysemickie zaczepki. Łagodną i kulturalną, sam się zdziwił, że działa.

– Mam do pana stosunek muzyczny – mówił.

– Co, Żydku?

– Gwiżdżę na pana.

Rudek pokazał mu, jaką sam ma metodę. Raz ktoś zaczepił ich na ulicy. Wtedy najstarszy z braci, zamiast gwizdać, walnął go czołem w nos, aż tamtemu pokazały się gwiazdy. Jak zażartował Rudek – pewnie Dawida. To było na pewno jeszcze skuteczniejsze, ale do tego trzeba się takim urodzić.

Cieszył się, że niedługo starszy brat odwiedzi go w sanatorium. Przyjeżdża z Polski do Zurychu w interesach państwowych. Ale najpierw czeka Salka w Davos trudniejsza wizyta.

Lidia już raz go tu odwiedziła, rok temu, na samym początku. Sfotografował ją wtedy na tle rozmytych gór. Było późne popołudnie, ustawił przesłonę 5.6 i czas 1/125 sekundy na swoim dwuobiektywowym rolleifleksie z optyką Zeissa.

Szukali tytułu dla gazety, którą Lidia miała założyć po powrocie do kraju. Coraz rzadziej używali słowa „Polska”. A na Salka coraz częściej mówili „Gustaw” (taki miał pseudonim już przed wojną).

Marzyli o gazecie, która trafi do wszystkich warstw społecznych. Ale do tego potrzeba wybitnych piór. A na razie jest tylko dużo młodych i chętnych.

Jak mówił kiedyś „Justyn”: Dwa półdupki tworzą jedną dupę, ale dwa półgłówki nie tworzą jednej głowy. Ani tym bardziej jednego dziennikarza.

Przekomarzali się, że kiedy wyzdrowieje, Lidia zatrudni go na stanowisku gońca, a jeśli się sprawdzi jako przykładowy mąż i ojciec, to awansuje może nawet na redaktora.

– A tytuł „Jedność”? – rzucił.

Lidia pokiwała głową. Salek nie był pewien, czy jej się spodobał.

Patrzyła teraz na niego surowo z tego zdjęcia. Przypomniawszy sobie, jak drażniła ją ta Szwajcaria i jej sterylność czystości. Bezlitośnie oceniała kraj, którego fałszywa neutralność opiera się na szantażu. Nikt go nigdy nie zaatakuje, nikomu to się nie opłaca – tak długo, jak wszyscy dyktatorzy, faszyci i kapitaliści ukrywają tu swoje pieniądze i zrobią wszystko, żeby ich nie stracić.

– *Enfin, un peu de merde!* – zadzwoniła po przekroczeniu granicy, wyraźnie jej ulżyło, że wróciła do Francji.

Pisali do siebie co najmniej raz w tygodniu.

Moje kochanie, moja jedyna, już niedługo Cię obejmę, utulę za tyle miesięcy rozłąki i na wszystko pomogę. Do Twojej „Jedności” będę pisał artykuły, nawet gdybym miał być polskim korespondentem w Chinach.

Niewątpliwie zachowanie się B., które dla mnie jest prawdziwą niespodzianką, mogło Cię oburzyć. Ale z głębokim przekonaniem Ci mówię, że tak bardzo nie warto sobie tego brać do serca. O co idzie? Możecie spokojnie, większością kierownictwa, uchwalić i przesłać, gdzie trzeba, sprostowanie do tego raportu o polskiej Résistance. I wtedy sytuacja się odwróci – jego pozycja będzie mocno nieprzyjemna.

A już w każdym razie, bardzo o to proszę, nie rób żadnej awantury w związku z jakimś pominięciem mojej osoby. Skłamałbym, gdybym powiedział, że np. order od dzisiejszych naszych władz nie sprawiłby mi przyjemności. Ale przekonałem siebie, że to jest jednak dość małe. Przywykliśmy przecież od lat pracować w cieniu, wysuwając na widok innych i znajdując satysfakcję w powodzeniu sprawy. Grupa najbliższych współpracowników wie, cośmy zrobili i – daję słowo – to mi wystarczy.

Spójrz, kochanie: piszesz mi, że nie mogłaś się powstrzymać od uśmiechu, kiedy słyszałaś o zmartwieniu Hesia z powodu nieotrzymania kolejnej gwiazdki. A w tymże liście ty sama zamartwiasz się, że twój mąż gwiazdki nie dostał. No i co, czy nie będziemy się z tego razem śmiali?

Powiem Ci coś, co Cię też może rozśmieszyć: mam wrażenie, że dojrzałem tutaj.

Na pierwszy plan wysuwa się fakt, że się żyje. Jak długo to jest faktem, tak długo jest przed nami milion możliwych radości. Dobra książka, napisanie dobrego artykułu, myśl o Tobie, wiadomości o synku, kwiaty, które mi ktoś przyniesie, setki takich rzeczy, a w głębi zasadnicze tło: zwyciężyliśmy, idziemy w górę, i my oboje też trochę do tego zwycięstwa przyłożyliśmy rękę.

Naprawdę, jest nieporównywalnie więcej powodów do radości niż do zmartwień. Ja – odmawiam martwienia się. W słowie „martwić się” jest źródłosłów „martwy”. Mądrość ludu wyprowadziła jedno słowo

z drugiego. Ja w sobie nie czuję nic martwego. Wszystko jest we mnie żywe i młode, daję Ci słowo. Nie przyjmuję zmartwień, nie przyjmuję w tym sensie, że nie pozwalam im zapanować nade mną na dłuższy czas.

Ty sobie powiesz: ale filozof! To nie filozof, to jestem ja w chwili obecnej, ja – po czterdziestu latach. Jeżeli mi się uda ten ton utrzymać po powrocie do kraju, gdzie oczywiście nie będzie to takie łatwe jak w sanatoryjnej cieplarni, to chyba uda mi się uszczęśliwić Ciebie i synka. Zobaczymy.

Nie wyciągam z tego żadnych wniosków ani żadnych rad dla Ciebie. Nie ma w tym przecież nic nowego ani nic głębokiego. To są maksymy stare jak świat. Horacy jeszcze na ten temat wiersze układał w starożytnym Rzymie, pewnie też miał czterdziestkę za pasem. Ale dotąd to były myśli cudze, a teraz są moje.

U nas w ostatnim czasie mnóstwo rozrywek. Po pianiście grającym Haendla była dobra para śpiewaków, a dziś po południu doskonały kabaret polityczny z Zurychu. Otwarto u nas wystawę fotograficzną (młoda artystka to ta moja szwajcarska znajoma, w której daremnie usiłuję obudzić kilka myśli i zainteresowanie dla spraw innych niż jej własna osoba. Mam wrażenie, że to jest une peine perdue). Jak widzisz, rozpuszczają nas ostatnio.

Ucałuj małego ode mnie. Długie od kochaneczka całusy,

Gustaw

Zasypiając, przypomniał sobie, jak pod koniec sierpnia 1944 roku, po wyzwoleniu Paryża, kiedy Lidia przejmowała polską ambasadę, on o mało nie zginął kilkaset metrów dalej. Wracił od lekarza, który potwierdził gruźlicę, ledwo szedł i z trudem oddychał.

Staruszka na ulicy chwyciła go za kurtkę.

- Poznałam cię. Faszystowski donosiciel!
- Proszę pani, to pomyłka – powiedział.
- Kolaborant!
- Proszę mnie puścić.

Otoczyli ich gapie.

– Przez niego zabili mi syna!

Próbował się wyrwać, ktoś z tłumu go popchnął.

– Morderca! – wołała staruszka. – Trzymać mordercę!

Wykręcili mu ręce. Nie miał sił się bronić, rzucili go na chodnik. Zasłaniał się rękami, kiedy go kopali. Stłukli mu nowe okulary, prezent od Lidii na urodziny. Przypadkowy żołnierz uratował Salkowi życie, strzelając w powietrze.

Salek zobaczył go teraz znowu nad sobą i znowu spojrzał na niego z wdzięcznością. Wysoki i szczupły jak de Gaulle, zasłonił mu słońce, pomógł wstać, a potem zaprowadził na komisariat.

Zamknięto go ze złodziejaskami, prostytutkami i ogolonymi na łyso, zawodzącymi kolaborantkami, które też pewnie uratowano przed linczem. Najgłośniejszej z nich strażnik kazał „zamknąć mordę”.

Salek był przyzwyczajony do siedzenia. Tak jak w Polsce, tu też wszyscy, łącznie z nim, powtarzali, że są niewinni. Może kiedyś napiszę artykuł o tym uniwersalnym zjawisku – pomyślał.

Za zwinięte w rulon dziesięć franków kończący zmianę wąsaty strażnik zgodził się przekazać wiadomość do siedziby Francuskiej Partii Komunistycznej, na którą teraz, po wojnie, mówiono „Partia Rozstrzelanych”.

– Tylko dlatego, że jestem jej sympatykiem – zaznaczył strażnik i schował pieniądze do kieszeni.

We Francji po wojnie opłaca się być komunistą – uśmiechnął się do siebie Salek.

Pod wieczór był już na wolności.

Później okazało się, że ta staruszka zwariowała po aresztowaniu syna i wszędzie widziała tych, którzy go jej zabrali.

Co by się stało, gdyby żołnierz akurat tamtędy nie przechodził? Atmosfera była pogromowa.

Kochanie moje, jak zawsze po rozmowie telefonicznej mam ochotę napisać do Ciebie. Dziś tym bardziej, że – mam wrażenie – przesoliłem trochę w krytyce gazety i Ty pewnie odeszłaś od telefonu z uczuciem winowajczyni.

Wyszło tak dlatego, że dziś dostałem Twój list, w którym żądasz ode mnie uwag o „Jedności”, więc akurat o tej sprawie myślałem.

To tyle, moje zapracowane kochanie. Twój list sprawił mi wielką radość. Istotnie, po tej rozmowie czuliśmy jedno i to samo oboje. A o naszych sprzeczkach nie warto wspominać. To są rzeczy związane z chorobą i w gruncie rzeczy, być może, chorobliwe. Opuści mnie to razem z prątkami.

To Lidia przekonała kierownictwo Francuskiej Partii Komunistycznej (przyjął ją sam Jacques Duclos, na całe pięć minut), żeby wysłało ciężko chorego zasłużonego towarzysza do sanatorium w Szwajcarii.

Moje kochanie, przyszedł mi tu pomysł na książkę o Mickiewiczu. Wiesz, że to najbliższy mi poeta, ale czy mówiłem Ci, że moja mama była do niego podobna z profilu? Pamiętasz to jej zdjęcie w ramce, które wszędzie ze sobą wożę?

Chcę odczytać Mickiewicza w nowym świetle. Nie jako romantyka, ale realistę i rewolucjonistę. W listach niesłusznie zaliczał swój Legion do „wieku klęski”. Oczywiście przegrał z okupantem, nie dotarł do kraju i nie przebudował go na zasadach „Symbolu Polski”. Ale nie przewidział, że idea Legionu, czyli walki o Polskę przez udział w walkach wyzwoleniczych innych narodów, stanie się dla nas wzorem. I w następnym stuleciu będziemy walczyć z faszystami w Hiszpanii właśnie w batalionie Mickiewicza. A potem w ruchu oporu we Francji, żeby teraz przystąpić do budowy Polski Socjalistycznej.

Co o tym myślisz? Tylko nie bądź zbyt ostra.

To wszystko, co się tu dzieje i co mnie zajmuje. Myśl o tym, moja kochana, że każdy dzień zbliża nasze spotkanie. Już niedługo trudno nam będzie uwierzyć, żeśmy się na tak długo rozstali.

*Rwę się do Ciebie, moje kochanie, a tymczasem całuję na wieczność,
mocno i długo, Twój tęskniący*

Gustaw

No, nie było to „wszystko, co się tu dzieje”, a tym bardziej co go zajmowało. I przez to też nie mógł w nocy spać, nie wiedział, co dalej.

Co inni by zrobili na jego miejscu? Myślał głównie o braciach, zwłaszcza o Hesi, który mimo że młodszy, miał za sobą więcej doświadczeń z kobietami. Salek zobaczył nad sobą tego najprzystojniejszego z braci Stramerów. W Tarnowie Hesi we wszystkim się go radził. Salek może nie przyznałby się do tego, ale teraz pierwszy raz młodszy brat bardziej by się przydał starszemu.

Co on by zrobił? Na pewno by się tak nie przejmował.

Salek co rano był zdecydowany, postanawiał to zerwać, ale z każdą następną godziną, którą spędzał w łóżku albo, jeśli lepiej się poczuł, opatulony w koc na werandzie, patrząc na zaśnieżone góry – jego zdecydowanie słabło. Pod wieczór zwykle nie było po nim śladu i znowu umawiał się z tą kobietą, z tą, jak nazywał ją w myślach, „niewiastą”.

Zaprosił ją do kina, a z Lidią podzielił się wrażeniami z seansu.

Wczoraj poszedłem pierwszy raz na film tutaj, po prostu dla higieny mózgu. Niemieckie romantyczne paskudztwo. Ciekawe zachowanie publiczności. Ile razy mężczyzna zbliża się trochę bardziej do kobiety, tyle razy gremialny śmiech. Całus wywołuje huragany rechotu, jakby ich łaskotano. Po prostu namacalnie wyzwala się w nich stłumiony popęd erotyczny. W tych warunkach nic dziwnego, że każdy taki film im się nieodmiennie podoba.

Jednocześnie nie przestawał pocieszać Lidii, zestresowanej powrotem do kraju.

Grunt – nie zapominać, jaki to cud, że się żyje. Tu, gdzie rozmawiasz ze śmiejącym się chorym, a po dwóch miesiącach dowiadujesz się, że już jest pogrzebany, człowiek przypomina sobie i czuje wartość życia, nieomal jak zaraz po okupacji.

To była prawda.

Każdy, kto w sanatorium jeszcze trochę się ruszał o własnych siłach i jako tako oddychał, łapczywie próbował z tego skorzystać.

Jak najwięcej zjeść, wypić, przeżyć. I to jak najszybciej, jakby zaraz miał pociąg i chciał przed długą podróżą zagarnąć, ile się da, na zapas.

Spieszyli się, jakby ten pociąg mógł im uciec.

Salek przypominał sobie szalone pocałunki dwojga dojrzałych ludzi w jego wieku, którzy dopiero co się poznali i poza chorobą (też gruźlica) nic ich nie łączyło. Ani kraj pochodzenia, ani klasa społeczna, ani poglądy polityczne. Mimo to prawie zadusili się swoimi językami na dolnej werandzie.

Salek podglądał to z wysokości swojego balkonu na trzecim piętrze i uśmiechał się ironicznie. Ale ten widok go też podniecał.

A może świeże alpejskie powietrze tak działało?

Nawet chorych na raka płuc nie opuszczała wola życia. Po przyjeździe do sanatorium zaczynali pocieszać się, że tak szybko to się nie skończy, bo przecież nowotwór też chce żyć.

Ile razy usłyszał już ten argument w jadalni? Ciekawe, że w powieści Manna nie pada ani razu. Ale tam nie ma chorych na raka.

Inni pacjenci mówili:

– Nie po to przeżyliśmy wojnę, żeby teraz...

To słowo nie przechodziło im przez gardło.

Tylko jeden z nich odszedł na własne życzenie. Zniknął przed kolacją, a nad ranem znaleziono go martwego pod drzewem z leżącą obok butelką po winie i pustą paczką papierosów.

Opowiadano o nim w jadalni jak o jedynym odważnym, który zrobił to w imieniu pozostałych. Więc oni już nie muszą.

– Cóż, każdy ma tylko jedno życie – powtarzano.

Ten argument był nie do podważenia. I wszyscy kiwali głowami.

Salek nie zorientował się nawet, kiedy do nich dołączył.

Może po operacji?

Namówił lekarzy, żeby wypełnili mu dziurę w lewym płucu woskową kulą. Przeczytał o tej nowatorskiej metodzie w jednym z francuskich czasopism naukowych, które Lidia przesyłała mu raz w miesiącu.

Czytał od deski do deski wszystkie artykuły o gruźlicy, z którą chciał się zmierzyć z pełną świadomością, wiedzieć, jakiego ma przeciwnika.

Raz już przecież z nim przegrał. Gruźlica zabrała mu jego ukochaną Irenę, którą znowu zobaczył teraz nad sobą. Powiedziała to samo, co dziesięć lat temu w Krakowie:

– Nie lubię moich nóg. – I też uśmiechnęła się jak wtedy, obciążając spódnicę za kolana. – Mogłyby być zgrabniejsze.

Salkowi się podobały.

To była ich ostatnia rozmowa.

Nie spotkał jeszcze kobiety, która byłaby zadowolona ze swoich nóg. No może poza Anne-Marie. Albo nie poznali się jeszcze na tyle, żeby poczuła się przy nim tak swobodnie, by krytykować własną figurę.

Po udanej operacji Salek napisał do Lidii, że to dzięki niej, że go uratowała. Ale przecież mniej więcej wtedy właśnie się zakochał.

To był objaw zdrowia czy choroby? Nie pierwszy raz się nad tym zastanawiał. W sanatorium wszystkie ludzkie działania kwalifikowano jako objawy. Włącznie z uczuciami, zakochanie nie było wyjątkiem.

Dlaczego obcej jeszcze wczoraj kobiecie miałem dzisiaj ochotę wszystko o sobie opowiedzieć? Nawet o najbardziej intymnych

sprawach. O biedzie domu rodzinnego, o kompleksie żydowskim, o tym, jak po śmierci Ireny chciał się zabić. I że uratowała go wojna w Hiszpanii.

Tej młodej, młodszej prawie o dwadzieścia lat od niego szwajcarskiej komunistce imponowało, że poznała towarzysza, który walczył w Brygadach Międzynarodowych. Tyle że spodziewała się pewnie przystojnego Ernesta Hemingwaya, a nie niższego od niej o głowę łysiejącego okularnika.

Na wszelki wypadek przy pierwszym spotkaniu w słońcu na tarasie widokowym został w kaszkiecie. Kaszkiet jednocześnie dodawał mu kilka centymetrów.

Za to specjalnie zdjął rękawiczki. Miał długie i proste palce, które podobały się kobietom. Wiedział o tym.

Po spokojnym, rzeczowym tonie, jakim opowiadała swoją historię („Po rozstaniu z mężem pozwoliłam sobie płakać dopiero późno w nocy. Tylko raz. Tylko jedną noc”), Salek wyczuł, że ta kobieta mimo takich przeżyć jest pogodna, nie ma w sobie wrodzonego smutku, który sam dobrze znał z rodzinnego domu i po latach bezbłędnie rozpoznał u Lidii.

Może to kwestia pochodzenia? Zaraz skarcił się za tę myśl.

Nie kładła się bez powodu w ciągu dnia do łóżka. Nie musiał jej pocieszać jak Lidii:

Są osiągnięcia w kraju, jest wiosna i piękne życie, a w tym życiu syn i mąż, którym jesteś potrzebna jak powietrze. Którzy nie lubią, jak się martwisz, i chcą Cię mieć zawsze wesółą.

Jak Lidia miała być „zawsze wesółą”? Doszło do niego, kiedy wysłał już list i wracał powoli piechotą z poczty do sanatorium. Nie tylko jak on straciła rodziców. Z jej dużej rodziny w kraju nie przeżył nikt.

Lidia pisała mu, że ich synek zadaje już pierwsze pytania o dziadków. Jak ma opowiedzieć „o tym” pięciolatкови? – zapytała go przez telefon. Na razie zaczęła bezpiecznie od swojej matki, która zmarła tuż przed wojną.

– Jak zmarła? – zapytał chłopiec.

– Na serce.

– Ale jak na serce?

– Zatrzymało się.

– Ale jak? Dlaczego?

– Kiedy szła sukienkę, igła wbiła jej się w palec i złamała. Ta złamana część popłynęła żyłą do serca i zatrzymała je.

A co Lidia powiedziała by synowi, gdyby Salek się nie wybudził po operacji?

Co bardziej przywróciło mi siły? – myślał. Operacja czy Anne-Marie?

Zobaczył nagle nad sobą wagę, zwykłą spożywczą wagę – z jednej strony Lidia, z drugiej Anne-Marie.

Która szalka przeważy?

Zamknął oczy.

Czy nie myli miłości z wdzięcznością?

A może nie uratowała go ani jedna, ani druga, tylko ta trzecia – streptomycyna, którą od niedawna mu wstrzykiwano.

Lekarz uprzedził, że ten nowy lek o działaniu bakteriobójczym jest silnie toksyczny. Salek sam przeczytał o tym w artykule Alberta Schatza, który trzy lata temu, w 1943 roku, pierwszy na świecie wyizolował streptomycynę z gatunku *Streptomyces griseus*. Prawdopodobnie po tym leku ma teraz gorączkę, zaburzenia słuchu i widzenia.

Ale nigdzie nie było napisane, że jednym ze skutków ubocznych streptomycyny jest to, że całe życie przelatuje ci po suficie.

VII

RODZEŃSTWO

Wela wyobrażała sobie, jak mama by na nich patrzyła. Teraz, kiedy tłoczyli się przy drzwiach. Witali się, całowali, przytulali. Ściśnięci i głośni jak kiedyś na Goldhammera. Tamto tarnowskie mieszkanie na parterze było niewiele większe od samego tego holu, z którego promieniście rozchodziły się obszerne pokoje. O to wielkie warszawskie mieszkanie Rudek wystarał się dla Salka zaraz po jego powrocie ze Szwajcarii.

Jak mama by się ucieszyła, że są znowu w komplecie! Ale czy też miałaby takie wrażenie jak Wela, że na stojącym drewnianym wieszaku rodzeństwo Stramerów zostawia tak naprawdę nie palta, wojskowe płaszcze, jesionki i futra? Tylko tych ważnych dyrektorów, redaktorów, kapitanów, pułkowników, poruczników i innych majorów, którzy przed chwilą tu weszli.

I że znowu są sobą. Pod spodem, pod podszewką, wciąż są Stramerami.

A może tylko Wela miała nadzieję, że tak jest, chciała tak to zobaczyć? Albo przynajmniej, żeby mama tak to zobaczyła?

Te ich posady były dla niej czasem równie ciężkie, bezwładne i martwe jak okrycia, pod których ciężarem wieszak chwiał się już na swoich czterech nogach. Ciężą nawet, kiedy się ich nie nosi. Jak jej futro z nerek, które dostała na dwudzieste siódme urodziny od męża, Natka – od roku naczelnego dyrektora Centrali Tekstylnej. Jego jest ten wiszący obok jasny płaszcz z angielskiej wełny, przywieziony z Paryża, nie ma drugiego takiego w Warszawie.

Trudno sobie wyobrazić, że jeszcze trzy lata temu robili wszystko, żeby nie rzucać się w oczy. Rzadko do tego wracali, nawet w rozmowach ze sobą nie mówili o życiu na aryjskich papierach, o ucieczce po powstaniu do Krakowa. Na nikim nie robiło wrażenia, że Natek był ranny w nogę. „Zrobiliście sobie powstanie, to się martwicie sami” – słyszeli raz po raz. W końcu Babunia znalazła im schronienie w Borku Fałęckim, a stamtąd przenieśli się pod Nowy

Sącz, gdzie wychodzili tylko w nocy. Tam doczekali wejścia Armii Czerwonej.

Po powrocie do Warszawy Wela pojechała na Wolę. Próbowła odnaleźć dziewczynę w zielonej sukience, która uratowała jej życie. Wyrwała Welę z rąk szmalcownika, zaprowadziła do siebie i poczęstowała herbatą. Wela widziała ją wtedy pierwszy i ostatni raz. Nie wiedziała nawet, jak się nazywa. Teraz chciała jej jakoś pomóc, odwdzińczyć się. Ale nie było śladu po jej domu.

W tym miejscu zobaczyła tylko wielkie piękne drzewo, które zapamiętała. Było powalone. A inne, leżące obok na gruzach, wypuściło już zieloną gałązkę.

Prawie całe miasto tak wyglądało.

Największe wrażenie zrobiła na niej Marszałkowska, którą pamiętała jako najelegantszą okupacyjną ulicę Warszawy. Tylko na parterach działały małe sklepy i kawiarnie, powyżej kamienice były wypalone.

Wszyscy rzucili się w nowe życie, jakby chcieli nadrobić te stracone lata. Wela poszła wreszcie na studia – na farmację. Natka szybko zauważono i doceniono, zaczął robić karierę.

Parli do przodu, nie odwracali się za siebie. Chyba że nagle pojawiał się ktoś, jakiś cień, duch z przeszłości.

Jak niedawno ten Sienkiewicz, dawny szef Natka w Trasie na Marszałkowskiej, który wydał Niemcom siedmiu Żydów ze swojego przedsiębiorstwa. Widzieli go już raz po wyzwoleniu. Na samym początku, jeszcze w 1945 roku w Krakowie, kiedy pierwszego maja szedł wielki pochód przez miasto. Ludzie z czerwonymi opaskami i sztandarami Polskiej Partii Robotniczej. I kto niósł sztandar w drugim szeregu? Natek pokazał go Weli palcem. Sienkiewicz.

– Stary skurwysyn żyje – pokręcił głową. – A nasz kochany pan Uchański zginął w powstaniu.

W zeszłym tygodniu, po trzech latach, spotkał go drugi raz. Sienkiewicz odpowiedział na ogłoszenie, że Centrala Tekstylna poszukuje kierownika działu transportowego.

– Proszę mnie wpuścić do pana Bolesława – powiedział sekretarce.
– To mój bardzo dobry znajomy.

Sekretarka zapukała do Natka, że przyszedł jego znajomy, pan Sienkiewicz, i czeka na spotkanie. Natek w pierwszej chwili zamarł, ale w końcu powiedział:

– Niech go pani wprowadzi.

Sienkiewicz wszedł onieśmielony, w szarym garniturze, z czerwonymi policzkami.

Role się odwróciły.

– Czego pan sobie życzy? – zapytał Natek.

– Panie Bolesławie kochany, no jak to tak? Nie poznaje mnie pan? – Podszedł do szerokiego dębowego biurka. – Przecież my jesteśmy starzy znajomi. Jak się cieszę, że pana widzę!

Czekał chyba, aż Natek zaproponuje, żeby usiadł w jednym z trzech wygodnych foteli.

– Panie Bolesławie, daliście ogłoszenie w gazecie. Przecież pan wie, że ja jestem ekspertem od transportu. Chciałbym objąć tę posadę.

– Tej posady pan nie dostanie. Ani żadnej innej – uciął Natek. – A dlaczego? To pan sam dobrze wie.

– Panie Bolesławie, ja mam żonę, szóstkę dzieci... – Sienkiewicz sięgnął po te same zgrane argumenty, co za okupacji.

Pewne rzeczy na świecie się nie zmieniają – pomyślał Natek.

– To niech pan wreszcie zajmie się tymi dziećmi! – wrzasnął.

No i „Stary” poszedł, ale Natek potrzebował dwóch dni, żeby dojść do siebie. Pytał Wełę, czy nie za łagodnie się z nim obszedł. Czy nie powinien był ostrzej go potraktować, przypomnieć skurwysynowi, jak w Trasie musiał przed nim spuszczać spodnie?

Teraz ostatnie spojrzenia w lustro w korytarzu, poprawianie włosów, krawatów, mundurów, marynarek i sukienek.

Zaraz goście wejdą do salonu z dwoma oknami wychodzącymi na spokojną willową ulicę. Samochody, które na niej zaparkowali,

pasowały do tej przedwojennej elegancji.

Czy będzie jak dawniej? – zastanawiała się Wela. – Podobno jest się dzieckiem, dopóki ma się rodziców. Zaraz się przekonamy, czy wejdziemy w nasze role z Goldhammera.

Nusek kręci się po mieszkaniu, jakby chciał być wszędzie jednocześnie i ze wszystkimi naraz. Tak jak kiedyś.

Czy zauważyliście, że ta kamienica na warszawskiej Ochocie mogłaby stać na Nowym Świecie w Tarnowie? – myśli Nusek. Na dole ma nawet ciche podwórko z trzepakiem.

Nasz ojciec całe życie marzył, żeby zamieszkać na Nowym Świecie. Ciągle obmyślał nowe interesy, które pozwoliłyby nam przenieść się do tej wytwornej polsko-żydowskiej dzielnicy, najlepiej do takiego właśnie wielopokojowego mieszkania – z łazienką z bieżącą wodą, ze światłem elektrycznym i z ukwieconym balkonem.

Udało się! Co prawda dopiero w następnym pokoleniu, i to jego synowi komuniście, który nie uznawał własności prywatnej. Ojciec postawił na nim krzyżyk po tym, jak usłyszał Salka mówiącego, że jeśli wygra na loterii, to prawie całą sumę przekaze partii komunistycznej. No, po latach widać, że nie byłaby to wcale taka głupia inwestycja.

A co ojciec by teraz powiedział, jakby nas zobaczył?

– Dlaczego sześć milionów zginęło, a ta moja szóstka wygrała los na loterii? – zapytałby pewnie i sam sobie zaraz odpowiedział: – Proste. Właśnie dlatego, że to ja wyciągnąłem ten szczęśliwy los.

Wszystko było zawsze jego zasługą, dlaczego po jego śmierci miałyby być inaczej?

– Nasza szóstka! – poprawiłby się może i objął mamę.

Róża rzuciła się Nuskowi na szyję i ucałowała go jak dziewczynka.

Rudek mówił, że ona wciąż czeka na mamę, że ma mu za złe drugie małżeństwo.

Nusek przyjrzał jej się teraz.

Moja bratanica to już światowa panienka – uśmiechnął się. Szesnastolatka o kocich ruchach, w obcisłej czarnej sukience.

Poczuł satysfakcję, jakby to też była jego zasługa.

Nie wygląda jak to zahukane zwierzątko, które Rudziu po wojnie przywiózł od Babuni. Nigdy bym wtedy nie pomyślał, że będę za trzy lata zerkał w jej dekolt.

Wczoraj w kolejce w sklepie bieliźniarskim ktoś mnie woła:

– Stasiu! Stasiu!

Odwracam się i kogo widzę? W kolejce za mną stoi pani Kadłubkowska, sekretarka z fabryki Schulza. Cała już siwa.

A myślałem, że uciekła z szefem do Niemiec.

Wyściskaliśmy się. Kto z kolejki zgadłby, jaka historia nas łączy?

Pochwaliłem się od razu, że jeszcze przed trzydziestką zostałem dyrektorem w fabryce rowerów. Dziwnie na mnie spojrzała, zrobiła krok do tyłu, może mi nie uwierzyła? Spytałem, czy nie szuka roboty.

– Teraz to ja mogę panią zatrudnić.

– Dziękuję, panie Stasiu. – Pokręciła głową. – Staram się wyjechać do siostry do Anglii. Nie chcę już tu być.

Nie dowiedziałem się nic więcej, bo była moja kolej. Kupiłem na prezent dla Salka komplet ręczników kąpielowych, białych z niebieskim paskiem z boku.

– Lepszych nie znajdziesz w Warszawie – mówię mu teraz.

Najchętniej dodałbym jeszcze, ile kosztowały, ale chyba nie wypada, co?

Salek rozwinął jeden z ręczników i pokazał wszystkim na środku salonu.

Największy prezent był oczywiście od Rudka – zastawa stołowa na dwanaście osób. Nie do przebicia. Hesio przyniósł świeżo wydany tom *Dzieł* Lenina w skórzanej oprawie, ale Salek już go miał.

Sam widziałem, stał na półce w drugim pokoju.

Salek słowem o tym nie wspomniał, cieszył się z prezentu.

Ja z kolei nie powiedziałem nikomu o propozycji, jaką dostałem. Nie znalazłem na razie dobrego momentu.

Wciąż też nie wiedziałem, czy ją przyjmę. To ciężka robota, sądząc z nazwy.

Szef gabinetu ministra przemysłu ciężkiego.

Kręciłem się po mieszkaniu, które z każdym kolejnym pokojem okazywało się znacznie większe od mojego. Chciałem wziąć na bok Rudka i Hesia, dyskretnie poradzić się ich, czy przyjąć tę posadę.

Rudziu pewnie będzie też wiedział, jakie pensje dostają szefowie gabinetów. A jak nie, to zapytam Hesia. Hesio wszystkich zna.

Spojrzałem w lustro na korytarzu na przyszłego szefa gabinetu ministra przemysłu ciężkiego w nienagannym garniturze i aż zanuciłem *Moniusia*.

Może dotrze do braci przy okazji, że skoro tego Nuska władze tak doceniają, to faktycznie coś w nim jest?

Na razie Rudzio i Hesio byli zajęci brylowaniem w salonie.

Czy ktoś kiedyś urządzi takie przyjęcie tylko na moją cześć?

Tych, co zadzwonili do mnie z propozycją z ministerstwa, oczywiście nie zapytałem o pensję. Żeby nie pomyśleli, że dla mnie liczą się tylko pieniądze. Bo tak nie jest. Słowo Stramera, że pierwszą myśl miałem o czymś innym.

O salonce.

Wyobraziłem sobie, jak jadę salonką na wakacje. To takie specjalne pociągi dla najważniejszych osób w państwie, w których cały wagon jest salonem.

Przejeżdżamy przez Tarnów. A tam mama z tatą machają mi na peronie. Oni nigdy w życiu nie byli na wakacjach.

– Stop! – wołam.

Pociąg zatrzymuje się i zachwyceni rodzice wsiadają do środka. Mogą się wygodnie rozgościć na fotelach i kanapach.

Nie takimi wagonami wywożono ich z Tarnowa.

Widziałem na zdjęciach.

Po wojnie żadne z nas nie wróciło do Tarnowa. Po co? Jak nikt nie czeka na peronie.

Te salonki są tak elegancko urządzone jak wille w Konstancinie, które wciąż czasem oglądam, kiedy odwiedzam Zosię w Jeziornie. Wille wyglądają jak za okupacji, zmienili się tylko lokatorzy.

Elżunia i Jędrrek są wtedy w szkole, ale zawsze coś im przywożę – kredki świecowe, zeszyty, lizaki, a dla Zosi trochę forsy.

Stary Kowalski umarł zeszłej jesieni. Skurwysyn dociągnął aż do osiemdziesiątki, widać nawet Pan Bóg nie chciał go u siebie, trudno mu się dziwić, między nami mówiąc. Ale w końcu się zlitował. Nie rozumiałem, jak Zośka mogła po takim ojcu płakać i w żałobie chodzić.

My po naszych rodzicach nie zrobiliśmy nic.

Ale dałem Zośce dodatkowo na płytę nagrobną. Z czego miała zapłacić, jak została sama z dziećmi? Jej brat Józek zginął jeszcze w powstaniu, a jego syn, ten gówniarz Wacek, zniknął. Gdzie jest? Nikt nie wie.

Ja ostatni go widziałem.

Miesiąc po wyzwoleniu Hesio załatwił mi robotę w zakładach rowerowych w Bydgoszczy. Dostałem mieszkanie tuż przy fabryce. Wacek musiał coś o tym słyszeć od Zośki.

Pewnej nocy zjawił się u mnie z plecakiem. Co w nim było? Zaraz przypomniało mi się, jak w Jeziornie latał po chałupie z pistoletem. A ja nie miałem broni.

– Stasiu, przechowaliśmy cię za okupacji – mówi. – No to teraz twoja kolej. Ty jesteś tu ważną figurą. Odpląć się.

– Koledzy z lasu cię szukają – powiedziałem.

– Wiem. Dlatego tu przyjechałem.

Nic z tego nie rozumiałem. Byłem pewny, że Wacek skumał się z bezpieczeńką. Ale oni przecież by go gdzieś ukryli.

Położył się w butach i brudnym ubraniu w mojej pościeli i zasnął.

Rano popytałem w kadrach i okazało się, że szukają ludzi do nowej fabryki w Toruniu.

Od razu wróciłem do domu i mówię Wackowi:

– Słuchaj, spierdalaj do Torunia, ja cię tutaj nie chcę mieć. A w ogóle to ty się pilnuj. Bo jak cię szukają, to na pewno znajdą.

I zniknął.

Musieli go znaleźć. Albo bezpieka jednak mu pomogła?

Ale co najlepsze. On mi jeszcze na odchodnym powiedział, że potrzebne mu są długie kalesony.

– Nie mogę ci dać – mówię. – Nie noszę długich kalesonów.

– Jak to nie nosisz?! Przecież w tej szafce na górze w przedpokoju są.

Faktycznie w przedpokoju był pawlacz, do którego nigdy nie zaglądałem.

– Tam są długie kalesony. – Uśmiechnął się, że przyłapał mnie na kłamstwie.

A to nie były moje rzeczy. Niemiec, który mieszkał tu przede mną, nie zabrał tych swoich szmat. Wacka wystarczyło na chwilę zostawić samego w mieszkaniu, żeby zrobił przeszukanie. Już taki to człowiek.

W Bydgoszczy nie było źle, tylko marnie płacili. Gdyby nie Rudek, Hesio i Natek, byłoby mi ciężko. Na szczęście co miesiąc robili zrzutkę, żeby sprawiedliwość zapanowała przynajmniej w naszej rodzinie.

Zamęczałem Hesia, żeby znalazł mi coś lepszego.

Kochany!

Mam nadzieję, że kiedyś wpadniesz do Bydgoszczy. A na razie, proszę Cię, poślij mi legitymację korespondenta „Polski Zbrojnej”. Mogę Wam coś napisać, ale podaj, co Was ciekawi, jeśli chodzi o przemysł. Wiesz – nie mam dużo forsy, a chciałbym korzystać z teatru i kin. Przyrzekłeś mi też swego czasu broń. Mam pozwolenie, a broni nie posiadam. Nie chcę Cię ogołacać, ale jeśli możesz – poślij mi.

Pisałem i pisałem, aż poskutkowało.

Hesio znowu polecił mnie, komu trzeba, tym razem na stanowisko dyrektora w moich zakładach.

– Mogę cię prosić na chwilę? – powiedziałem mu teraz.

I stuknąłem się kieliszkiem szampana z nim i z jego żoną.

Ona spojrzała na mnie z góry. A jak miała spojrzeć, jak jest o głowę wyższa i jeszcze na obcasach?

Nie pytajcie się.

Moi bracia wysoko mierzą w każdej dziedzinie.

Jakby się umówili po wojnie, że ich żony będą od nich nie tylko wyższe, ale też młodsze o co najmniej dwadzieścia lat.

Gdybym miał się z nimi ścigać, musiałbym chyba ożenić się z dziesięcioletnią żyrafą. No i Aryjką – na to też jakby się umówili. Z rodzeństwa tylko Wela jest związana z Żydem, bo jedyna została w tym samym związku, co przed wojną.

Hesio pokazał ręką, że nie ma teraz czasu, żebym poczekał.

Stuknął łyżeczką trzy razy w swój kieliszek i wzniósł toast.

– Gustawie, za twój powrót do zdrowia i do kraju. – Podszedł do Salka i objął go ramieniem. – I za skarb, który nam przywiozłeś z zagranicy.

Już wcześniej widziałem, jak Hesio wodzi wzrokiem za tym skarbem, za naszą szwajcarską bratową.

A moje siostry, Rena z Welą, szeptały, że ona jest nie tylko zgrabna, ale też ubrana jak z żurnala.

Chichotały zupełnie jak w dzieciństwie, kiedy spały w jednym łóżku. Tyle że teraz Rena była w mundurze majora, a Wela w długiej sukni w biało-niebieskie pasy.

I obie były w ciąży.

– Zdrowie Anne-Marie!

– Jest urocza – powiedziała Rena. – Ale gdzie jej do naszego Salka.

– Zdrowie gospodarzy!

Wela słyszała, że Anne-Marie jest córką dozorca i praczki.

– I co w tym złego?! – zapytał niespodziewanie mąż Reny, też w mundurze, ale kapitana.

Nie zauważyłem nawet, kiedy do nas podszedł, trzymając w rękach kieliszek i talerzyk z dwoma jajkami na twardo w majonezie.

Dziewczyny przestały chichotać. Poczułem, jak rośnie napięcie. Odezwał się we mnie elektryk. To chyba moje zboczenie zawodowe, że czuję takie rzeczy.

Zaraz wywali korki.

– Złego? Nic – spieszyła się Rena. – Jakie to ma znaczenie?

Niektórzy mają w sobie takie napięcie – podają rękę i trzepie cię prąd, włączą światło i przepala się żarówka, wsiądą do samochodu i siada akumulator.

Takich ludzi lepiej unikać, ale co, jeśli to mąż twojej siostry?

Za to ten Zygmunt może coś wiedzieć o Budze z Jeziorny – popatrzyłem na jego przystojną twarz bez wyrazu. Ale i tak nic mi nie powie.

Przypomniałem sobie dowcip, który ostatnio usłyszałem od Zośki. Może rozładuje atmosferę?

– Przed wojną się mówiło „opanuj się”, bo były pany, prawda? – Poczekalem, aż we troje mi przytakną. – A dlaczego teraz mówi się „pohamuj się”?

Tylko Wela się zaśmiała.

Dopiłem szampana.

To ma być alkohol? Bimber od Bugi to było najlepsze, co w życiu piłem. Ale się skończyło, a Buga siedzi – za co? za wrogą działalność?

Mnie tam jego działalność nie była wroga. Nawet kaca po niej nie miałem. Szampan się do bimbru Bugi nie umywa. Wolę już napić się wody kolońskiej. I właśnie to zrobiłem, skoro już zajrzałem do łazienki. Zielony flakonik znalazłem w szafce pod umywalką. Jak mówią, wszystkiego trzeba w życiu spróbować.

– Zdrowie Kazika Bugi! – powiedziałem do lustra.

Lawendowa. Niczego sobie. Pewnie szwajcarska.

Ktoś nacisnął klamkę i drzwi lekko się uchylły, na szczęście zamknąłem je na haczyk.

Nie widać, że światło się pali? Przecież drzwi mają prostokątną matową szybę.

– Zajęte! – krzyknąłem, chociaż chyba już się zorientowali.

Golnąłem sobie jeszcze raz. Od razu lepiej.

Polałem kilka kropel na rękę, wtarłem sobie w szyję i w policzki, żeby pachnieć lawendą też na zewnątrz.

– To ja – usłyszałem przez szparę głos Zygmunta.

Czego chce?

– Już kończę – powiedziałem.

Spuściłem wodę i odczekałem pół minuty, zanim otworzyłem drzwi. Kiedy mijaliśmy się w nich, Zygmunt spojrzał mi w oczy i zatrzymał mnie ręką.

– Gdzie to usłyszałeś? – zapytał swoim powolnym głosem.

– Co?

Staliśmy wciąż w tych głupich drzwiach.

Znalazł sobie miejsce na przesłuchanie.

– Kto ci powiedział ten dowcip? – Zygmunt mówił jedno słowo po drugim z kilkusekundowymi przerwami, jakby nie miały ze sobą nic wspólnego i na koniec trzeba je było sobie samemu ułożyć w całość.

Spojrzałem w stronę korytarza, zobaczyłem Rudka.

– Wiesz, co, Zygmunt? – powiedziałem. – Pocałuj mnie w dupę.

I poszedłem szybko do najstarszego brata, przy którym zawsze czułem się bezpieczny.

Rudek był znowu patriarchą rodu. Patriarchą rodu Stramerów, mimo że nikt z nich już nie nosił tego nazwiska. Lubił odejść na chwilę na bok, jak teraz do korytarza, i z dystansu spojrzeć na siostry i braci. Zobaczyć nie każdego oddzielnie, ale rodzinę jako całość. I nacieszyć się tym widokiem.

Mrówki, które odbudowują swoje mrowisko – myślał.

Jakby robił im zdjęcie grupowe, chociaż gdyby miał aparat fotograficzny, nie wiedziałby, co jak ustawić i gdzie nacisnąć. W przeciwieństwie do Salka, który ma ten fach w ręku. Rudek podsunie mu pomysł wspólnego zdjęcia. Mogą wszyscy ustawić się wokół kanapy w salonie albo nawet tu w korytarzu. On, jako najstarszy, na środku w pierwszym rzędzie.

I podpis: *Znowu razem, Warszawa 1948.*

Rudek nie lubił wracać do przeszłości, ale na pewno pamiętał, jak przed wojną w Tarnowie zabrał całe rodzeństwo do znajomego fotografa. Ile miał lat? Z osiemnaście. Stać go było na jedną odbitkę, i zdjęcie, które podpisał z tyłu *Ku pamięci*, dał mamie.

Gdyby wtedy miał tyle pieniędzy, co teraz, mógłby kupić cały zakład fotograficzny Chaskiela.

Ta ich pierwsza wspólna fotografia zginęła razem z rodzicami. *Ku pamięci?* Czy ktoś jeszcze z rodzeństwa ją pamięta?

Pomyśleć, że Rudek siedem lat temu na Syberii spał na podłodze we wspólnej izbie, w której było tak zimno, że przykrywał się na noc szafą. A dziś, gdyby tylko chciał, może w szwajcarskim banku podjąć nawet kilka milionów dolarów.

Naturalnie to nie jego pieniądze, ale taką ma pracę.

Zaraz po wyzwoleniu wstąpił do partii, podobnie jak milion nowych członków. Jak inaczej mieliby pracować, robić kariery i troszczyć się o swoich najbliższych?

Przekonał ich niewypowiedziany na głos argument: Albo jesteś w partii, albo zamiatasz ulice.

W ankietach i życiorysach, które musiał pisać raz po raz, podkreślał, że przed wojną nie należał do żadnej partii, ale jego krakowskie mieszkanie służyło za „przejazdówkę”, gdzie kontaktowali się ze sobą okręgowcy z KPP (czyli znajomi Salka i Hesia), a przed pierwszym maja powielano odezwy komunistyczne (co akurat nie było prawdą, ale kto to sprawdzi?).

Te informacje specjalnie zostawiał na koniec, bo wiedział, że liczą się teraz bardziej niż cała jego przedwojenna przeszłość, dyplom

filologa klasycznego czy dziewięć lat pracy na stanowisku kierownika biura w Syndykacie Świec.

Tyłu znajomych na nowo pisało swoje życiorysy. Można by pomyśleć, że co drugi przed wojną należał do tej marginalnej partii komunistycznej albo przynajmniej, jak Rudek, był jej sympatykiem.

Nie miało znaczenia, że Stalin kazał rozwiązać KPP i zabić jej kierownictwo. Rudkowi wydawało się, że nikt już tego nie pamiętał. Zastanawiał się czasem, czy Salek i Hesio powiedzieliby mu prawdę, gdyby zapytał, czy byli przed wojną radzieckimi agentami.

Od kiedy został powołany na dyrektora centrali handlu zagranicznego, Rudek częściej bywał za granicą niż na bazarku pod domem. Wszędzie też woził go kierowca. Odbudowywana Warszawa, przynajmniej zza samochodowej szyby, robiła wrażenie coraz nowocześniejszego miasta.

Rudek pytał czasem pana Waldka, kiedy złapał jego wzrok w wewnętrznym lusterku limuzyny, co mówią ludzie na mieście.

Jedno się powtarzało:

– Zachód nas sprzedał, a Ruscy, za przeproszeniem pana dyrektora, wypierdolili w dupę.

Rudek na wszelki wypadek tego nie komentował, tylko kręcił głową z niedowierzaniem, chociaż podobne zdanie słyszał też wiele razy od wykształconych znajomych.

Jak wszyscy musiał przejść w pracy szkolenie ideologiczne i zdać egzamin z marksizmu-leninizmu.

Nie przewracał już oczami jak dawniej, słuchając Salka i Hesia udowadniających, że źródłem wszelkiego cierpienia na Ziemi jest własność prywatna, a zwłaszcza prywatna własność środków produkcji, która rodzi biedę, ciemnotę i wyzysk. Wystarczy ją uspołecznic, czyli w praktyce upaństwowić, żeby znikło całe zło.

Po trzech latach w Związku Sowieckim Rudek nie miał żadnych złudzeń, że jest wprost przeciwnie. „Biada widzącemu, którego prowadzi ślepy” – jak mówi Talmud. Napatrzył się na to w Stalińsku. Był świadkiem, jak w rękach szaleńca ta teoria zmieniała się

w praktykę. Ale nauczył się tam nie dyskutować z komunistami, nawet jeśli to jego rodzeni bracia.

Kiedy mam do wyboru: mieć spokój albo rację – myślał – wybieram spokój.

Po wyzwoleniu był w cichości ducha równie sceptyczny wobec trzyletniego planu odbudowy Polski, jak i zdziwiony jego skutecznością.

Musiał przyznać braciom, że znikło bezrobocie, poziom dochodów jest prawie równy przedwojnemu, a sklepy pełne taniej żywności. Może ci komuniści, cholera, wiedzą, co robią?

Jest dobrze, ale nie beznadziejnie – przypomniał sobie powiedzenie ojca.

I nagle znowu poczuł, że nie wierzy w żadnego Boga, Stalina czy Partię, ale wierzy, że w coś trzeba wierzyć – on wierzy tylko w siebie i w rodzinę Stramerów. Nie znał drugiego tak liczego żydowskiego rodzeństwa, które przeżyłoby wojnę. Nie przypadkiem Stramer znaczy silny, krzepki.

Słyszał, że niektórzy mówią na nich teraz „klan”.

Szóstka rodzeństwa, z których każde ma inne nazwisko.

Rudek zaraz po wojnie się w nich gubił. Kto jest kim?

– Te nazwiska na przetrwanie przyniosły nam szczęście w czasie okupacji – mawiała Wela. – Po co się ich pozbywać?

– Teraz też dobrze brzmią – dodawał Nusek. – Nie drażnią niepotrzebnie uszu.

Mogli się nawzajem tak przekonywać, ale nacisk, żeby nie wracać do obco brzmiącego nazwiska Stramer, szedł z góry i nikt z rodzeństwa mu się nie przeciwstawił.

Rudek miał wrażenie, że im ulżyło – ktoś za nich zdecydował, wyręczył ich w zerwaniu z uwierającym pochodzeniem. Z drugiej strony to pochodzenie otwierało im po wojnie wiele drzwi. Ufano Żydom, bo przynajmniej było wiadomo, że oni na pewno nie byli faszystami.

Po wyzwoleniu wszystko miało toczyć się przecież od nowa. Jak kiedy w szkole na początku roku zaczynali nowe zeszyty. Tyle że teraz wpisali na ich okładkach również nowe nazwiska.

W praktyce było to jednak bardziej skomplikowane. Bo co z rodzicami? Czy w nowych dokumentach mają być jako Stramerowie? Czy im też zmieniamy?

Rudek przedyskutował to dwa lata temu z Salkiem, kiedy odwiedził go w sanatorium w Davos.

– Zawsze to dzieci dostają nazwisko po rodzicach – uśmiechnął się Salek. – Ale u nas będzie odwrotnie.

W ten sposób Rywka i Nathan Stramerowie po wojnie zaistnieli w nowych dokumentach dzieci pod sześcioma różnymi nazwiskami.

Pod własnym tylko zginęli – pomyślał teraz Rudek.

Nusek, który pojawił się w korytarzu, znowu go irytował. Jak w Tarnowie wszędzie myszkował i pultał się pod nogami. Rudkowi intuicja podpowiadała, że jego najmłodszy brat będzie chciał pożyczyć pieniądze.

On z całego rodzeństwa jest zdecydowanie najmniej błogosławiony masą między uszami. Dobrze, że przynajmniej nie muszę już z nim spać w jednym łóżku – pomyślał. Czasem brała go ochota, żeby zlać Nuska jak w dzieciństwie. Zdzielić w łeb albo kopnąć w dupę. Co z tego, że brat wyrósł na podłyśiałego dyrektora w garniturze prosto od krawca?

Najchętniej teraz podciąłby go, rozłożył na łopatki i przydusił krawatem.

Wystarczyło, że Rudek to sobie wyobraził, i od razu poczuł się lepiej. Uśmiechnął się nawet do Nuska i trącił z nim kieliszkiem szampana.

– Zdrowie!

Zresztą, gdyby naprawdę go zdzielił, to Nusek by już nie wstał.

Rudek nie był tak porywczy jak dawniej. Pobyt w Związku Radzieckim na dobre wyleczył go z rzucania się z pięściami.

W Stalińsku nauczył się spuszczać wzrok i przechodzić na drugą stronę ulicy.

Jak chcesz kogoś przekonać, zrób to głową, nie pięścią czy nogą – przekonywał sam siebie. A najlepiej daj sobie spokój.

Przypomniało mu się, co Salek powiedział mu dwa lata temu w Davos. Przeczytał w jednym z czasopism medycznych, że gdyby każdy człowiek raz dziennie mógł sobie wyobrazić, że kogoś morduje, jak ręką odjął znikłyby wszystkie choroby psychiczne.

Zaraz po wojnie ta teoria brzmiała kontrowersyjnie, ale Rudek lubił to sobie wyobrażać, najczęściej w zadymionych gabinetach Ministerstwa Handlu Zagranicznego albo Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie też go wzywano po każdym powrocie z zagranicy.

Z jednej strony był dla partii człowiekiem najwyższego zaufania, bo to przez jego centralę handlu zagranicznego dofinansowywano zachodnie partie komunistyczne. A z drugiej szybko przekonał się, że ludzie specjalnego zaufania są też obiektem „specjalnej troski” służb. Im bardziej się im ufa, tym bardziej ma się ich na oku.

Ile razy w Paryżu, w Londynie czy w Zurychu dyskretnie oglądał się przez ramię i stwierdzał, że tego faceta już wcześniej widział?

Dopiero teraz zauważył, że kieliszek Nuska jest pusty. Już miał powiedzieć: Nalej sobie coś. Ale na wszelki wypadek lepiej z tym bratem nie zaczynać rozmowy o tym, że czegoś mu brakuje.

– Rudziu, masz dziesięć minut na osobności? – Nusek ściszył głos.

Cuchnął kobiecymi perfumami czy Rudkowi się wydawało?

– Pięć – odpowiedział od razu. – Ale później.

Niech Nusek najpierw trochę wywietrzeje.

Oprócz Nuska, spokój i radość z rodzinnego przyjęcia zakłócało mu jeszcze jedno. Spotkanie, które miał w biurze Transfactorsa tuż przed wyjściem na przyjęcie. To przez nie chwilę się spóźnił.

Aśka Tecko wpadła roztrzęsiona do jego dyrektorskiego gabinetu. Wiedziała – Rudek wiele razy jej to powtarzał – że po tym, jak

w czasie wojny pomogła rodzinie, wszystkie drzwi do niego będą dla niej zawsze otwarte. Ale wcześniej z tego nie skorzystała. Ani razu.

Gdyby nie ona, na pewno nie spotkalibyśmy się tu teraz w komplecie – pomyślał.

Poznał Aśkę dziewięć lat temu, kiedy uciekł z Tarnowa do Lwowa. Pracowali w tym samym przedsiębiorstwie produkującym trumny.

W jakiś czas po wejściu Niemców Aśka przewiozła Welę z Natkiem ze Lwowa do Warszawy. A później Nuska wyciągnęła z obozu janowskiego. Wcześniej pojechała do tarnowskiego getta, żeby przywieźć do Lwowa jego żonę i córkę – Ruth i Różę. To jedyne się jej nie udało.

Rudek nawet we Lwowie nie widział Aśki takiej zdenerwowanej jak dzisiaj w gabinecie.

Poczęstował ją koniakiem.

Co się stało? Udzieliło mu się chyba jej zdenerwowanie, bo ścisnęło go w żołądku, a jeszcze musiał dyskretnie podwinąć mankiet koszuli, żeby zerkać na zegarek.

– Taka sprawa – zaczęła w końcu. – Wiesz, że jestem wiceprzewodniczącą związku zawodowego w zakładach Świerczewskiego?

Rudek nie wiedział, ale kiwnął głową.

– Obchodziliśmy Dzień Kobiet i na zebraniu rady wszystkie baby gadały naraz. Aż mnie głowa rozbolała. Wstałam i mówię: Uspokójcie się, robicie żydowski jarmark! I się zaczęło.

– Co się zaczęło? – Rudek nie miał czasu, żeby się domyślać.

Przed przyjęciem musiał jeszcze podjechać pod dom po żonę i córkę. Nie, lepiej zadzwonić do nich, żeby poszły na postój taksówek.

– Zaczęło się, że jestem antysemitka. Wezwali mnie do kadr. A ja bezmyślnie im jeszcze powiedziałam, że jak u nas we Lwowie się mówiło „żydowski jarmark”, tak mówiło się też „słomiany polski zapal”. To teraz jestem też antypolska. Na najbliższym zebraniu pewnie mnie wywalą.

– Spokojnie – powiedział Rudek. – Zajmę się tym. Podaj tylko moje nazwisko. Wystarczy.

Nie miał jeszcze pojęcia, jak to załatwi. Do kogo zadzwoni? Może Natek zna tam kogoś? Jemu przecież Aśka też pomogła.

To drobiazg. Ale najważniejsze, żeby o tym pamiętać.

Rudek uśmiechnął się i pokiwał głową do Łucji, która zamachała ręką z salonu, żeby przyszedł. Zgrabnie wyglądała w tej jasnoszarej sukience z odsłoniętymi plecami, którą przywiózł jej w zeszłym tygodniu z Wiednia.

Rudek jedynie w łóżku z Łucją na chwilę przestawał się kontrolować. Widział, jak wielu ludzi po wojnie uciekało w erotykę, szukali wciąż nowych miłości, pewnie, żeby zapomnieć o tych, które stracili. Rozumiał ich. Sam stracił żonę i kochankę. Wciąż zdarzało mu się obudzić w nocy z krzykiem, ale coraz rzadziej. Łucja przytulała go i znowu zasypiał.

Czasem tylko się zastanawiał, czy mu jej nie podstawiono. Ale nie, to niemożliwe, żeby już wtedy się nim interesowali.

Poznał Łucję rok po wyzwoleniu, kiedy na własną prośbę odszedł z wojska i dzięki znajomościom Natka, męża Welj, został dyrektorem w Dolnośląskim Zjednoczeniu Przemysłu Konfekcyjnego. Róży nie wziął ze sobą do Wrocławia. Po wojnie nie przypominała mu już ukochanej córeczki, którą widział ostatni raz w 1939 roku u rodziców w Tarnowie, tylko swoją matkę, jego pierwszą żonę, Ruth.

Nie mógł dłużej patrzeć w te porzucone oczy. Nie umiał jej nawet przytulić. I wiedział, że dopóki będą razem, nie zwiąże się z żadną kobietą.

Odesłał córkę z powrotem do świata, z którego przyjechała. Do Babuni do Krakowa. I kiedy na dworcu pociąg ruszył, poczuł coś, czego do dzisiaj się wstydził. Ulgę.

Po miesiącu pracy we Wrocławiu zaczął spotykać się z Łucją. Łucja Markowska, jak przed wojną Zuzanna Lipska, była sekretarką. Tyle że z Łucją się ożenił, a z Zuzanną nie zdążył. Często myślał, że gdyby nie wojna, na pewno by to zrobił. Nigdy nie zapomni, jak leżała goła w wannie i piła piwo.

Bał się pójść z Łucją do łóżka. Zaczął tłumaczyć, że od lat nie... Nawet nie wiedział już, jak to normalnie powiedzieć. Niepotrzebnie. Od początku było im razem bardzo dobrze i namiętnie.

– Mam nadzieję, że nikt nigdy nie założy nam podsłuchu w sypialni – zażartował raz, ale Łucja wyglądała na bardziej przestraszoną niż rozbawioną.

Zuzanna odpowiedziałaby pewnie coś w stylu:

– A czemu nie? Niech też coś mają z życia.

Łucja jak Zuzanna była katoliczką, ale bardziej wierzącą i praktykującą. Od kiedy przeprowadzili się do Warszawy, zdążyła już odwiedzić chyba wszystkie kościoły po obu stronach Wisły. Mówiła, że poznaje w ten sposób miasto.

Może wstydzi się spowiadać dwa razy w tym samym? Rudek uśmiechnął się do żony.

Na szczęście nie naciskała, żeby jej towarzyszył.

Łucja nie musiała błyszczeć jak Zuzanna, która uwielbiała nawet tandetną odpustową biżuterię. Ani nie była tak wrażliwa i udręczona jak Ruth.

Była gdzieś pomiędzy nimi.

Rudek szybko docenił jej oszczędność i praktyczne usposobienie. Z czasem przywykł też do zewnętrznej rezerwy, którą inni brali za oschłość.

Raz po koniaku zapytał, co jej się w nim spodobało.

Co chciał usłyszeć? Pewnie, że jest przystojny, wciąż młodzińczy, że Łucja lubi jego zapach.

Ale ona powiedziała:

– Umiesz żyć z ludźmi.

Teraz znowu do niego zamachała z salonu, już bardziej zniecierpliwiona.

– Idę – odmachnął.

Ale na razie to Róża w czarnej sukience przeszła naburmuszona przez korytarz.

Tę minę Rudek też dobrze pamiętał sprzed wojny. Może i umiał żyć z ludźmi, ale wobec własnej córki był bezradny.

Po roku małżeństwa sprowadził Różę razem z Babunią do Warszawy. Przywozi jej z zagranicy, co tylko chce. Robi, co może. A że nie może wszystkiego? Ruth już nie wróci. A Łucja, która jest niewiele starsza od Róży, nigdy nie zastąpi jej matki.

Czasem miał wrażenie, że Róża specjalnie prowokuje kłótnie, żeby potem się godzić, bo tylko wtedy przytulali się i byli przez chwilę blisko jak przed wojną.

Rudek posłuchał Salka, który jeszcze w Davos powiedział mu, że chyba zwariował, żeby wysłać córkę do Krakowa i w dodatku do szkoły krawieckiej.

I jak tylko został przeniesiony do Warszawy, wziął Różę z powrotem do siebie i zapisał do gimnazjum Królowej Jadwigi, do którego chodziła Maria Skłodowska-Curie.

Salek był z tego chyba bardziej zadowolony niż Róża.

Ale czemu wtedy tak się wściekł? To było do niego niepodobne. Rudek tłumaczył to sobie nadpobudliwością związaną z gruźlicą. Albo skutkiem ubocznym streptomycyny. Ale może Salek martwił się tak naprawdę o przyszłość swojego własnego dziecka?

Rudek tłumaczył, że Róża przez całą wojnę nie chodziła do szkoły i już tego nie nadrobi. Że z radością wróciła do Babuni, że wystarczyła dla nich w krakowskiej komisji mieszkaniowej o pokój z kuchnią na Podgórzu, niedaleko ulicy, na której kiedyś mieszkali we troje: Ruth, Róża i on.

Ale rzeczywiście sam nie wiedział, co strzeliło mu do głowy, żeby zapisać córkę do szkoły krawieckiej. Nie przyznał się też bratu, że nie lubił przyjeżdżać na niedziele do Krakowa. Chodzić po tych samych uliczkach, co przed wojną. To były dekoracje do jakiegoś cholernego filmu z ich przeszłości. Muzeum poprzedniego życia.

Warszawa przynajmniej została zniszczona, a w Krakowie wszystko – od ozdobnych drzwi do posesji, przez zadbane ogródki, po nierówną kostkę brukową – trwało obojętnie na swoim miejscu. Jak w ich rodzinnym Tarnowie, dlatego nigdy do niego nie wrócił i nie wróci.

W Krakowie zobaczył tylko jedną zniszczoną kamienicę – na rogu placu Wita Stwosza i Grodzkiej. To pod nią spotkał wychudzonego Franka Bromberga, dawnego znajomego z pracy w Syndykacie Świec, który kiedyś przystawiał się do jego Zuzanny.

Śmiejąc się, czytała mu w łóżku listy miłosne, jakie tamten do niej pisał. Miał dość niewyraźne pismo, tyle Rudek z nich zapamiętał.

Teraz dawni rywale przywitali się raczej chłodno i ze wzajemnym niedowierzaniem, że temu drugiemu udało się przeżyć. Zuzanna, mimo że była Polką, nie miała tyle szczęścia.

Ściskając mu rękę, Rudek zauważył numer obozowy. Franek w tym samym momencie zapytał go:

– Jakie trzy grupy ludzi zawsze i wszędzie się rozpoznają i wspierają?

Rudek pokręcił głową.

– Cykliści, pедераści i oświęcimiaczy! – Franek zaśmiał się jak Żydzi, którzy przed wojną opowiadali antysemitki żarty.

Rudek nawet się nie uśmiechnął.

Po tym wszystkim, co przeszedłeś, pozostałeś głupi – pomyślał.

– No, do miłego! – powiedział i poszedł.

Rudek bez słowa zostawił Nuska w korytarzu z pustym kieliszkiem.

W drzwiach do salonu przepuścił Anne-Marie. Wnosiła nowe półmiski z kuchni. Smakowicie zapachniało mu pieczoną jagnięciną, czosnkiem i rozmarynem.

– Gigot d'agneau? – spytał.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

Ostatnio był ciągle głodny. Czasem nawet budził się w nocy i szedł do lodówki. Może to przez te nerwy zrobił się gruby?

Wieprzowiny nadal nie tykał. Łucja w ostatnią niedzielę, nic mu nie mówiąc, dodała ją do mielonych kotletów cielęcych. Myślała, że się nie zorientuje? Chciała go sprawdzić? Odstawił talerz.

Czy cokolwiek rozumiała z jego pochodzenia? Raz opowiedziała mu, jak przed wojną była z mamą na żydowskim weselu „pod hucpą”. Z początku myślał, że to głupi antysemitowski żart, potem zrozumiał, że nie, ale nie chciało mu się jej niczego tłumaczyć.

Gdzie ona jest? Stała sama przy oknie i paliła oparta o parapet. Wciąż czuła się obco wśród Stramerów. To się chyba już nie zmieni.

Wreszcie – powiedział jej wzrok.

Rudek nie lubił, jak paliła. Mieli już o to kilka kłótni. Bez pytania wyjął Łucji z ręki papierosa, zaciągnął się raz i zgasił w popielniczce. Poczł przyjemne rozluźnienie.

O czym rozmawiano wokół? Na pewno nie o tym, o czym w innych domach, czyli kogo posadzono, kogo wypuszczono, kto się ukrywa. Przy mężu Reny chyba nikt by się nie odważył. Rudek słyszał, że od końca wojny skazano na śmierć prawie trzy tysiące ludzi.

Hesio, w mundurze, znowu stuknął łyżeczką w kieliszek, żeby wznieść kolejny toast.

Coś jak dzwonki na mszy.

O co mu chodziło? To już zaczynało być męczące.

Hesio politycznie zaszedł najwyżej z rodzeństwa. Mówi o najważniejszych osobach w państwie z imienia, żeby każdy domyślił się nazwisk i zażyłości, jaka łączy go z nimi.

Ale przecież to, że ktoś zaszedł wysoko politycznie, nie oznacza automatycznego awansu w hierarchii rodzinnej.

A może po powrocie Salka czuje się zagrożony i tymi toastami próbuje zdominować wieczór? Albo chce zwrócić na siebie uwagę tej Szwajcarki?

Rudek przez moment zobaczył obu tak ważnych teraz braci, jak w dzieciństwie śpią w jednym łóżku na Goldhammera, jak roznoszą komunistyczne ulotki po Tarnowie i jak już wtedy ze sobą rywalizują.

Ale Hesio nie musi się obawiać, że Salek go teraz przeskoczy.

Salek przyjechał z Zachodu i samo to przekreślało szansę na większą karierę, bo był podejrzanym. Nie mówiąc o tym, że jest inteligentem, erudytą, zna języki. I nie pije wódki.

Co u trzeźwego na myśli, to u pijanego na języku. Rudek słyszał tę mądrość wiele razy w Stalińsku.

Nie pije – znaczy, nie chce powiedzieć prawdy. Ale to jeszcze nic. Gorzej, że niepijący słuchają tych, co piją, i później na nich donoszą.

Teraz mówią to coraz częściej w Polsce.

Rudek próbował namówić Salka jeszcze w Davos, żeby tu nie wracał (on na jego miejscu zostałby w Szwajcarii), ale sam się tylko kolejny raz przekonał, że z komunistami nie ma co dyskutować. Ten system nawet z najlepszych wyciąga to, co najgorsze – słyszał gdzieś to zdanie i teraz mu się przypomniało.

Ciągnie ich do kraju bardziej niż Łucję do kościoła. Widział wiele podobieństw. I czasem myślał, że gdyby ci jego dwaj bracia urodzili się w epoce wczesnego średniowiecza, ze swoją ślepą wiarą skończyliby pewnie jako zakonnicy przestrzegający surowych klasztornych reguł.

Rudek wyobraził sobie Salka i Hesia w mnisich szatach.

– Niech żyje, kto wypije! – zawołał młodszy z mnichów.

Hesio nie mógł się zatrzymać, coś pchało go, żeby pić dalej i zabawiać towarzystwo. Wszystko przez to, co żona powiedziała mu w samochodzie. Przez jedno jej słowo. Wyszedł dziś z pracy specjalnie wcześniej. Skrócił spotkanie z młodym porucznikiem, który przyniósł do redakcji opowiadanie na trzecią rocznicę zrzucenia bomby atomowej na Hiroszimę. Pójdzie w sierpniu w „Polsce Zbrojnej”.

– Jedna uwaga – Hesio podniósł wzrok znad maszynopisu. – Piszecie, że wasz główny bohater, czterdziestoletni antyfaszysta Takeszi, który w końcu ginie razem ze wszystkimi w wybuchu, był już i tak „w jesieni życia”.

Porucznik kiwnął głową, nieświadomy, że on sam właśnie wchodzi na minę.

– Poruczniku, co wy tu pierdolicie?! – Hesio aż wstał. – Ja mam czterdzieści lat i co? Jesień życia?

Porucznik, pewnie ze dwa razy młodszy od niego, opuścił głowę i wtedy zauważył zdjęcie na jego biurku.

– Towarzyszu pułkownika, jaka miła, ładna dziewczynka.

W ten sposób udało mu się rozbroić bombę.

W domu Cyryl skakał na niego, jakby nie widzieli się od miesiąca. I z tej radości aż zasikał świeżo wyfroterowaną podłogę w przedpokoju. Hesio zszedł z nim od razu na spacer.

Na podwórku usłyszał:

– *Hände hoch!*

To dzieci z patykami w rękach bawiły się w wojnę na gruzach.

Swojej córki Hesio nigdy nie widział.

Wiedział, że jego przyjaciel z dzieciństwa, teraz ksiądz Flądra, przechował ją do wyzwolenia u sióstr w tarnowskiej ochronce.

Ale czy Lotka powiedziała mu, czyje to dziecko?

Pewnie powinien do niego pojechać i podziękować, przez sekundę widział już to wzruszające spotkanie, ale jak by to wyglądało? Jeszcze ktoś by ich zobaczył razem i doniósł? Pułkownik i ksiądz? Takie spotkanie mogłoby zaszkodzić im obu.

Jednak kusilo go, żeby zobaczyć minę Flądry na widok dawnego przyjaciela w mundurze.

Hesio miał tylko to jedno zdjęcie córki, które Lotka przesłała mu po wojnie razem z listem, w którym prosiła, żeby się z nimi nie kontaktował. Wyszła za męża, układa sobie nowe życie na Śląsku. Prosiła, żeby uszanował jej życzenie. Mimo to dwa razy do niej napisał. Nie dostał odpowiedzi.

Hesio wziął prysznic. Ogolił się (drugi raz dzisiaj), wyrwał pincetą trzy włoski z nosa, założył świeżo wyprasowany mundur, wypastował oficerki i uśmiechnął się do siebie w lustrze.

Torbę z trzema butelkami radzieckiego szampana położył ostrożnie obok Lenina w bagażniku Citroëna.

I pojechał po Ewę do redakcji „Walki Młodych”.

Był w nastroju pasującym do ciepłego majowego wieczoru. Jechał powoli przez miasto, rozglądał się. To wszystko prawda, co pokazują

kroniki filmowe i opisują codziennie gazety, też te wydawane przez Prasę Wojskową, której był redaktorem naczelnym.

Warszawskie tempo pracy stało się już przysłowiowe, roboty trwają bez przerwy, dniem i nocą, a domy rosą jak grzyby po deszczu.

Zagapił się na kobiety na przejściu dla pieszych.

To ma być jesień życia?

Ktoś z tyłu na niego zatrąbił.

Cieszył się na rodzinne przyjęcie, nie przeszkadzało mu nawet, że musiał poczekać piętnaście minut na dole, aż Ewa skończy kolegium redakcyjne.

Szybko odnalazła się w nowej rzeczywistości. Jak sama mówiła: Czy jest jakaś inna Polska do wyboru? Przekonywał ją, że to nie będzie system typu sowieckiego, ale raczej okno wystawowe na Europę.

A te wszystkie aresztowania, procesy, wyroki?

– Nieuniknione. W miarę postępów w budowie socjalizmu walka klasowa się zaostrza. Sama słyszałaś – tłumaczył sobie i przy okazji Ewie.

A Związek Radziecki? To biedny kraj, w którym zwyciężył proletariatus, i trzeba podejść do niego z wyrozumiałością, bo jest parasolem dla wszystkich skrzywdzonych ludzi na świecie. Ojczyznę światowego proletariatus – jak teraz już ona sama pisała w swojej gazecie.

Przejeżdżali przez rzekę, która cztery lata wcześniej ich połączyła.

– Dobrze, że zostałaś wtedy po mojej stronie. – Uśmiechnął się.

Ewa wzruszyła ramionami.

Pokazał ręką na robotników budujących nowy most i tunel na trasie W-Z.

– Budowniczoie stolicy pracują na medal! – powiedział specjalnie głosem lektora kroniki filmowej, żeby ją rozbawić.

Ale kąciki ust nawet jej nie drgnęły.

Nic dziwnego, że pracują o tej porze, jak ta największa drogowa inwestycja w Warszawie ma być otwarta już w przyszłym roku, na piątą rocznicę odrodzenia Polski – mogłaby przynajmniej odpowiedzieć Ewa, ale nie podjęła tematu.

Zapaliła papierosa.

Nie ma ochoty na przyjęcie? Przecież lubi jego rodzeństwo, dobrze się z nimi czuje.

– Nie najgorzej masz z tym swoim mężem. – Hesio tak łatwo się nie poddawał. – Robi najlepsze omlety na śniadanie, jest twoim szoferem, zabiera na przyjęcia i...

– Zdradza.

To było to jedno słowo.

– Co? – mocno zahamował, szarpnęło ich do przodu, prawie wjechali w chłopski wóz przed nimi. – Co ty mówisz?

– Dobrze wiesz.

Hesio wiedział, jaki jest podstawowy warunek skutecznego kłamstwa: samemu w nie uwierzyć. Jeśli siebie przekonałeś, z innymi to już tylko formalność. Ale tym razem mówił prawdę, dałby się podłączyć do wykrywacza kłamstw. Ostatnio jej nie zdradzał. Tyle że nie mógł przecież tego powiedzieć.

– Nie miałeś dziś żadnej przygody, biedaku?

Zaprzeczał mniej wiarygodnie, niż gdyby kłamał.

Nawet siebie nie przekonał. Przekonał się tylko, że prawda jest głównie warta.

Jego myśli ruszyły w nieoczekiwanym kierunku.

Każda władza jest skuteczna, dopóki sama wierzy w swoje kłamstwa – wierzy, że wygrała referendum oraz wybory, w których nikt nawet nie policzył głosów. I nakłada społeczeństwu swoje ideologiczne okulary. Hesio lubił myśleć o sobie jak o optyku, który je dobiera. Na tym polegała jego praca w Prasie Wojskowej.

Ewa obgryzała paznokcie.

Co do przeszłości, miała oczywiście dobrą intuicję.

Romanse były przez lata jego odskocznią, ucieczką. Aż pewnego dnia przestały mu wystarczać żony oficerów i sekretarki z Prasy Wojskowej, które przyjmował po godzinach na kanapie w swoim gabinecie. Miał po lewej stronie od drzwi taki przytulny kącik – fotel, stolik kawowy i kanapa. A nad nimi na ścianie patrzące z zazdrością portrety Bieruta i Stalina.

W gruncie rzeczy myślał o sobie jako o płytkim człowieku, który, żeby zbyt długo nie przeżywać rozstań, zaraz angażuje się w nowe przygody.

Coś się zmieniło dokładnie 13 października 1947 roku, w trzecią rocznicę bitwy pod Lenino.

Jak zawsze, kiedy zaczynał pić na oficjalnych rautach, wiedział, że nie spędzi tej nocy sam, ale nie podejrzewał, że uroczyste i huczne obchody zakończy w swoim gabinecie z kobietą bez nogi. Lilą. Weteranką wojenną. Znajomą z armii Berlinga i Związku Patriotów Polskich.

Zapamiętał, jak dyskretnie odpięła drewnianą protezę i wsunęła ją pod kanapę. Za pierwszym razem było im tak dobrze, że aż się tego przestraszył. I następnego dnia postanowił z tym skończyć. Ale spotkali się jeszcze na kilka „ostatnich nocy”. W końcu ona z nim zerwała, bo jej mąż zaczął coś podejrzewać.

To rozstanie Hesio wciąż przeżywał.

Mimo że powtarzał sobie: to chorobliwe, nie mówiąc o tym, że gdyby wyszło na jaw, mogłoby zaprzepaścić jego karierę.

Skąd się to wzięło? Może niepotrzebnie wlaź do obozu na Majdanku? W snach wracała mu tamta goła więźniarka, goły szkielet, który najwyraźniej przeżył całą wojnę po to, żeby zwariować na widok radzieckich wyzwolicieli i biegać między nimi, ocierając się i śpiewając.

Hesio spocił się i rozpiął mundur pod szyją.

Resztę drogi na przyjęcie przejechali z Ewą w milczeniu. Bez słowa weszli też na przestronną klatkę schodową i na drugie piętro, targając torbę z tomem Lenina i szampanami.

Jeszcze zanim zadzwonił do drzwi, Hesio poczuł, że Salek będzie chciał z nim przeprowadzić rozmowę starszego brata z młodszym, rozmowę w stylu kazanie na górze. Pouczyć go, jak dawniej.

A może Hesio już wcześniej słyszał w środku głos starszego brata, wytykający mu układność, oportunizm, niewłaściwy stosunek do kobiet?

Miał na to kontrargument.

Wykonawcami wyroków społecznej sprawiedliwości bywają niekiedy ludzie indywidualnie amoralni – przekonywał brata w myśli.

Ta sprytna, bo też samokrytyczna odpowiedź powinna uciąć niewypowiedziane pretensje.

I dodałby jeszcze ulubiony cytat z Puszkina:

Wszędzie kipią fatalne namiętności i od wyroku losu nic człowieka nie chroni.

Zapamiętał drwiące spojrzenie, jakim brat obrzucił jego przestronny gabinet przy ostatnim spotkaniu.

Od czasu powrotu Salka ze Szwajcarii widzieli się dwa razy. Wśród śmiechów, serdecznych uścisków i wzajemnych komplementów stoczyli ze sobą dwa ciche pojedynki na spojrzenia, gesty i niedopowiedzenia.

Hesio w mundurze, Salek w brązowej tweedowej marynarce.

Hesio w fotelu, a Salek na wiadomej kanapie.

– W Polsce system proradziecki może być zagwarantowany wyłącznie, jeśli armia obejmie władzę – powiedział Hesio, na co Salek pokręcił głową.

– Stalin – Salek spojrzał na portret na ścianie, jakby mówił w jego imieniu – słusznie obawia się bonapartowskich tendencji wśród polskich generałów.

Hesio nie dodał więc, że armia Berlinga szła do Polski tak naprawdę nie po to, żeby wspierać Armię Czerwoną (która poradziłaby sobie świetnie sama), tylko właśnie po władzę. I jeśli ją przejmie, co dla społeczeństwa byłoby bardziej do przyjęcia niż rządy Partii, wtedy on, pułkownik Henryk Weber, może zajść naprawdę wysoko.

Po tych spotkaniach z bratem Hesio dalej w myślach odpierał jego argumenty.

Ale właściwie dlaczego miał odbijać tę piłeczkę, tłumaczyć się, a nawet usprawiedliwiać? Ile czasu nie było Salka w kraju? Prawie dwanaście lat. Zbyt długo. Co rozumie? Co wie?

Hesio cierpliwie wysłuchał jego pierwszych wrażeń po powrocie. Salkowi spodobało się, że do taksówkarza, który wioził ich z warszawskiego lotniska Okęcie, ludzie zwracali się teraz z szacunkiem „proszę pana”.

– To postęp.

W Polsce sanacyjnej, z której wyjechał, mówiło się do usługujących w najlepszym razie w drugiej osobie liczby mnogiej – „zanieście”, „podajcie”, a najczęściej po prostu – „niech zrobi”.

Hesio zniósł ten nauczycielski wykład z historii. Salek nie zrozumiał chyba, że wylądował w nowym świecie, w którym to on mógłby się sporo nauczyć od młodszego brata.

W korytarzu Hesio z Ewą torowali sobie drogę między gośćmi, najpierw w stronę wieszaka, a potem salonu, gdzie powitał ich gospodarz.

Zajrzał do tomu Lenina, podziwiając, jak pięknie został wydany.

– Dzieło filozoficzne stało się dziełem sztuki – powiedział.

Powąchał nawet skórzaną oprawę, w czasie kiedy młodszy brat odkorkowywał już pierwszego szampana.

Mimo wszystko Hesio był pod wrażeniem, jak łatwo bratu przychodziły takie sentencje. Co jeszcze? Może spuścisz się do środka? – pomyślał. On sam z kolei musiał się napić. O niczym bardziej nie marzył.

Korek walnął w sufit.

– Za zdrowie gospodarzy! – wzniósł po chwili toast. – Niech zawsze mają takich gości jak my!

Gdyby ktoś kiedyś (może on sam w przyszłości?) miał opisać to przyjęcie, zaczęłby chyba od tego, że jego gospodarz był smutny.

Zamiast cieszyć się gośćmi, którzy dziś wieczorem przyszli, Salek myślał o tych, którzy już nie przyjdą – o Irenie i o rodzicach.

Zatrzymała ich choroba i wojna.

A Lidię i ich syna, którzy też wrócili do kraju?

Jego decyzja.

Właściwie prosty matematyczny rachunek, którym im ją wytłumaczył. Albo trzy osoby byłyby nieszczęśliwe (Anne-Marie, on i Lidia, bo czułaby, że Salek jej już nie kocha) albo jedna (Lidia).

Mogło to być przecież ich wspólne mieszkanie i wspólne przyjęcie na cześć powrotu trzyosobowej rodziny do kraju. A jego siedmioletni syn biegłby zachwycony między ciotkami i wujkami.

Chłopak tak się ucieszył, kiedy zobaczył ojca pierwszy raz w Warszawie, z prezentem, który Salek przywiózł mu ze Szwajcarii. Kupioną na pchlim targu w Clavadel wiatrówką z wypalonymi na drewnianej kolbie inicjałami kw.

– To z niej strzelałeś na wojnie? – zapytał.

Salek uśmiechnął się zakłopotany. Nie potrafił nawet złamać wiatrówki, żeby załadować ją śrutem.

– Tato, a kto to kw? Przyjaciel z oddziału, który zginął?

Salek pogłaskał syna po kręconych włosach, nie wiedział, co odpowiedzieć.

Lidia nie zgodziła się, żeby mały dziś do niego przyszedł. Bała się, że będzie chciał zostać. Powiedziała to wprost. Ale Salek może odwiedzać syna u niej.

Salek zmuszał się do uśmiechu nawet teraz, przeglądając tom Lenina, który dostał już drugi raz w prezencie.

Nie szkodzi. Przyda się. Ma swój ciężar nie tylko gatunkowy, ale też jest odpowiedni do przytrzymywania drzwi w sypialni, żeby nie trzaskały, kiedy w mieszkaniu robi się przeciąg.

Głupi żart – skarcił się.

Skomplementował prezent tak samo jak tydzień temu. Słowo w słowo.

Czyli jednak da się wejść dwa razy do tej samej rzeki.

Salkowi od razu przypomniało się, jak Benek Laubhart, z którym na studiach wynajmował wspólnie mieszkanie w Krakowie, oblał egzamin z filozofów przyrody, bo na pytanie, jak brzmi słynna formuła Heraklita, odpowiedział:

– Nie wchodzi się do rzeki.

– Ale dlaczego? – zainteresował się profesor Metallmann. – Woda za zimna?

– A do jeziora można? – włączył się z poważną miną stary profesor Karwacki.

Salek opowiedział tę historię gościom w salonie. Najbardziej śmiali się Rudek z Reną, którzy pamiętali na pewno też inne wyczyny Benka z tamtych czasów.

Później przetłumaczy historię o egzaminie Benka Anne-Marie, która zna po polsku na razie kilka słów: dziękuję, proszę, towarzyszu.

Ale czy w ogóle słyszała o Heraklicie z Efezu? Nie ma przecież nawet matury – pomyślał. Najważniejsze, że widziała, z jaką uwagą go słuchali i jak się śmiali.

Tylko Zygmunt, mąż Reny, nawet się nie uśmiechnął. Zresztą był uderzająco podobny właśnie do Benka – wysoki, przystojny i z piękną czarną czupryną.

W pierwszej chwili, kiedy Salek zobaczył Zygmunta z daleka w korytarzu, jeszcze zanim ujrzał wyraźnie jego postać, wyobraźnia podsunęła mu brakujące szczegóły. Był pewien, że to przyszedł Benek. Zrobiło mu się zimno.

Słyszał od Hesia, jak zginął Benek. Niemcy aresztowali go pod koniec wojny za lewe interesy. A na dzień przed wycofaniem się

z Krakowa rozstrzelali razem ze wszystkimi więźniami z Montelupich.

A może rodzeństwo Stramerów też tak naprawdę nie przeżyło wojny? – mignęło mu w głowie, w momencie kiedy Benek z Zygmuntem nałożyli mu się na siebie. Ale zaraz potem Benek zdjął płaszcz, pod którym Salek zobaczył wojskowy mundur. Znowu był Zygmuntem.

A Stramerowie wrócili do żywych.

Rudek miał rację, że o takich jak mąż Reny mówi się, że umierają w wieku dwudziestu pięciu lat, ale pochowani zostają dopiero pięćdziesiąt lat później.

Dłoń, którą Zygmunt podał Salkowi na przywitanie, była faktycznie twarda i zimna. Co Rena w nim widzi? Wyglądał na sporo młodszego od niej. To, że po wojnie odmłodziła się w dokumentach o dwa lata, nic nie pomogło.

A może Rena – Salek spojrział na siostrę, która nakładała sobie na talerz bigos – też nie jest już tak pełna życia jak kiedyś?

Zygmunt stał obok niej, cały napięty i skupiony, jakby notował w pamięci wszystkie nazwiska, które padały w rozmowach, i nazajutrz miał aresztować Heraklita za uprzykrzanie innym obywatelom kąpeli.

Salkowi po powrocie ze Szwajcarii też już zaproponowano pracę w „zbrojnym ramieniu Partii”. Komu jej teraz nie proponowano? Wykręcił się, tłumacząc młodemu przyszczatemu towarzyszewi, że bardziej przyda się na innym, propagandowym odcinku.

Wszędzie spotykał takich młodych towarzyszy. W zębach majtki nosili, kiedy on już komunizował. Siedzieli w piaskownicy, kiedy on już siedział w więzieniu. Czy to dla nich działał przez te wszystkie lata?

„Pionierzy są zawsze rozczarowani” – przeczytał w sanatorium w Davos książkę o początkach awiacji, z której zapamiętał to jedyne zdanie. Było w nim coś pocieszającego.

Dlaczego „my, komuniści” mówi się teraz tylko w najbardziej zaufanych gronach? Jak dawniej, w Polsce sanacyjnej.

Wyjechał stąd jako młody komunista, a wrócił jako stary, ale jedno się nie zmieniło. Ludzie wciąż reagują alergicznie na to słowo. Salek nie mógł pogodzić się z tym, że nowa, zjednoczona partia, która niedługo powstanie, będzie miała w nazwie „robotnicza”, a nie „komunistyczna”.

– Jakie to ma znaczenie? – powiedział mu Hesio. – Są ważniejsze sprawy.

Wszyscy zmieniliśmy się przez tych dwanaście lat. Ale może Hesio najbardziej? Chociaż najmniej po nim widać. Jak sam mówi, „opakowanie” ma wciąż młode. Tylko jak się je zdejmie, to w środku jest już inny.

Wznosi toast za toastem, jakby każdym kolejnym chciał pokazać, że wciąż żyje. Dlaczego nie może znieść ciszy? Boi się, że jak przestanie gadać, to zniknie?

– Za mądrych rodziców naszych przyszłych dzieci! – Hesio uniósł kieliszek z szampanem w stronę Weli z Natkiem, a potem Reny z Zygmuntem.

– Kawalek ciasta? – Salek podszedł do Reny.

Rena w odpowiedzi pokręciła głową i dotknęła brzucha. Na przemian była głodna i robiło jej się niedobrze, ale to był najmniejszy problem.

Rudek radził jej przed chwilą, żeby starała się patrzeć na ciążę jak na prezent, który na razie w niej rośnie, a za pół roku będzie mogła go wreszcie zobaczyć. On i Ruth myśleli tak kiedyś o Róży.

Ale Rena bała się tego prezentu.

W poprzednim związku z Mieczysławem dziecko miało ich scementować. Gdyby przeżyło, Mieczysław może nie zaczęłyby znowu pić i wciąż byłiby razem.

Niedawno w Warszawie zdawało jej się, że go widziała. Ale to było przez zaparowaną szybę autobusu, w dodatku po zmroku i w deszczu. Wysoki mężczyzna w płaszczu, starszy i potężniejszy od jej dawnego Mieczysława, zataczał się po Nowym Świecie, coś krzyczał i zaczepiał przechodniów, upadł nawet w kałużę.

A teraz? Bała się, że ciąża rozsądzi jej małżeństwo z Zygmuntem. Czy jeśli się roztyję, nadal będę go pociągać? Albo mówiąc po żołniersku, dalej będzie chciał mnie co rano pieprzyć? W wojsku pozbyła się mieszczańskiej pruderii. Byli już trzy lata razem i wciąż robili to, kiedy tylko mieli wolną chwilę.

To świetny chłopak.

Niepewny siebie i skromny. Kiedy zaproponowano mu stanowisko szefa Głównego Zarządu Informacji Wojskowej, obawiał się, że temu nie podoła.

– Jestem za młody – powtarzał. – Brak mi doświadczenia.

Rena tłumaczyła mu, że ten awans to wielka szansa, dowód uznania i zaufania ze strony towarzyszy. Prawda, że jest młody, jeszcze przed trzydziestką, ale to właśnie jego atut, bo lepiej niż przełożeni rozumie współczesne wyzwania. Tyle draństwa, bandyterki i reakcyjnych złogów zostawiła okupacja, że trzeba kogoś takiego jak on, żeby sobie z tym poradzić.

A ona będzie go wspierała.

Na wojnie już się sprawdzili, a to nie może być trudniejsze. Zgadza się, że niestety tylko siłowo da się uzdrowić to zdemoralizowane społeczeństwo.

Niedawno wzięli ślub.

Zygmunt był Polakiem, ale miał niemieckie nazwisko. Rena Stramer, w czasie wojny Anna Wojciechowska, nazywała się więc teraz Anna Fiszer.

Niewiarygodne, co ludzie wygadali. Na ostatniej imprezie sylwestrowej Rena podsłuchiwała w toalecie dwie sekretarki z informacji wojskowej, które pudrowały się przy lustrze nad umywalką.

– Ta Wojciechowska, taka porządna kobieta, a za Żyda wyszła!

Kiedy Rena spuściła wodę i otworzyła drzwi od kabiny, jedna z dziewczyn uciekła.

Śmiali się potem z tego w domu z Zygmuntem.

– Ta Wojciechowska, taka porządna kobieta, a za Żyda wyszła!

Tu, na przyjęciu, wśród własnej rodziny, też czuła się obca.

Zygmunt zwrócił jej uwagę, że inni na jego widok zaczynają się dziwnie zachowywać.

Milkną, wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, jakby mieli coś do ukrycia. Myślą, że on tego nie zauważa?

To dla niej przykre. Przecież są rodziną.

– Nie przesadzaj – powiedziała.

W domu wytłumaczy Zygmuntowi, że oni mają swoje własne problemy.

– Nie zawsze o ciebie chodzi, kochanie – powie.

Teraz Rena zwierzyła się Weli, że czuje się tu trochę nieswojo.

– Nie ty jedna – odpowiedziała Wela. – Popatrz. Wszyscy krążą po salonie z kieliszkami i talerzami w rękach. W Tarnowie przecież zawsze siadaliśmy razem przy stole w kuchni.

Rena przez moment zobaczyła te rodzinne narady na Goldhammera.

– No to chluśniem! – nagle zawołał Nusek.

Wszyscy spojrzeli na niego. Nie w pełni opanował jeszcze sztukę wznoszenia toastów.

– Bo uśniem! – I wychylił setkę na środku salonu.

Ciąża śmiesznie wyostrzała i zniekształcała zapachy. Na przykład teraz Rena mogłaby przysiąc, że Nusek pachnie lawendą, a nie wódką.

Co to jest? Zapachowa fatamorgana?

Jeszcze parę głębszych – pomyślała – i braciszek zacznie się zataczać jak w dzieciństwie, kiedy Rudek pobrał strzykawką przez korek czerwone wino z butelki ojca i rodzeństwo pierwszy raz wspólnie się upiło.

Rena miała wrażenie, że wojna wyrównała różnice wieku między nimi. Teraz wszyscy byli mniej więcej w tym samym, czyli średnim. Bracia wyłysieli i drapali się po swoich łysinach jak ich ojciec, a ona

i Wela miały siwe pasemka, ze spotkania na spotkanie było ich coraz więcej.

Zaraz będziemy całe białe i pomarszczone jak Babunia, która pomagała dziś Anne-Marie w kuchni.

Babunia raz po raz wychodziła na moment z kuchni, elegancko ubrana w zielony fartuch z jakimś szwajcarskim czy francuskim napisem, żeby przynieść kolejne potrawy i zerknąć, co u Róży. Była wpatrzona w tę małą, która dawno ją przerosła, jak Polak w Jezusa – jak mawiał Rudek.

Rena studiowała kolorowe etykiety butelek koniaku, wina i wódki, które stały na gdańskiej komodzie pod ścianą. Szampan już dawno się skończył. Tak naprawdę też miała ochotę się napić.

Ale wiedziała, że nie powinna. I tak zaraz po przyjściu Hesio nalał jej powitalny kieliszek, co na pewno nie uszło uwadze Zygmunta. W dodatku wypłał go duszkiem. A Zygmunt mówi, że zawsze obserwuje i zapamiętuje, kto w jakim tempie pije. Miała chyba nadzieję, że on tego nie zauważy.

Czasem jest przesadnie opiekuńczy. (Żartowali, że gdyby się dało, przejąłby jej ciążę). I spostrzegawczy.

– Praca nie zajac – bełkotał Nusek do Hesia, który nawet na niego nie patrzył. – Nie ucieknie. Ja myślę, że oni myślą, że ja myślę tak... a ja myślę jeszcze inaczej.

Rena jakby słyszała ojca – Nathana Stramera.

Hesio co jakiś czas tylko kiwał głową i powtarzał, jak zawsze, kiedy udawał, że słucha:

– No tak, rzeczywiście.

– Jak się masz, majorco? – Chwilę później Hesio, zadowolony z uwolnienia się od Nuska, pogłaskał ją po plecach, po szorstkim mundurze.

Jak się miała mieć? Co miała odpowiedzieć, skoro tej nocy śniło jej się, że urodziła psa? A poprzedniej Katia, laborantka ze Stalińska, wołała ją do siebie? Ta, która na wieść, że mąż wraca ranny z frontu, poszła wieczorem do laboratorium i skoczyła z parapetu na odwrócony do góry nogami stół, żeby pozbyć się ciąży. Rano Rena

znalazła ją nieprzytomną, próbowała tamować krwotok ręcznikami, ale było już za późno.

Renie zrobiło się gorąco.

– Dobrze. Wszystko dobrze – powiedziała.

Wydawało jej się, że wszyscy mówią naraz, przekrzykują się.

Salek tłumaczył coś teraz Rudkowi, Hesiowi i Weli.

Czy tylko jej tak tu duszno?

Do Reny docierały powtarzające się słowa: klasowe, rewolucyjne, realistyczne.

Zadudniło jej w głowie i oparła się o parapet.

– Nie chodzi o to, że socjaliści nie mają racji – przerwał Salkowi Hesio. – Chodzi o to, że nie mają szans.

Rozejrzał się, żeby sprawdzić, jakie wrażenie jego argument zrobił na słuchaczach.

Rena strąciła z komody butelkę z czerwonym winem. Niechcący? Nie potrafiła powiedzieć.

Hesio w porę zdążył odskoczyć.

– O kurwa! – krzyknął Nusek, któremu pochlapała uprasowane w kant szare spodnie od garnituru.

Róża zaśmiała się nerwowo.

– Przepraszam. – Nusek przyłożył rękę do ust. – To nic. Spierze się.

Na chwilę wszyscy ucichli.

Zygmunt objął Renę ramieniem i spytał głośno:

– Wszystko dobrze, kochanie?

Anne-Marie podała jej szklankę wody.

Babunia rzuciła się do sprzątania szkła. Klęczała przed Reną z szufelką i miotełką. A obok niej Rudek zbierał co większe kawałki.

Wela posypywała z solniczki czerwone plamy na spodniach Nuska.

Rena patrzyła, jak drobinki soli lecą na podłogę.

– Tylko go dobrze dopraw! – Hesio pochylił się i otworzył usta, jakby miał zaraz ugryźć Nuska w łydkę.

Prawie zwałił się przy tym na Babunię. Salek go w ostatnim momencie przytrzymał.

Rena parsknęła śmiechem. Inni też się śmiali. Nawet Babunia.

– To było na szczęście. – Rudek pocałował siostrę w czoło i wzniósł swój pierwszy toast. – A my wypijmy za...

– Mamę i dziadków! – przerwała ojcu Róża.

Wcześniej przez cały wieczór omijała ojca i Łucję. Krążyła od jednych wujków i ciotek do drugich, jakby próbowała się do nich przykleić, ale klej nie chciał trzymać i szybko puszczał. Oni wszyscy wydawali jej się tacy sami. I pytali o to samo.

Co u niej?

– Dobrze – odpowiadała głośno i wyraźnie, żeby nie gadali potem, że „biedne dziecko szepcze”.

– A w szkole?

– Dobrze.

Specjalnie też trzymała się prosto.

Uśmiechali się i wracali do swoich rozmów o polityce, pracy i urlopach, które planują w Sopotcie i w Zakopanem.

Dlaczego nikt nie mówił o mamie, o dziadkach, o Tarnowie?

Róża nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

Czekała, aż Babunia skończy w kuchni przygotowywać jej ulubiony deser, którym pachniało już całe mieszkanie.

Babunia nie musiała nic mówić. Róża czuła, jak dziś widzi jej rodzinę. Wystarczyło, że kilka razy pokręciła głową.

Bogactwa przybywa, cnoty ubywa. Patrzcie ich. Zrobili się wielcy państwo. Po co te wszystkie posady? Te futra, mundury, samochody, we łbach im się poprzewracało. Nasza Ruth, gdyby żyła, na pewno nie byłaby taka.

Róża najchętniej by się gdzieś schowała. Pod stołem z obrusem do ziemi albo za łóżkiem. I jak dawniej na Płaszowskiej znowu jadłaby wszystko łyżką. Nie chodziłaby do szkoły, nie byłaby „nadrabiarą” – jak wołali na nią w gimnazjum Królowej Jadwigi, bo często powtarzała:

– Proszę pani, ja to nadrobię.

Babunia przysłała wreszcie z kuchni z ciastem malinowym na okrągłej metalowej tacy. Największy kawałek ukroiła oczywiście „dla kochanego dziecka”.

*

Salek zapalił wszystkie światła i ustawił całą rodzinę w korytarzu, pod lustrem z rzeźbioną ramą.

Stali rozmyci obok siebie. Stracili kontury. Nic ich nie dzieliło. Wszyscy zlewali mu się w jedną całość.

Najmłodsza z rodzeństwa, Wela, połączyła się z mężem Natkiem i z Ewą, żoną Hesia, która przechodziła z kolei w jego Anne-Marie i w pozującego na środku Rudka z żoną Łucją, która była równie rozmazana co stojąca obok Rena, jej mąż Zygmunt i córka Rudka, Róża.

Pod spodem ten abstrakcyjny twór miał dwa poziome odnóża – prawe i lewe. To ledwo trzymający się już na nogach bracia, Hesio i Nusek, którzy z ulgą położyli się na podłodze i podparli głowy na łokciach.

Salek próbował złapać ostrość na rolleifleksie przymocowanym do drewnianego statywu.

Na chwilę się udało, ale nie zobaczył ich teraz, tylko jakieś dzieciaki.

Onieśmieleni ustawiali się do fotografii w tarnowskim zakładzie Chaskiela Bronsteina. W swoich najlepszych, najmniej przetartych ubraniach.

Też byli bez rodziców.

Rudek siedział na środku, na bambusowym krześle, i trzymał w dłoni zegarek na łańcuszku. Po bokach miał przejęte najmłodsze

rodzeństwo, Welę i Nuska, niższych od niego nawet na stojąco. Z tyłu za nimi uśmiechała się Rena w białej bluzce, obok niej Hesio, najbardziej z rodzeństwa przypominający przyszłego siebie, i chłopiec z burzą kręconych włosów, który widocznie tak się zmienił, że w pierwszej chwili sam siebie nie poznał.

To była dużo lepsza kompozycja. Mieścili się w kadrze jak w malutkim mieszkaniu na Goldhammera.

Teraz nie mógł ich objąć. Każdy nazywał się już inaczej, doszły żony, mężowie, dziecko.

Rozsadzali kwadratowy kadr.

Poprosił, żeby się ścisnęli, a on sam cofnął się ze statywem o dwa kroki, aż dotknął plecami drzwi. Podniósł wzrok znad aparatu i zamachał do Babuni, która została sama w salonie i składała talerze.

– Pani Zegarlińska, jeszcze pani brakuje!

– Po co wam taka stara baba? – Babunia odmachnęła mu ścierką. – Zdjęcia szkoda.

– Babuniu! – zawołała Róża.

Salek wyjął ze skórzanego etui światłomierz. Nastawił przesłonę 3.5 i czas na 1/60 sekundy.

W końcu Babunia stanęła z tyłu i objęła Różę tak, że jej samej prawie nie było widać.

Wszystko gotowe. Wystarczyło nacisnąć samowyzwalacz i podbiec do nich.

Na Salka czekało już miejsce między rodzeństwem Stramerów.

Książki i albumy, które pomogły mi przy pisaniu *Stramerów*:

- Monika Bednarek, Edyta Gawron, Grzegorz Jeżowski, Barbara Zbroja, Katarzyna Zimmerer, *Kraków, czas okupacji 1939–1945*, Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, Kraków 2012.
- Anna Bikont, Joanna Szczęśna, *Lawina i kamienie. Pisarze wobec komunizmu*, Pruszyński i Ska, Warszawa 2006.
- Georges Brandstatter, *Résistants juifs. Récits, témoignages: du combat contre l'anéantissement à la création de l'état d'Israël*, Éditions Jourdan, Bruxelles–Paris 2013.
- Tadeusz Bukowski, *Fotografie warszawskie 1935–1955*, Muzeum Powstania Warszawskiego, Warszawa 2019.
- Stefan Chaskielewicz, *Ukrywałem się w Warszawie*, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Kraków 1988.
- Zofia Chomętowska, *Na wozie i pod wozem*, Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, Warszawa 2007.
- Zofia Chomętowska, Maria Chrzęszczowa, *Kronikarki. Fotografie Warszawy 1945–1946*, Fundacja Archeologia Fotografii, Warszawa 2011.
- Stefan Dąbmski, *Egzekutor*, Fundacja Ośrodek Karta, Warszawa 2010.
- Artur Domosławski, *Wygnaniec*, Wielka Litera, Warszawa 2021.
- Stanisław Dygat, *Pożegnania*, Książka i Wiedza, Warszawa 1979.
- Józef Flawiusz, *Dawne dzieje Izraela*, cz. 1 i 2, przeł. Zygmunt Kubiak, Jan Radożycki, Oficyna Wydawnicza „Rytm”, Warszawa 2001.
- Józef Hen, *Najpiękniejsze lata*, Aneks, Londyn 1996.
- Józef Hen, *Krzyż Walecznych*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1964.
- Jan Jagielski, Tomasz Lec, *Niezatarte ślady getta warszawskiego*, Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 1997.
- Gustaw Kaden, *Legion Mickiewicza*, Wydawnictwo „Prasa Wojskowa” [1949].
- Jerzy Kasprzycki, *Korzenie miasta. Warszawskie pożegnania*, t. 1, *Śródmieście Południowe*, Wydawnictwo Veda, Warszawa 2000.
- Roman Kiełkowski, *...Zlikwidować na miejscu!*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1981.
- Jacek Kuroń, *Wiara i wino. Do i od komunizmu*, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1989.
- Stefan i Witold Lederowie, *Czerwona nić*, Iskry, Warszawa 2005.
- Ludzie Pierwszej Armii*, Wydawnictwo GZPW Wojska Polskiego, 1946 (praca zbiorowa).
- Mikołaj Łuczniowski, *Berlingowcy w Powstaniu Warszawskim. Walki na Pradze i przyczółku czerniakowskim we wrześniu 1944 roku*, Replika, Poznań 2020.

- Antoni Marianowicz, *Życie surowo wzbronione*, Czytelnik, Warszawa 1995.
- Męczeństwo i zagłada Żydów w zapisach literatury polskiej, wybór, oprac. i wprowadzenie Irena Maciejewska, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1988.
- Karol Modzelewski, Andrzej Werblan, *Polska Ludowa*, rozmawiał Robert Walenciak, Iskry, Warszawa 2017.
- Jaff Schatz, *Pokolenie. Wzlot i upadek polskich Żydów komunistów*, przeł. Sergiusz Kowalski, Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 2020.
- Marci Shore, *Kawior i popiół. Życie i śmierć oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*, przeł. Marcin Szuster, Świat Książki, Warszawa 2012.
- Julian Strykowski, Piotr Szewc, *Ocalony na Wschodzie*, Les Éditions Noir sur Blanc, Montricher 1991.
- Tomasz Szarota, *Okupowanej Warszawy dzień powszedni*, Czytelnik, Warszawa 2010.
- Władysław Szpilman, *Śmierć miasta*, oprac. Jerzy Waldorff, Spółdzielnia Wydawnicza Wiedza, Warszawa 1946.
- Wiktoria Śliwowska, *Płacz po Warszawie*, Muzeum II Wojny Światowej, Gdańsk 2014.
- Paweł Śpiewak, *Żydokomuna*, Czerwone i Czarne, Warszawa 2012.
- Teresa Torńska, *Oni*, Iskry, Warszawa 2004.
- Henryk Vogler, *Autoportret z pamięci*, cz. 3, *Dojrzałość*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1981.
- Aleksander Wat, *Mój wiek*, cz. 1 i 2, Czytelnik, Warszawa 1990.
- Warszawa zapamiętana. W okupowanej stolicy*, wybór i oprac. Magda Szymańska, Dom Spotkań z Historią, Warszawa 2019.
- Andrzej Werblan, *Polska Ludowa. Postscriptum*, rozmawiał Robert Walenciak, Iskry, Warszawa 2019.
- Annette Wieviorka, *Ils étaient juifs, résistants, communistes*, Perrin, Paris 2018.
- Bogdan Wojdowski, *Chleb rzucony umarłym*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Wandzie Lacrampe za pomoc w dokumentacji. Witoldowi Rawskiemu, Markowi Szewczykowi i Pawłowi Komosie za przybliżenie mi wojennej historii Konstancina i Jeziorny.

Wiktorii Śliwowskiej, Alinie Tesche, Alicji Jaszczyńskiej, Marii Jakubowicz, Józefowi Henowi, Adamowi Danielowi Rotfeldowi, Aleksandrowi Smolarowi, Marianowi Turskiemu, Andrzejowi Werblanowi, Katarzynie Kwiatkowskiej-Moskalewicz, Katarzynie Stroczań, Ninie Wojciechowskiej, Andrzejowi Kuhlowi, Włodzimierzowi Kwiecińskiemu dziękuję za rozmowy o przeszłości.

Tacie, Halinie Kralowej, Małgorzacie Szczurek i Witkowi Wrzosińskiemu dziękuję za wsparcie, pierwsze lektury książki i pomocne krytyczne uwagi. Fundacji Wisławy Szymborskiej za mój miesięczny pobyt w Krakowie. Adamowi Szymańskiemu za książki, które przynosił mi do pracowni. A Jackowi Ziemińskiemu za historię o zegarku od Piłsudskiego.